MIESIĘCZ
(72)
CENA 200 zł

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631
INDEKSU 35839

ANNA STERNIK – I nagroda w konkursie na ilustrację fantastyczną – Staszów '88

GRY



„Galeria" w tym numerze jest nietypowa. Postaramy się pokazać wpływ, jaki ma literatura fantastyczna na tematykę i wygląd gier strategicznych.

Punktem wyjścia przy opracowywaniu tych gier jest bardzo często znana i popularna powieść lub film. Największą skarbnicą pomysłów dla autorów gier jest niewątpliwie fantasy (m.in. powieści Tolkiena, Howarda, Lovecrafta). W trakcie opracowywania scenariuszy poszczególnych gier, jak i wyglądu akcesoriów w nich używanych, autorzy przejmują często występujące w książkach nazewnictwo, wykorzystują opisy miejsc, przygód czy wygląd bohaterów.

Ciekawostką w role-playing games są używane tam figurki. Opracowywanie ich jest bardzo pracochłonne. Najpierw autor rysuje bardzo dużo szkiców, na podstawie których rzeźbi w materiale „Milliput" swój projekt. Z niego jest wykonywana forma odlewnicza w termoutwardzalnym tworzywie. Z tej formy można uzyskać kilka cynowych wzorców, które są potem wykorzystywane w dalszej produkcji. Gracze kupują te dwu-, trzy centymetrowe figurki nie pomalowane. Przyjemność malowania producenci zostawiają im.

Zapraszając Czytelników do „Galerii" chciałbym jednocześnie podziękować firmom „Games Workshop" i „Grenadier" za materiały wykorzystane w tym numerze.

Andrzej Brzezicki



„... przy każdej okazji pędziłem, by przez kilkanaście godzin być elfem, otwierającym skomplikowane, magiczne zamki drzwi odgradzających naszą drużynę od kolejnego korytarza podziemi i celnie trafiającym z łuku w oko czekającego na nas w wielkiej sali smoka..."

Galeria „Fantastyki" – Gry

Opowiadania i nowele

Powieść

Z polskiej fantastyki

Krytyka

Spotkanie z pisarzem

Nauka i SF

Film i fantastyka

...3...2...1...

Nie chciałem, nie miałem odwagi napisać od razu, że mi się łza w oku zakręciła, kiedy przypomniałem sobie swoje pierwsze zetknięcie się, swój pierwszy kontakt z autorem, którego osobowość i dziedzina twórczości po dziś dzień, od tamtego momentu, ogromnie wiele dla mnie znaczą. Spotkanie nastąpiło trzydzieści sześć lat przed oddaniem do druku (w numerze inicjującym naszą „Fantastykę") opowiadań dwóch początkujących autorów, Andrzeja Drzewińskiego i Jerzego Lipki, co budziło we mnie tremę i niepokój; jak to – myślałem sobie – tacy debiutanci mają inaugurować profesjonalne pismo, tacy debiutanci? Trzydzieści sześć lat wcześniej poznałem w redakcji tygodnika „Żołnierz Polski", obsyłanego podówczas utworami największych sław naszej literatury – kogo? – samego Stanisława Lema!

Przyniósł opowiadanie czy fragment, zaczątek powieści, który dziś budzi w nim zapewne zażenowanie – och, to nie to co potem napisał – złożony we czworo plik papierków. Był w swoim wtedy nieodłącznym stroju – trochę znamionującym przedwojenność pochodzenia, trochę uwydatniającym jego ubóstwo: jakaś stara bluza czy sweter, wyświechtane pumpy i opadające na buciki skarpetki. Takim go z tamtego spotkania pamiętam. I we mnie wówczas wywołał to samo drżenie, tę tremę. Tyle wielkich sław u nas drukuje – pomyślałem – a tu on, nieznany, skromny i ubogi ma zainaugurować dziedzinę prawie że wówczas nie uznawaną, ryzykowną literacko i politycznie?

I obydwa starty się odbyły: ten w roku 1946 – Lema, i późniejszy, w „Fantastyce", w roku 1982 – młodych autorów. Obydwu towarzyszyło rosnące następnie, niezwykle szybko, powodzenie. I jak tu się wstydzić łez kręcących się w oku!

Zwłaszcza że w obu przypadkach, jak to już obecnie wiemy, mieliśmy (i nadal mamy) do czynienia z gałęzią literatury nie odznaczającą się wprawdzie jakąś nowatorską formą wypowiedzi, lecz przemawiającą językiem nader prostym, adekwatnym do nowoczesności, starającym się odpowiedzieć na zasadnicze, lecz w gruncie rzeczy proste pytania, stawiane przez wszystkich, a wyrażające prawdziwie romantyczne wielkie emocje i niepokoje. Skąd my, po co, dlaczego jest jak jest, a jak będzie, co się z nami stanie, albo krótko, po Mickiewiczowsku, według „Dziadów": *Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, /Co to będzie, co to będzie.*

Wszelkie rodzaje romantyzmu rodziły się w okresach kryzysów i niepewności jutra. Literatura Stanisława Lema, gdy zaczął tuż po wojnie opisywanie najtragiczniejszych własnych wspomnień, nie została prędko dopuszczona do druku przez ówczesnych mecenasów kultury, więc stworzył w odpowiedzi własną swą literaturę, badającą jego samego i otaczający go świat, literaturę fantastyczną, ZAMIAST współczesnej. „Fantastyka" powstawała zaś w stanie wojennym, posierpniowym, i z konieczności życiowej jej wizje i nastroje nie mogły być oddalone od tego, czym żyli wtedy ludzie. Jedną z zasadniczych cech wszelkiego romantycznego pisarstwa jest spiętrzenie moralitetów i wiara w przemożny wpływ sztuki na jej odbiorców. I w tym przypadku mieliśmy również, jak wcześniej Lem, do czynienia z pisarstwem fantastycznym, zamiast współczesnego, starającym się z pozycji przyszłościowych skontrolować jak gdyby teraźniejszość, poprawić perspektywy jutra. Przypadał na czas tych młodych, którzy debiutowali swymi opowiadaniami o czarownicach, o magii, o księżniczkach, o miłości przeklętej i potwornej nienawiści, o walce dobra ze złem – szczyt politycznej twórczości SF Janusza Zajdla. Ludzie panujący nad techniką, rozwijają ją, ulepszają, ale nie nauka, lecz jakieś irracjonalne siły, kierują ich poczynaniami. Nie da się ujarzmić ludzi ani super-mądrością, ani siłą. Ten charakterystyczny dla romantyzmu motyw niewiary w wartości niesione przez naukę, przez racjonalistyczne poznanie świata, tkwi na przykład w takim utworze, jak Baranieckiego „Karlgoro godzina 18.00". Zresztą są to czasy – rok 1982 – w których, nie zapominajmy o tym, nagrodę Nobla otrzymuje fantasta, górujący nad innymi fantastami niesłychanie – Gabriel Garcia Marquez. A więc nie tylko u nas, lecz i na całym świecie uznano i uświęcono wreszcie literaturę fantastyczną. To właśnie wówczas napisała Emma Popik w swoim „Mistrzu", kpiąc z naukowości: *Uczeni w dowód swej doskonałej pamięci chodzili nago, pokazując że nigdzie nie chowają zapisków i ściągaczek, a doskonały umysł jest ich jedyną skarbnicą...* Zajdlowskie akcenty widać wyraźnie zwłaszcza w prozie Darosława Jerzego Torunia, gdy opisuje na przykład scenę buntu tłumu, brutalnie zdławionego przez ideologów *jedynej słusznej drogi człowieczeństwa.* Być może do najbardziej przejmujących z opowiadań zamieszczonych w tym pierwszym okresie istnienia miesięcznika „Fantastyka", należy zwarta i gęsta, jakby skondensowana wewnętrzną siłą talentu, proza Andrzeja Zimniaka „List z Dune", opowiadająca, jak niegdyś u Byrona i Słowackiego czy u Mickiewicza, a znacznie wcześniej jeszcze u samego Szekspira, o potędze nienawiści.

Mógłbym tu zresztą analizować po kolei wszystkie utwory u nas zamieszczone, które ukażą się niedługo w kolejnych tomach – antologiach różnych wydawnictw, jako to co najlepsze w „Fantastyce". Mógłbym wskazywać na ich romantyczne współzależności i paralele, mógłbym także podobnie jak to zwykł czynić Maciej Parowski dzielić generacje i okresy wychodzenia naszego pisma i publikowania naszych odezw – coraz to nowych – o nieustającym konkursie literackim „Fantastyki", a następnie demonstrować plony tych konkursów, wymieniając chociażby zastępy młodych, nowych autorów, ale wydaje mi się, że różnice i podobieństwa między poszczególnymi twórcami dośpiewają sobie sami Czytelnicy.

Ja zaś, w przeciwieństwie do Parowskiego, nie dzielę nigdy skóry na niedźwiedziu polskiej fantastyki. Przeciwnie, uważam, że bez względu na różnice wieku twórców jest ona podobna i prawie identyczna we wszystkich przejawach pisarskiego ruchu fantastycznego w ciągu całego powojennego okresu. A wywodzi się bezpośrednio, lub czasami pośrednio, zapożyczając wówczas trochę od Zachodu, z dzieła milowego dla drogi, którą przebył ten gatunek w Polsce: z pierwszej części trylogii Jerzego Żuławskiego – „Na srebrnym globie". Jakąż odpornością na najbardziej znane utwory science fiction musiał wykazać się Żuławski pisząc swą trylogię, to swoje czarodziejskie „Na srebrnym globie", żeby nie poddać się obrzydliwym miazmatom „Frankensteina" pani Mary Shelley, abominacyjnemu horrorowi Poego, naiwnym bajdurzeniom i przepowiedniom technicznej szczęśliwości w wykonaniu Verne'a czy prawie czysto naukowej prozie Wellsa, dziś nudziarza nad nudziarze.

Ta polska fantastyka „Srebrnego globu" była całkiem inna od współczesnych zagranicznych i nie potrafiła w takich warunkach, w jakich znajdowała się wtedy polska sztuka, wzbudzić światowego rozgłosu. Zawierała jednak już na pewno te wszystkie elementy, których nie skąpią nam dzisiejsi pisarze science fiction rodzimej, a co często nie podoba się zanadto naszej publiczności. Poniektórzy używają więc wobec tej publiczności określenia mniej eufemistycznego – publika. Bo publika woli czystą fantastyczną rozrywkę, jakiś nadzwyczajny pomysł, choćby niedopracowany literacko, byle tylko ją epatował swą innością, nowością. Może to i jest jakaś fantastyka, choć z prawdziwą literaturą niewiele ma wspólnego. Na szczęście większość naszej polskiej publiczności nie jest „publiką", o czym zaświadczyć może nieustanne powodzenie pisma przez nas wydawanego i promowanych przez nas w wielu wydawnictwach książek.

Oto więc podstawowe elementy romantyzmu naszej fantastyki: podejrzliwość w stosunku do nauki, próby przezwyciężenia jej tyranii, która doprowadzała nieraz do zagrożeń ekologicznych, do zagrożeń wojną atomową czy uszczęśliwianiem na siłę, i to nie jedynie przez poprawianie cech dziedzicznych.

Nowa fantastyka romantyczna zawiera przede wszystkim problematykę inner space: wgłębia się w duszę człowieka, w jego obsesje religijne, wariacje i szaleństwa na temat wolności społecznej, narodowej i jednostkowej. Czy byłaby jednak sobą bez zainicjowania kiedyś tej problematyki przez Żuławskiego?

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6.
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., literatury polskiej), 25-35-36 (z-cy red. nacz., dział krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 28-23-09. Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Nakład 167 000 egz.
Zam. 2252 88 U-78

NR INDEKSU 35839 – PL ISSN [illegible]

Lądowanie LXVII

***Kiedy wreszcie zacznie znowu** drukować swoje felietony pan Maciej Iłowiecki? Wiele tracicie, to znaczy wiele tracą Czytelnicy, gdy nie ma tej pozycji. Takie pismo jak Wasze bez nauki odpowiednio przyrządzonej, aby smakowała również tym, co lubią literaturę SF, mniej smakuje. Nie zgadzam się z tymi, którzy uważają, że filozofia na łamach „Fantastyki" jest całkiem niepotrzebna. Przeciwnie, tematyka SF, czy tego chcecie czy nie, czy lubicie naukę czy jej nienawidzicie, musi zatrącać problematyką naukową, filozoficzną. Przecież cała SF wyrosła bardziej z filozofii niż z czystej nauki, a całe pisanie Lema to przecież filozofowanie. Zresztą na świecie to modne, widocznie więc poszukiwane, aby się zastanawiać nad tym do czego zmierza ludzkość i skąd się wzięła. Nie czytywałem dotychczas „Problemów", ale ktoś mi nagle podrzucił numer, w którym był nadzwyczaj ważny artykuł o najnowszej teorii, jak gdyby przeciwstawnej temu, co niegdyś odkrył i wymyślił Mikołaj Kopernik. Kopernik zdetronizował człowieka we Wszechświecie, odtąd stawaliśmy się jak gdyby marginesem tego co się wokół nas dzieje, a teoria antropiczności, mówiąca o tym, że Wszechświat istnieje tylko po to, abyśmy, my ludzie, mogli go oglądać, znowu ludzkość wynosi na piedestał. O takich rzeczach trzeba pisać, trzeba je tłumaczyć nam, miłośnikom fantastyki, bo fantastyka zawsze ociera się o największe tajemnice istnienia, takie, które wymagają wyjaśniania, jest z natury filozoficzna... Ja, jako młody naukowiec właśnie z tych filozoficznych powodów interesuję się fantastyką. Ona wprowadza mnie w krąg tajemnic do rozwiązania.*

Jan B. z Warszawy

***Czy nie można wygospodarować** dwóch stron na nowy dział pt. „Pytamy naukowców". Chodzi o to, aby wiele wątpliwości z różnych dziedzin można było przedyskutować, żeby oni, ci uczeni, odpowiedzieli nam na wiele pytań, na które dotychczas nie było jeszcze definitywnej odpowiedzi. Chodzi o ich poglądy, ich, uczonych, punkty widzenia. Na przykład: czy czarne dziury nie są przypadkiem bramami do antyświata lub innej czasoprzestrzeni lub czy wprowadzenie pewnych genów do organizmów zwierzęcych nie może doprowadzić z czasem do uczłowieczenia zwierząt, albo co (jaka iskra) czyni z nas ludzi żyjących, działających. Proszę o opublikowanie na łamach „Fantastyki" mego listu, aby mogli się Czytelnicy inni wypowiedzieć w poruszanej tu kwestii nowej rubryki, a co Pan, panie Hollanek, sam o tym sądzi?*

Ryszard Prokop z Wałbrzycha

***Co oddziela** naszą rodzimą fantastykę od anglosaskiej? Jest bardziej grzeszna? Śmiem wątpić. Nie ma w niej literatury na poziomie magazynowym, tego sprawnego rzemiosła, za którym tęsknią czytelnicy i nie tylko, ale to sprawa komercjalizacji, która i u nas zaczyna postępować powoli, ale nieubłaganie. Nie boję się jej, tu nie o nią chodzi. Nasza fantastyka jest inna (globalnie), tego nie da się ukryć. Wynika z odmiennych przesłanek, potrzeb, oczywiście nie całkowicie, mowa o średniej statystycznej. Widać to choćby z jej struktury: rosnąca w siłę political fiction, słaba fantasy, dużo jeszcze hard SF... Boję się tylko jednej rzeczy, że będzie jak i teraz jest, po prostu materia fantastyki polskiej pozostanie w tej samej kondycji, utrzymana w uśpieniu przez możliwości wydawnicze i nie rozwijany rynek autorski. To jest problem...*

Przemysław Gębala z Poznania

***Nakład Waszego pisma 167 tysięcy,** Czytelników 167 tysięcy. Wniosek: za mało. Propozycja: wypłyńcie na szersze wody. Chwalicie się niejednokrotnie, że macie takie czy inne sukcesy, że przybywa fanów, że przybywa młodych literatów, że jeszcze coś tam, to na pewno cieszy po tych ponad sześćdziesięciu numerach. Zaczyna się jednak odczuwać pewien niedosyt. Spróbujcie zrobić coś w telewizji, pokażcie się. Pokażcie naprawdę jak TO robicie, jak wyglądacie. Wszystko dotychczas wydaje się wielkim podziemiem, dobrą partyzantką. Przecież w Polsce nic się właściwie nie mówi o tej waszej dziedzinie sztuki – nauki. Jak wszyscy, kochający fantastykę, wyobrażam sobie taki program telewizyjny, powiedzmy raz na tydzień! Sądzę, że gdybyście opublikowali ten list, wielu by nas poparło. Może wśród czytelników jest ktoś z redaktorów telewizji? Odpowiedzcie na ten apel.*

Jerzy Neska z Bielska-Białej

Ale mi klina zabił Czytelnik Jerzy Neska, domagając się od nas „ujawnienia" w programie telewizyjnym. Zdałem sobie nagle sprawę, że mimo popularności „Fantastyki" prawdziwą publicity w naszych czasach zapewnia jedynie tuba telewizyjna. Ta tuba jak gdyby uświęca idoli, namaszcza ich na wielkość, aby o nich po tym szybko zapomnieć i stworzyć następnych. I tylko w ten sposób opublikowane, się liczy, reszta jest mniej ważna. No cóż, już był czas, aby sobie uświadomić, że głównie to, co się rozgrywa przed naszymi oczami, co jest życiem uchwyconym przez kamery na gorącym uczynku, to co widzimy, a znacznie mniej i wtórnie dopiero to co sobie wyobrażamy i myślimy – ma dziś znaczenie, jest tym, czym ludzie na co dzień żyją.

Zadziwiające, że w czasach, w których technika zwiększyła możliwości uczestniczenia w różnorodnych życiowych happeningach, ludziska wolą tkwić w fotelach i obserwować cudze życie, cudze happeningi. Jest to jedna z największych niespodzianek, jak mi się wydaje, postępu technicznego. Nawet na wakacje, nawet tam gdzie człowiek czuje się najbardziej swobodny i niezależny, zabiera ze sobą telewizor. A ten zmienia całkowcie hierarchię wydarzeń, miesza nieustannie w swym czarowniczym kotle ważne z nieważnym, prawdziwe z fikcją, dobre ze złym i wartościowe z chałą. Młody człowiek, który nas lubi i ceni, chce, pragnie, MUSI nas widzieć, zobaczyć uświęconych w telewizji. My zaś orbitujemy bliżej lub dalej i od czasu do czasu lądujemy, żeby wymienić swoje wrażenia z orbitowań.

Redaktor

Kim Stanley Robinson

Czarne powietrze

(Black Air)



Gdy wypływali z portu w Lizbonie, flagi trzepotały, a mosiężne okucia lśniły w stojącym wysoko białym słońcu. Księża odczytali w górnolotnej łacinie papieskie błogosławieństwo, żołnierze tłocząc się przechodzili z jednego miejsca w drugie, a żeglarze, powłaziwszy na maszty, podobni pająkom, machali do mieszkańców miasta, którzy porzucili swoje zajęcia i zeszli ze wzgórz po ubitych żarem słońca drogach, żeby popatrzeć na statki, ponieważ była to Armada, Niezwyciężona Armada, która wyruszała, żeby z woli Boga podbić heretycką Anglię. Nigdy jeszcze nie rozpoczynano wojny z większym przepychem.

Na nieszczęście od momentu wyjścia z portu wiatr dmuchał wciąż od północnego wschodu, tak że po miesiącu nie byli bliżej Anglii niż w momencie opuszczenia Hiszpanii. Nie było to ostatnie z niepowodzeń, jakie ich dotknęły. Mocno przynaglani bednarze portugalscy zrobili beczki na żywność ze świeżo ściętego drewna i kiedy kucharz otworzył je, mięso było zepsute, a woda zatęchła. Powlekli się więc do portu w Corunnie, gdzie kilkuset żołnierzy i żeglarzy rzuciło się wpław do brzegów Hiszpanii, lecz żaden z nich nie wyszedł już na ląd. Wielu innych pomarło już wcześniej na różne choroby. Dlatego Don Alonso Perez de Guzman el Buelo, siódmy książę Medina Sidonia i admirał Armady, również złożony chorobą na statku flagowym, przerwał układanie swego codziennego, pełnego żalów listu do Filipa Drugiego, po to, by wysłać żołnierzy w głąb lądu na pobór wieśniaków, którzy uzupełniliby załogi statków.

Jeden z oddziałów zahaczył o klasztor franciszkanów pod Corunną i zarekwirował wszystkich chłopców, którzy tam mieszkali, pomagając mnichom i czekając na dzień, kiedy sami wstąpią do zakonu. Mnisi, choć wcale im się to nie podobało, nie mogli się sprzeciwić i wszyscy, którzy nie mieli jeszcze złożonych ślubów, zostali zabrani na statki.

Był między nimi Manuel Carlos Agadir Tetuan. Miał siedemnaście lat, urodził się w Maroku jako syn Afrykańczyka wziętego do niewoli przez Arabów. W swoim krótkim życiu mieszkał już na wybrzeżu marokańskim, w mieście Tetuan, na Gibraltarze, Balearach, Sycylii i w Lizbonie. Pracował na polu i przy czyszczeniu stajni, pomagał w robieniu lin i ubrań ze skóry, podawał do stołu w oberżach. Po tym, jak jego matka umarła na syfilis, a ojciec utonął, żebrał na ulicach Corunny, ostatniego portu, do którego razem przypłynęli, aż do dnia kiedy natknął się na niego, śpiącego na jednym ze skwerów, jakiś franciszkanin i po wypytaniu kim jest, zabrał piętnastoletniego wówczas chłopca do dającego schronienie klasztoru.

Manuel ciągle jeszcze szlochał, kiedy żołnierze wsadzili go na pokład lewantyńskiego galeonu „La Lavia" mającego prawie tysiąc ton wyporności. Nawigator, Laeghr, zaprowadził go na dolny pokład. Był on Irlandczykiem, który opuścił ojczyznę przede wszystkim dlatego, że taki miał fach, ale także z powodu nienawiści do Anglików rządzących Irlandią. Był potężnym mężczyzną o niedźwiedzim torsie i ramionach grubych jak belki rei. Widząc jak bardzo Manuel jest nieszczęśliwy, pokazał, że jest człowiekiem, któremu dobroć nie jest obca. Poklepał stwardniałą dłonią kark chłopca i odezwał się po hiszpańsku – płynnie, choć z wyraźnym obcym akcentem:

– Skończ z tym pochlipywaniem, chłopcze. Wyruszamy, żeby pobić tych łajdaków Anglików, a kiedy wrócimy, ojcowie w twoim zakonie zrobią cię opatem. Ale zanim to nastąpi, z tuzin angielskich dzierlatek upadnie ci do nóg, żebyś tylko dotknął ich swymi czarnymi rękami, zobaczysz. No, daj spokój, przestań. Pokażę ci, gdzie jest twoja koja, a jak wyjdziemy na morze dam ci robotę. Mam dla ciebie miejsce na grotmaszcie. Wszyscy czarni świetnie sprawują się na rejach.

Laeghr z gracją łasicy dającej nura do jednej ze swych dziur w ziemi wsunął połowę swego potężnego ciała przez luk w pokładzie. Jego ręka, szeroka jak pół wejścia wyłoniła się i pociągnęła Manuela w ciemność. Przerażony chłopiec poleciał w dół po trapie, ale zdążył złapać równowagę i zatrzymał się tuż przed Laeghrem. Stojący na dole żołnierze wybuchnęli śmiechem. Manuel nigdy nie był na statku większym od sycylijskiego patache, a większość jego całkiem rozległego morskiego doświadczenia dotyczyła przybrzeżnych karak, więc rozciągający się pod nim pokład poprzecinany pasmami żółtego, słonecznego światła, które wlewało się przez bulaje wielkie jak kościelne okna, zastawiony beczkami, belami siana, zwojami lin i pełen pracujących mężczyzn, był jak objawienie.

– Ratuj mnie, święta Anno – wyszeptał, ledwie mogąc uwierzyć, że miejsce, w którym się znajduje jest okrętem. Przecież nawet w klasztorze nie było pomieszczenia tak ogromnego, jak to do którego schodził.

– Chodź tutaj – odezwał się Laeghr, chcąc dodać mu odwagi.

Zeszli jeszcze niżej, do dusznego pomieszczenia, oświetlonego wąskimi wachlarzami słonecznego światła wpadającego przez furty w kadłubie.

– Tu będziesz spał – powiedział Laeghr wskazując ciemny kąt pod jedną z masywnych, dębowych burt statku. Ruszały

się tam jakieś ciała, widać było błyskanie białek i jakiś stłumiony głos powiedział:

– Następny, którego nie będzie mógł pan znaleźć w tych ciemnościach, co szefie?

– Zamknij się, Juan. Zobacz chłopcze, te belki oddzielają twoją koję od pozostałych i kiedy już znajdziemy się na morzu, będą cię chronić przed spadnięciem.

– Zupełnie jak trumna, w dodatku z pokrywą.

– Zamknij się, Juan.

Kiedy tylko nawigator pokazał mu, które miejsce należy do niego, Manuel położył się i znowu zaczął płakać. Koja była za krótka, a przepierzenie oddzielające go od sąsiadów – szorstkie i sękate. Mężczyźni wokół niego spali albo rozmawiali, ignorując obecność chłopca. Ponieważ sznurek, na którym miał zawieszony medalion zaczął go uwierać, przypomniał sobie o modlitwie.

Jego świętą patronką, jak postanowili mnisi, była Anna, matka Maryi Dziewicy i babka Jezusa. Opat Alonso ofiarował mu mały, drewniany medalion z jej podobizną, który Manuel ujął teraz w palce i wpatrując się w małe, brązowe kropki będące oczami świętej, modlił się cicho.

– Proszę, Matko Anno, zabierz mnie z tego statku do domu. Weź mnie do domu.

Tak mocno ściskał wizerunek, że druga strona medalionu, wycięta w kształcie krzyża, zostawiła krwawy odcisk na jego dłoni. Minęło wiele godzin zanim usnął.

Dwa dni później Niezwyciężona Armada opuściła Corunnę. Tym razem bez powiewających flag, tłumów, bez kadzidlanych woni unoszących się z wiatrem. Za to Bóg dał im zachodni wiatr i żeglowali na północ z niezłą prędkością. Statki płynęły w formacji ustalonej przez wojskowych, w uporządkowanych falangach wznoszących się i opadających na falach: na froncie galeasy, pośrodku ciężkie statki wypełnione zapasami i duże galeony z boków. Tysiące żagli i setki statków, podobne zagajnikowi białych drzew na rzece błękitnej farby, stanowiło wspaniały, przykuwający wzrok widok.

Na Manuelu, podobnie jak na innych zrobił on ogromne wrażenie. Na „La Lavii" było czterystu żołnierzy i żeglarzy. Jednak do obsługi statku wystarczało trzydziestu, więc całe trzy setki żołnierzy stały patrząc na statki, a i żeglarze, którzy właśnie nie mieli wachty lub nie spali, stali przy relingu niższego pokładu.

Obowiązki Manuela były proste. Jego stanowisko znajdowało się na lewej burcie, przy relingu rufowym, do którego przymocowano szoty grota i dużego łacińskiego foka. Manuel pomagał wybierać albo luzować liny zgodnie z poleceniami Laeghra. Węzłami zajmowali się już inni, więc praca Manuela sprowadzała się do ciągnięcia szotów. Mogłaby być bardziej skomplikowana, ale plan nawigatora, żeby zrobić z niego, tak jak z pozostałych Afrykańczyków topmana, spalił na panewce. I to nie dlatego, że Laeghr nie próbował.

– Bóg dał wam lepszą głowę do wysokości, żebyście mogli uciekać na drzewa, chroniąc się przed lwami, prawda?

Ale kiedy Manuel próbował wejść za Marokańczykiem Habedeenem na top głównego masztu, nagle znalazł się zanurzony w przestworzach, prawie ocierając się o niskie, mięsiste chmury, a morze wyhaftowane statkami, było tuż pod nim. Uczepił się rękami i nogami słupa, i trzeba było pięciu mężczyzn, zaśmiewających się i przeklinających, żeby oderwać go od masztu i ściągnąć na dół. Laeghr, zniechęcony tą próbą, niezbyt przykładając się dał mu parę razy po grzbiecie swoją laską, a potem popchnął w stronę relingu.

– Od tego słońca zmieniłeś się w Sycylijczyka.

I w ten sposób przydzielono mu pracę. Mimo tego incydentu był lubiany wśród załogi. Ale nie przez żołnierzy. Ci byli opryskliwi i aroganccy w stosunku do żeglarzy, którzy schodzili im z drogi, żeby uniknąć szturchańców i wyzwisk. Tak więc trzy czwarte mężczyzn przebywających na statku należało do innej klasy i nie kontaktowało się z pozostałą częścią. Żeglarze trzy-



Michał Jędrczak

mali się razem. Pościągani znad całego Morza Śródziemnego, stanowili mieszankę ras, ale wspólna niechęć do żołnierzy zatarła inne różnice.

– Gdyby nie my, ci bohaterowie nie mogliby podbić wyspy Wight, bo nigdy by na niej nie postawili nogi – mówił Juan.

Manuel poznał najpierw tych, z którymi pracował, a potem śpiących na sąsiednich kojach. Ponieważ znał hiszpański i portugalski, a także nieźle umiał się dogadać po arabsku, sycylijsku, łacinie i w dialekcie marokańskim, mógł porozumieć się ze wszystkimi. Od czasu do czasu proszono go, żeby tłumaczył dla Marokańczyków, co nieraz oznaczało, że musiał stać się arbitrem w jakimś sporze. Starał się myśleć szybko i przekręcał słowa, kiedy tylko mogło to pomóc w utrzymaniu spokoju. Juan, ten który gorzko skomentował pojawienie się Manuela, był jedynym czystej krwi Hiszpanem w tej grupie. Uwielbiał gadać i bez przerwy narzekał.

– Poznałem już El Draco wcześniej, w Indiach – chełpił się. – Będziemy mieć wielkie szczęście, jeżeli pokonamy tego diabła. Zapamiętajcie moje słowa. Nigdy nam się to nie uda.

Mężczyźni pracujący z Manuelem byli bardziej pogodni. Lubił więc swoje wachty i dryl narzucony komendami Laeghra. Przezywali go topmanem lub wspinaczem i żartowali z jego węzłów, których nie sposób było szybko rozwiązać. Przez tę nieudolność zarobił kilka razów od Laeghra, ale byli też gorsi żeglarze od niego i widać było, że nawigator nie życzy mu źle.

Życie pełne zmian sprawiło, że Manuel łatwo się przystosowywał i wkrótce rutynę statku przyjął za normalny rytm egzy-

stencji. Nawigator lub bosman Pietro budzili go krzykiem. Dopiero gdy wdrapał się na pokład artyleryjski, zajmowany przez żołnierzy, a stamtąd stromym trapem na świeże powietrze, dowiadywał się jaka jest pora dnia. Przez pierwszy tydzień moment wyjścia z ciemności dolnego pokładu na otwartą przestrzeń, wiatr i czyste, słone powietrze sprawiały mu radość nie do wyrażenia. Podążali jednak wciąż na północ i zaczęło się robić zbyt zimno. Kiedy ich wachta dobiegała końca, Manuel i jego współtowarzysze schodzili do kuchni, gdzie dostawali suchary, wodę i wino. Czasami kucharz zabijał kozę lub kurę i gotował zupę. Zazwyczaj jednak były to tylko suchary i to takie, które nie zdążyły jeszcze stwardnieć. Ludzie skarżyli się na nie ponuro.

– Najlepsze suchary są twarde jak drewno i podziurawione przez robaki – powiedział Manuelowi Habedeen.

– To jak się je wtedy zjada? – zapytał Manuel.

– Uderza się kawałkiem suchara o stół, żeby wytrząsnąć robaki. Je także można zjeść.

Mężczyźni roześmiali się, więc Manuel przypuszczał, że Habedeen żartuje, ale nie był tego pewien.

– Gardzę tym zakalcowatym gównem – odezwał się po portugalsku Pietro, a Manuel przetłumaczył to na marokańską odmianę arabskiego dla dwóch milczących Afrykańczyków i zgodził się, używając hiszpańskiego, że dla jego żołądka to też nie wydaje się odpowiednie.

– Najgorsze jest – podsumował – że częściowo są one czerstwe, a pewne fragmenty – nie.

– Te świeże kawałki, to są właśnie robaki.

Im dłużej trwała podróż, tym silniejsza stawała się więź między ludźmi pracującymi na jednej wachcie z Manuelem. Płynęli ciągle na północ i Marokańczycy bardzo cierpieli z powodu zimna. Gdy wracali pod pokład po skończonej służbie, ich ciemna skóra wyglądała jak u obskubanej gęsi, albo jak ściernisko. Usta i paznokcie mieli zupełnie sine i zanim usnęli trzęśli się przez dobrą godzinę, szczękając zębami niby kastanietami na fieście. Było nie tylko coraz zimniej, ale i fale Atlantyku stawały się coraz większe, a ludzie zaś owijali się w każdy posiadany strzępek okrycia, przez co rzucało ich z jednej strony koi na drugą. Najpierw więc Marokańczycy, a potem i wszyscy inni z pokładu dziobowego zaczęli kłaść się po trzech na koi, poukładani jak łyżeczki w pudełku, przekręcając się równocześnie na drugi bok w środku nocy. Tak stłoczonych, skoki statku przyciskały do belek, ale byli zabezpieczeni przed obijaniem. To, że Manuel chciał leżeć od strony belek odpowiadało innym, zgadzali się też, że stanowi on dobrą poduszkę.

Powodem tego, że zachorował były prawdopodobnie ręce. Chociaż duch Manuela pogodził się już z krucjatą północną, ciało było słabsze. Ciągnąc każdego dnia szorstkie, konopne liny starł sobie skórę z dłoni, którym nieźle też dały się we znaki sól, drzazgi i włókna lin, tak że po upływie tygodnia musiał zawijać ręce w kawałki materiału oderwane od dołu koszuli. Dostał gorączki, ręce pulsowały mu boleśnie w rytm uderzeń serca, był więc pewien, że gorączka weszła do niego przez rany w dłoniach.

Potem zbuntował się jego żołądek, nie chcąc w sobie nic zatrzymać. Kęs suchara lub zupy wywoływał istną rewolucję, gorączka rosła i chłopiec stawał się coraz chudszy i słabszy. Większą część dnia spędzał na dziobie, cierpiąc na dezynterię.

– Zatrułeś się sucharami – stwierdził Juan. – Tak jak ja w Indiach. To jest wynik zabierania na statek świeżych sucharów. Mogliby równie dobrze pakować surowe ciasto.

Koledzy Manuela powiedzieli Laeghrowi o stanie chłopca i ten kazał go przenieść do lazaretu pod pokładem na rufie statku. Chorzy dzielili duże pomieszczenie z grubym, gładkim pniem przebijającym podłogę i sufit, a stanowiącym trzon urządzenia sterowego. Wszyscy leżący tam byli ciężko chorzy. Manuel czuł się okropnie, kiedy kładli go na sienniku, męczony mdłościami i strachem przed cuchnącym gnijącymi ciałami szpitalem.

Mężczyzna zajmujący sąsiedni siennik był nieprzytomny i przetaczał się z jednej strony na drugą, zgodnie z ruchami statku. Niskie pomieszczenie oświetlały trzy latarnie, wypełniając je cieniami. Brat Lucien, dominikanin, przyniósł gorącą wodę i obmył mu twarz. Rozmawiali przez chwilę i zakonnik wysłuchał spowiedzi Manuela, co powinien był zrobić tylko wyświęcony kapłan. Żadnemu z nich to nie przeszkadzało. Księża znajdujący się na statku unikali szpitala i starali się służyć jedynie oficerom i żołnierzom. O bracie Lucienie wiadomo było, że wykonuje obowiązki duszpasterskie wśród żeglarzy i był bardzo wśród nich popularny.

Manuel nie mógł wcale jeść, a gorączka wciąż rosła. Mijały dni. Kiedy ocknął się, wokół niego byli już inni ludzie niż ci, których widział po przyjściu do szpitala. Umacniał się w przekonaniu, że umrze i raz jeszcze popadł w rozpacz, rozpamiętując, jak stał się członkiem załogi Niezwyciężonej Armady.

– Dlaczego się tu znaleźliśmy? – zapytał Luciena łamiącym się głosem. – Dlaczego nie możemy pozwolić Anglikom iść do piekła, jeżeli mają na to ochotę?

– Naszym celem jest nie tylko ukaranie heretyków – odpowiedział Lucien, który siedział i czytał przy blasku świecy trzymaną zawsze pod habitem ciemną, niewielką książeczkę, która na pewno nie była Biblią. Cienie skakały po ciemnych belkach, a ster obracał się trzeszcząc.

– Bóg zesłał tę próbę na nas. Posłuchaj: „Przyjdę w postaci ognia i oczyszczę to, co nieczyste. Tak objawi się moja srogość. Jam jest tym, który złoto poddaje próbie ognia. Jeżeli spotka cię taka próba, złoto twej duszy zostanie oczyszczone i zalśni jak ogień. Wtedy obraz Twego Pana stanie się w tobie, a widząc go będziesz jasnością". Zapamiętaj to i bądź silny. Masz, wypij tę wodę... no dalej, czy chcesz zawieść swego Boga? To jest częścią twojej próby.

Manuel wypił, ale po chwili wszystko zwrócił. Jego ciało nie było niczym więcej jak płomieniem ognia zamkniętym w jego cielesnej powłoce i wytryskującym przez dłonie. Stracił poczucie upływu dni i zapomniał, że istnieje ktokolwiek poza nim i bratem Lucienem.

– Nigdy nie chciałem opuścić klasztoru – opowiadał – ale wiedziałem też, że nie mogę tam pozostać. Przecież nigdy nie przebywałem zbyt długo w jednym miejscu. Był moim domem, ale też nim nie był. Jeszcze nie znalazłem swego domu. Powiadają, że Anglia pokryta jest lodem... widziałem raz śnieg w górach Katalonii. Ojcze, czy wrócimy do domu? Jedyne, czego pragnę, to powrócić do klasztoru i zostać zakonnikiem, jak ty.

– Wrócimy do domu. Kim będziesz, wie tylko Bóg. On ma miejsce dla ciebie. Śpij teraz. Śpij.

Zanim gorączka go opuściła, żebra Manuela zaczęły sterczeć z zapadniętej klatki jak palce z nadgarstka. Ledwo mógł chodzić. Wąska twarz Luciena wyłoniła się z ciemności wyraźna jak pamięć.

– Spróbuj tej zupy. Bóg wyraźnie postanowił cię zachować.

– Dzięki ci święta Anno za twoje wstawiennictwo – wycharczał Manuel. Łapczywie wypił zupę. – Chciałbym wrócić do swojej koi.

– Już wkrótce.

Wyprowadzili go na pokład. Chodzenie przypominało pływanie dopóki trzymał się relingów i podpór. Laeghr powitał go z radością, podobnie jak i inni. Świat był orgią błękitów, fale uderzały o statek, a niskie chmury płynęły kłębami w wielkim pośpiechu na wschód. Spomiędzy nich wysypywały się zalewające wodę smugi słońca. Był zwolniony od pracy, ale i tak spędzał na swoim stanowisku prawie cały czas. Prawie nie mógł wierzyć, że udało mu się przetrzymać chorobę. Oczywiście nie był jeszcze zupełnie zdrów i nie mógł jeść nic stałego, szczególnie sucharów, tak więc na jego dietę składała się zupa i wino. Czuł

się słabo i miał nieustannie zawroty głowy. Ale kiedy stojąc na pokładzie czuł wiatr, miał wrażenie, że jest coraz zdrowszy, starał się więc spędzać na zewnątrz coraz więcej czasu. Tam też był, kiedy po raz pierwszy ujrzeli Anglię. Żołnierze wskazywali w jej kierunku, krzycząc w podnieceniu, kiedy na horyzoncie pojawił się występ nazwany przez Laeghra Lizarol. Manuel tak przyzwyczaił się do widoku morza, że niski cypel wznoszący się nad łukiem burty wydawał mu się nienaturalny, jak intruz w morskim świecie. Jakby cofał się potop i właśnie zaczęły wypiętrzać się zatopione wzgórza, nasiąknięte wodą i pokryte zieloną, morską trawą, która jeszcze nie zdążyła umrzeć. To była Anglia.

Parę dni później spotkali pierwsze angielskie statki – szybsze niż hiszpańskie galeony, ale mniejsze. Nie mogły bardziej przeszkodzić Armadzie, niż muchy niepokojące stado krów. Fale gwałtownie goniły jedna za drugą i „La Lavia" kołysała się tak, że Manuel nie mógł ustać na pokładzie. Raz uderzył się w głowę, innym razem zdarł strup z gojącej się dłoni, usiłując utrzymać równowagę przy nagłej zmianie kursu. Pewnego dnia nie był w stanie się podnieść. Przyjaciele przynieśli mu kubek zupy. Zostawał w koi przez wiele dni. Znowu zaczęli się martwić, że umrze. Wreszcie Laeghr razem z Lucienem zeszli do niego.

– Musisz teraz wstać – stwierdził Laeghr. – Za godzinę rozpocznie się bitwa i będziesz potrzebny. Znaleźliśmy dla ciebie łatwą robotę.

– Będziesz tylko podawał strzelcom lont – dodał brat Lucien, stawiając Manuela na nogi. – Bóg ci dopomoże.

– Bóg będzie musiał mi pomóc – odparł Manuel. Widział dusze stojących przed nim mężczyzn trzepoczące ponad ich głowami, małe potrójne węzły jasnego ognia, które wznosiły się ponad ich głowami i oświetlały rysy twarzy.

– Złoto twojej duszy powinno być oczyszczone i widoczne jak ogień – przypomniał sobie Manuel.

– Ciii – syknął Lucien i chłopiec uświadomił sobie, że to, co zakonnik mu czytał, było tajemnicą.

Po wyjściu na pokład Manuel zobaczył, że potrafi widzieć powietrze, które zabarwiło się na czerwono. Byli na dnie oceanu czerwonego powietrza, podobnie jak byli na powierzchni oceanu błękitnej wody. Oddychali nim, a powietrze czerwieniało coraz bardziej, z ust mężczyzn wydobywały się czerwone pióropusze, jak u koni, którym z nozdrzy wydobywają się chmury pary w mroźny poranek, tym razem jednak para była purpurowa.

Manuel patrzył i patrzył dziwiąc się, jakimi to nowymi zdolnościami obdarzył Bóg jego oczy.

– Tutaj – powiedział Laeghr wskazując pokład. – Ten kubeł z hubą jest twój. A to jest lont, rozumiesz?

Tuż przy burcie, stał kubeł pełen zwojów mocno splecionego sznura. Jeden jego koniec zwisał przez krawędź kubła, tląc się. Manuel pokiwał potakująco głową.

– To jest lont.

– Tutaj masz nóż. Tnij sznur na odcinki mniej więcej tej długości i zapalaj je. A potem dawaj strzelcom, którzy po nie przyjdą, albo zanieś, jeżeli zawołają. Ale nie oddaj wszystkich zapalonych kawałków, rozumiesz?

Manuel skinął głową pokazując, że zrozumiał, a ponieważ znowu zakręciło mu się w głowie, usiadł obok kubła. Jedna z największych armat umocowana była przy burcie, parę stóp od niego. Obsługujący ją przywitali się z Manuelem. Jego przyjaciele stali przy relingu rufowym, po drugiej stronie pokładu. Wszyscy wokół biegali i krzyczeli. Ponad burtą Manuel widział brzeg Anglii. Pojawił się Laeghr, który chciał sprawdzić czy wszystko jest w porządku.

– Hej, chłopcze, nie spuszczaj nosa na kwintę. Spójrz tam. To jest wyspa Wight. Mamy zamiar ją okrążyć, a potem podbić. I tak się stanie, z całą pewnością. A potem będzie ona bazą do wypadów na stały ląd. Mamy takich żołnierzy i statki, że n i g d y nie wyrzucą nas z tej wyspy. To jest dobry plan.

Ale wydarzenia nie potoczyły się zgodnie z przepowiedniami Laeghra. Armada opłynęła wyspę od wschodu, ale pierwsze z galeasów spotkały się z twardym oporem Anglików. Białe kłęby dymu, które pojawiły się nad statkami szybko brudziły się na czerwono. Panował straszliwy hałas.

Potem okręty El Draco rozciągnęły się wzdłuż południowego brzegu wyspy i nagle „La Lavia" znalazła się w samym środku bitwy. Żołnierze wrzeszczeli i strzelali. Wielka armata w pobliżu Manuela tak odskoczyła do tyłu, że uderzenie rzuciło chłopca o pokład. Po tym prawie przestał słyszeć. Nagle jego lont zaczął być potrzebny, ciął sznur i zapalał od tlącego się końca, pomagając sobie czerwonym oddechem. Kule armatnie przelatujące nad jego głową znaczyły ślad w krwawym powietrzu jak na wodzie. Osmaleni mężczyźni łapali w pośpiechu lont, uskakując przed blokiem talii walącym o pokład. Manuel widział kule, wielkie jak grejpfruty, ze świstem lecące w nich z angielskich statków. Widział też jasne płomienie, wirujące ponad głowami ludzi.

W pewnym momencie jedna z kul trafiła w burtę, wyrzucając armatę z lawety. Ludzi cisnęło o pokład. Kiedy Manuel podniósł się, ujrzał z przerażeniem poszarpane ciała kanonierów bezwładnie leżące wokół. Płomienie znad ich głów zniknęły. Próbował, szlochając podnieść jednego z nich, który krwawił tylko z ucha. Laska Laeghra uderzyła go przez plecy.

– Tnij lont. Inni się nim zajmą.

Więc Manuel ciął sznur i zapalał go, podczas gdy działa grzmiały, nie mający gdzie się ukryć żołnierze padali pod gradem żelaza, a przelatujące kule rozrywały czerwone powietrze.

Takie same bitwy powtórzyły się w ciągu następnych dni, aż Armada została zmuszona do cofnięcia się w górę Kanału. Ponieważ gorączka nie dawała mu spać, Manuel pomagał nocami przy rannych, znosząc ich z pokładu, ocierając im pot z twarzy, sam prawie tak nieprzytomny jak oni. Rano jadł suchary, wypijał kubek wina i siadał na stanowisku z lontem.

„La Lavia", która była największym ze statków lewej flanki, przyjmowała zawsze najmocniejszy atak Anglików. Trzeciego dnia bramreja grotmasztu zwaliła się na pokład, miażdżąc Hanana i Pietro. Manuel rzucił się im z pomocą, krzycząc w udręce. Zaniósł oszołomionego Juana do ich koi i wrócił na pokład, po którym ludzie biegali jak oszalali. On jednak nie zwracał na nich uwagi. Przeskakiwał przez czerwoną mgłę, która prawie zaćmiewała mu wzrok, nosząc kawałki lontu kanonierom, wyczerpanym tak, że nie mieli już sił wysyłać do niego ludzi. Pomagał znosić rannych do lazaretu, który stał się prawdziwym przedsionkiem piekła. Pomagał wyrzucać trupy, odmawiając za każdym razem krótką modlitwę, pomagał żołnierzom kryjącym się za burtą statku w oczekiwaniu na to, żeby Anglicy znaleźli się w zasięgu strzału.

Na pokładzie słychać było „Manuel, podaj lont", „Manuel, wody", „Pomocy, Manuel". A on w chorobliwej gorączce śpieszył do każdego. W ciągłym biegu, prawie wpadł na swoją patronkę, świętą Annę, która nagle stanęła obok niego. Jej obecność przestraszyła go.

– Babciu! – krzyknął. – Nie powinnaś tutaj być, tu jest niebezpiecznie.

– Ty pomagasz innym, więc ja przybyłam, żeby pomóc tobie – odpowiedziała. Wskazała przez purpurową bryzę na jeden z angielskich statków, z którego, niby płynąc po wodzie, sunęła kula. Widział ją tak wyraźnie, jakby obserwował oliwkę rzuconą w niego z drugiego końca pokoju: okrągłą, czarną kulę, leniwie się obracającą i rosnącą w oczach. Manuel wiedział, że była skierowana wprost w niego, trajektoria przecinała jego serce.

– Och, błogosławiona Anno – wyszeptał, mając nadzieję, że zwróci to uwagę świętej. Ale ona widziała kulę wcześniej i lekko dotknąwszy czoła chłopca uniosła się w górę ponad nie widzącymi jej żołnierzami. Manuel widział równocześnie pocisk i świętą. Pod dotknięciem jej dłoni, spadł takielunek grotrei przecinając drogę kuli, kierując ją w dół, tak że uderzyła w zrąb statku i ugrzęzła w drewnie. Manuel wpatrywał się w to z otwartymi

Gry

Zabawa w fantastykę



Otwarcie sklepu z grami w Londynie



Nasza redakcja co miesiąc otrzymuje z Wielkiej Brytanii dość szczególne czasopismo. Szczególne nie dlatego, że bardzo kolorowe, drukowane na znakomitym papierze i doskonałe technicznie (do tego przyzwyczailiśmy się, oglądając kolejne numery „Fantastyki"), ale z powodu tematyki, której jest poświęcone. „White Dwarf" – po polsku „Biały Krasnolud", taki jest jego tytuł – zapełnia swoje osiemdziesiąt cztery strony opisami i reklamami gier, z których wszystkie mają nagłówki science fiction lub fantasy. W samym istnieniu tego pisma nie ma niczego, co by nas mogło dziwić, zaskakujący natomiast jest jego nakład – grubo ponad sto tysięcy egzemplarzy. Takim nakładem nie może się pochwalić żaden z zachodnich magazynów, poświęconych fantastyce jako literaturze. A „White Dwarf" jest tylko jednym z kilkudziesięciu ukazujących się na świecie pism tego typu, z których bodaj połowa skupia swoją uwagę wyłącznie na grach science fiction i fantasy.

Nie mam oczywiście zamiaru sugerować, że również nam, w Polsce, takie pisma są potrzebne. Nie są, a przynajmniej nie w tej chwili. Zwracam jedynie uwagę na zjawisko. Moglibyśmy je ignorować, zapatrzeni wyłącznie w literaturę i film, szukający w fantastyce przekazów skomplikowanych i głębokich prawd o człowieku i o społeczeństwach. Na szczęście nie musimy, nie musimy zapominać, że fantastyka w tej formie, w jakiej ją dzisiaj znamy narodziła się przede wszystkim po to, żeby bawić, żeby dawać ludziom chwilę odpoczynku, oderwania od tych właśnie spraw ważnych i niełatwych. Nie jest więc degradacją dla fantastyki przyznanie, że również gry, czyli czysta rozrywka, obok form bardziej szlachetnych – literatury, twórczości plastycznej, filmu – składają się na jej pełny obraz, są jej nieodrodną częścią.

Po tej dygresji, mając czyste sumienie i świadomość, że ani nasi redakcyjni plastycy, poświęcając kilka cennych stron „Fantastyki" na zaczerpnięte z gier ilustracje, ani ja, zajmując kolejne szpalty tymi uwagami, nie marnujemy czasu naszych Czytelników, mogę spokojnie przejść do meritum i opisać podstawowe rodzaje „gier w fantastykę".

Charakterystyczne dla każdej dynamicznie rozwijającej się twórczości jest to, że w równym stopniu przejmuje ona stare, już istniejące wzorce, być może rozwijając je, jak i tworzy zupełnie nowe. Tak też dzieje się w sferze gier fantastycznych. Ich trzy główne rodzaje, stanowiące ogromną większość tego, co każdego roku ukazuje się na rynkach zachodnich to: dobrze i od dawna znane gry planszowe (board games), książki-gry (game books), które swoją popularność, a bodaj czy nie i powstanie zawdzięczają fantastyce, oraz gry fabularne (role-playing games), „wynalezione" kilkanaście lat temu dla fantastyki i właściwie tylko w jej obrębie i dzięki niej istniejące.



Trudno powiedzieć, które z tych gier cieszą się największym powodzeniem, jednak choćby z lektury wspomnianego brytyjskiego pisma wynika, że dominującym merytorycznie, najbardziej nośnym rodzajem są gry fabularne. Nic w tym dziwnego, gdyż są one najbardziej skomplikowane, a jednocześnie zostawiające graczom największą swobodę w wyborze odpowiadających im wariantów czy sposobów rozgrywki. Ze względu na stopień komplikacji, a także z uwagi na odejście od pewnych, podstawowych dotychczas konwencji trudno je właściwie nazywać grami – są to raczej całe, wymyślone od podstaw światy, posiadające własne prawa, określoną strukturę społeczną, geografię.

Pierwszą grę fabularną stworzyli w połowie lat siedemdziesiątych dwaj Amerykanie, Gary Gygax i Dave Arneson, dając jej tytuł „Dungeons and Dragons". Drukowana początkowo metodą chałupniczą, bardzo szybko zdobyła taką popularność, że mogła stać się bazą, na której ci dwaj panowie w ciągu kilku lat zbudowali największą na świecie firmę, zajmującą się produkcją gier.

„Dungeons and Dragons" ustaliło pewne kanony, które obecnie stanowią wyróżnik wszystkich gier fabularnych. Gracze nie występują przeciwko sobie – stanowią działającą wspólnie grupę, której zadaniem jest poznanie przedstawianej im, wyimaginowanej rzeczywistości. Ta rzeczywistość, świat, opierający się na konwencji science fiction lub, częściej, fantasy tworzony jest od początku do końca przez Mistrza gry. Trzymając się utartych pojęć można powiedzieć, że Mistrz jest jedynym przeciwnikiem pozostałych graczy, ale jest to prawda tylko w tym sensie, w jakim dla nas, żyjących realnie, przeciwnikiem jest samo życie. Każdy z graczy prowadzi stworzoną według obowiązujących zasad i mieszczącą się w konwencji wymyślonego przez Mistrza świata postać – może to być czarownik w świecie fantasy albo gwiezdny wędrowiec w świecie science fiction. Postać ta ma

ściśle określone cechy charakterystyczne – siłę, inteligencję, wygląd zewnętrzny. Jej zadaniem jest zdobycie wszystkiego, co w danym świecie Mistrz przewidział do zdobycia – potęgi, bogactwa, władzy, szczęścia. Gracz prowadzi ją przez jej wyimaginowane życie, słuchając tego, co mówi Mistrz – opisów sytuacji, okolicy, wydarzeń. Tak więc cała gra właściwie toczy się w wyobraźni – gracze powinni „widzieć" świat, który poznają, powinni go czuć, powinni wcielać się w postać, którą prowadzą.

Rzeczywisty czas rozgrywki właściwie jest nieograniczony – zależy tylko od wielkości stworzonego świata, od liczby celów cząstkowych, wreszcie od chęci oraz cierpliwości graczy i Mistrza.

Sukces pierwszej gry fabularnej musiał oczywiście pociągnąć za sobą naśladownictwa. Od czasu powstania „Dungeons and Dragons" opracowano i wydano dziesiątki systemów, każdy z nich zawierający nie tylko zasady typu „jak, kiedy, dlaczego i po co rzucać kostką", ale również kompletne opisy światów. Czasami ich twórcy wymyślali wszystko od nowa – tak jak w grach „Runequest", „Traveller", „Paranoia", „Judge Dredd" czy w bardzo popularnym ostatnio systemie „Warhammer" brytyjskiej firmy „Games Workshop", a czasami posiłkowali się tym, co już zostało opisane, na przykład systemy „Middle Earth Role Playing" (Tolkien), „Call of Cthulhu" (Lovecraft) czy „Stormbringer" (Moorcock). Niezależnie jednak od sposobu tworzenia fikcyjnego świata, każdy z nich jest wyjątkowy i różny od wszystkich innych i każdy zdobywa swoich zagorzałych zwolenników.



Drugim z podstawowych typów gier fantastycznych są gry planszowe. Niemal wszystkie bardzo silnie opierają się na wzorcach wypracowanych przez znane od bardzo dawna gry strategiczne i symulacyjne, zmieniając jedynie fabułkę, nazwy, plansze, wyposażenie pomocnicze. Tak więc zwykle kilku graczy, występując przeciw sobie, ma za zadanie zdobycie władzy nad jakimś terytorium, pokonanie przeciwników, znalezienie skarbu, itp. Do ich dyspozycji stoją oddziały wojsk (jakkolwiek te wojska wyglądają – mogą to być armie trolli lub smoków), dowódcy, postacie specjalne czy cokolwiek, co autor gry zdołał wymyśleć. „Fantastyczność" tego typu gier jest raczej umowna, polega na rekwizytach, na umieszczeniu akcji w kosmosie czy w rzeczywistości baśniowej. Ich zasady, przebieg samej rozgrywki są zwykle typowe dla gier strategicznych lub symulacyjnych. Dobrymi przykładami służą tu produkty warszawskiej firmy „Encore" – „Bitwa na polach Pellenoru", „Ratuj swoje miasto" czy „Gwiezdny kupiec".

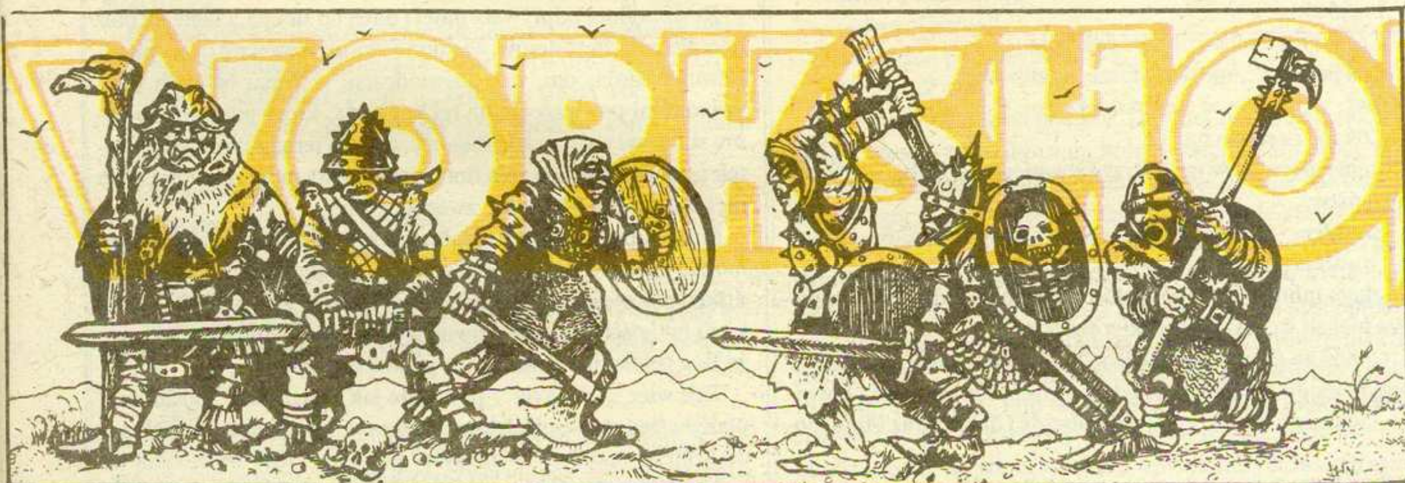
Gatunkiem jakby nieco odrębnym są gry planszowe, stanowiące uproszczenie gier fabularnych, przejmujące od swych pierwowzorów tylko te elementy, które są najbardziej uchwytne, najłatwiej dają się ująć liczbowo – zmienne cechy postaci czy współpraca grupy graczy przeciwko celowi, postawionemu przez samą grę. Tego typu grą, istniejąca już na naszym rynku jest „Labirynt śmierci" wspomnianej firmy „Encore". Do tego typu gier należy również, opisywana już przez nas „Magia i Miecz" (patrz: „Fantastyka" nr 6/88), która według zapewnień producenta, spółki „Sfera", powinna być osiągalna pod koniec bieżącego roku.

I wreszcie książki-gry, ostatni z najpopularniejszych typów „zabawy w fantastykę", najprostszy z nich, a jednocześnie, być może właśnie dzięki prostocie, najlepiej się sprzedający. Zewnętrznie game books niczym nie różnią się od kieszonkowych wydań powieści lub opowiadań, jednak nie są czytane tak jak dzieła literackie – strona po stronie. Gracz, czy może raczej czytelnik, znajduje w nich kilkaset numerowanych, krótkich opisów sytuacji lub wydarzeń. Po zapoznaniu się z takim opisem, może się do niego ustosunkować. Ma do wyboru kilka wariantów zachowania i w zależności od tego, który z nich wybierze jest odsyłany do kolejnego fragmentu tekstu, zwykle w zupełnie innej części książeczki. Jego zadaniem jest rozwikłanie zagadek, przeprowadzenie narzuconego mu bohatera przez niebezpieczeństwa i w rezultacie osiągnięcie postawionego przez grę celu. Książki-gry są adresowane do najmłodszych odbiorców i zarówno poziomem komplikacji, jak formą i językiem opisów dostosowują się do wymagań dziesięcio- czy trzynastolatków. Najpopularniejszą, a chyba również pierwszą, prekursorską, serią książek-gier jest liczący kilkadziesiąt tytułów cykl „Fighting Fantasy", którego twórcami są Anglicy Steve Jackson i Ian Livingstone.

(djt)



GAMES



ustami. Pomachał świętej Annie, a ona, również kiwnąwszy mu na pożegnanie, odpłynęła przez czerwone chmury do nieba. Manuel ukląkł, odmówił dziękczynną modlitwę do niej i do Jezusa, który ją przysłał, i rzucił się do cięcia lontu.

Tej lub następnej nocy – Manuel nie był tego pewien, ponieważ przepływ czasu stał się dla niego jakby zmienny i nieuchwytny, a co najważniejsze bez znaczenia – Armada zakotwiczyła w Calais Roads, niedaleko brzegu flamandzkiego. Po raz pierwszy od czasu kiedy opuścili Corunnę „La Lavia" nie płynęła i wsłuchujący się w noc Manuel uświadomił sobie jak wiele z nieustannego gwaru było głosami ludzi, nie statku. Wypił szybko swoją porcję wina i wody i poszedł na koniec niższego pokładu, porozmawiać z rannymi. Wielu chciało, żeby ich dotknął, ponieważ to, że wyszedł cało nawet z najgorszych momentów rzezi nie przeszło niezauważone. Dotykał ich więc, a kiedy chcieli, odmawiał modlitwę. Potem wyszedł na pokład. Wiała lekka bryza z południowego zachodu, statek kołysał się łagodnie na falach. Pierwszy raz od tygodnia powietrze nie było nasycone czerwienią. Manuel widział gwiazdy i odległe ognie na flamandzkim brzegu, jak gwiazdy, które spadły i teraz dopalały się na ziemi.

Laeghr kuśtykając przechadzał się to w jedną, to w drugą stronę po pokładzie, od czasu do czasu zbaczając, żeby ominąć wyrwy.

– Czy jesteś ranny? – dopytywał się Manuel. Laeghr mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi. Manuel szedł obok niego. Po chwili nawigator zatrzymał się i powiedział:

– Mówią, że jesteś święty, bo ganiałeś po całym statku, kiedy kule padały jak grad i żadna cię nawet nie drasnęła. Ale ja myślę, że głupi ma szczęście. Głupcy tańczą tam, gdzie boją się stąpać aniołowie. To jest częścią naszej kary. Ci, którzy poznali zasady gry i stosują je do końca, zostają ranni, czasami nawet dlatego, że zrobili coś, co powinno ich chronić. A tymczasem ślepi głupcy włażą w sam środek zamieszania i nic ich nawet nie draśnie.

Manuel przyglądał się nierównemu chodowi Laeghra.

– Co jest z twoją nogą?

Zapytany wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co z nią będzie.

Manuel zatrzymał się i spojrzał mu prosto w oczy.

– Święta Anna zjawiła się tu i skierowała w inną stronę kulę armatnią, która leciała prosto na mnie. Uratowała moje życie w jakimś celu.

– Nie – Laeghr uderzył laską o pokład. – To gorączka zrobiła z ciebie szaleńca, chłopcze.

– Mogę ci pokazać, gdzie ta kula uderzyła. Trafiła w zrąb statku.

Laeghr odszedł, pociągając sztywno nogą.

Manuel patrzył poprzez wodę na Flandrię, zmartwiony słowami tamtego i jego kulejącą nogą. Nagle zobaczył coś, czego nie umiał pojąć.

– Laeghr?

– Co? – głos dochodził z śródokręcia.

– Coś jasnego... może to dusze Anglików...

– Co?

– Coś zbliża się do nas.

Manuel usłyszał świst wstrzymywanego oddechu i wybuch przekleństw.

– Brandery – Laeghr ryknął całą mocą swoich płuc. – Brandery. Budźcie się.

W ciągu minuty statek napełnił się wrzawą i harmidrem, żołnierze biegali we wszystkich kierunkach.

– Chodź ze mną – Laeghr krzyknął do Manuela, idąc już w stronę pokładu dziobowego, gdzie zwisała do wody lina kotwiczna. Gdzieś po drodze zdobył halabardę i dał ją teraz Manuelowi.

– Tnij linę.

– Stracimy kotwicę.

– Te brandery są zbyt duże, żeby je zatrzymać, a jeżeli trafią nas, statek eksploduje i wszyscy zginiemy. Tnij ją!

Manuel zaczął walić w grubą linę, która przypominała pień młodego drzewa. Uderzał i uderzał, ale udało mu się przeciąć tylko jeden splot, kiedy Laeghr złapał za halabardę i sam zaczął walić, niezgrabnie starając się przy tym uniknąć oparcia ciężaru swego ciała na chorej nodze. Usłyszeli głos kapitana:

– Przeciąć linę kotwiczną!

Laeghr roześmiał się.

Lina puściła i popłynęli swobodnie. Ale brandery były tuż za nimi. Manuel widział w piekielnym świetle angielskich żeglarzy na płonących pokładach, przechodzących przez płomienie jak salamandry czy demony. Bez wątpienia musieli być szatanami. Ognie wznoszące się ponad ośmioma branderami były żywiołem diabelskich Anglików. Niektóre z płomieni odrywały się i starały dostać na „La Lavię", żeby ją spopielić. Manuel powstrzymywał je swym drewnianym medalionem i gestem, którym na Sycylii, kiedy był małym chłopcem, odżegnywano się od złego spojrzenia. W tym czasie wszystkie statki zostały odcięte od kotwic i dryfowały na fali. W zamieszaniu zderzały się, usiłując umknąć branderom. Kapitanowie i oficerowie wrzeszczeli w furii na swych kolegów z innych statków, ale na próżno. W ciemności i bez kotwic żaglowce nie mogły się bezpiecznie mijać i nim minęła noc, większość z nich spoczęła na dnie Morza Północnego.

Po raz pierwszy szyki Armady zostały złamane, żeby już nigdy nie uformować się na nowo.

Kiedy już było po wszystkim, „La Lavia" utrzymywała swoje położenie za pomocą żagli, podczas gdy oficerowie starali się rozpoznać dryfujące w pobliżu okręty i dowiedzieć jakie są rozkazy admirała Mediny Sidonii. Manuel i Juan stali na pokładzie razem z resztą mężczyzn należących do ich wachty.

– Kiedyś w Portugalii robiłem korki – odezwał się Juan. – Byliśmy jak taki korek, wepchnięci w Kanał jak w szyjkę. Jak długo tam siedzieliśmy, wszystko było w porządku, szyjka zwężała się i nigdy by nas z niej nie wyciągnęli. Ale teraz Anglicy wepchnęli nas do środka butelki. Pływamy we własnych mętach. I nigdy się już stąd nie wydostaniemy.

– W każdym razie nie przez szyjkę – zgodził się z nim ktoś inny.

– W żaden sposób.

– Bóg doprowadzi nas do domu – odezwał się Manuel. Juan pokręcił z niedowierzaniem głową.

Admirał Medina Sidonia postanowił, że zamiast próbować przedrzeć się przez Kanał, Armada powinna opłynąć Szkocję i wrócić do domu. Laeghra zabrano na statek flagowy, gdzie spędził cały dzień pomagając wyznaczać kurs, bo znał północ jak żaden z hiszpańskich pilotów.

Rozbita flota odpływała dalej i dalej od słońca, ciągle na północ. Po nocy branderów, Medina Sidonia wzmocnił dyscyplinę. Pewnego dnia, oni, tak doświadczeni w wielu bitwach, byli świadkami powieszenia na rei kapitana, który pozwolił swojemu statkowi wyprzedzić flagowy, co było teraz zabronione. Statek przepłynął przed całą flotą, żeby każdy mógł zobaczyć ciało nieposłusznego kapitana, zwisające z rei.

Manuel patrzył na to z niesmakiem, nigdzie w chmurach nie mógł dostrzec duszy kapitana, może wpadła do morza w swojej drodze do piekła. Człowiek, kiedy już nie żył, był tylko workiem na kości. To było dziwne wydarzenie – śmierć. Ciekawe, że Bóg jaśniej nie pokazał, co po niej następuje.

Tak więc „La Lavia", podobnie jak reszta floty, posłusznie płynęła śladem admiralskiego flagowca, dalej i dalej na północ, do królestwa zimna. W niektóre poranki, kiedy wychodzili na pokład oświetlony bladym brzaskiem, liny były całkiem zlodzo-

ne i wyglądały jak sznury diamentów. Niekiedy wydawało się, że płyną przez morze mleka, pod srebrnym niebem. Kiedy indziej ocean miał kolor siny, a niebo było tak jasnoniebieskie, że Manuel zachłystywał się pragnieniem, żeby żyć. Ale marzł do szpiku kości. Wspominał z lubością noce, kiedy paliła go gorączka, jakby myślał o pierwszym domu na brzegach Afryki Północnej.

Wszyscy ludzie cierpieli z zimna. Ogień wygasł, zamknięto więc kuchnie i nie było już gorącej zupy. Admirał zarządził racjonowanie żywności, dotyczące wszystkich, także jego – osłabionego chorobą i całą drogę spędzającego w koi. Jednak dla ciężko pracujących żeglarzy, którzy musieli ciągnąć mokrą albo zlodowaciałą linę, było to znacznie trudniejsze. Manuel patrząc na ich ponure twarze, gdy stali w kolejce po dzienną swoją rację – dwa suchary i duży kubek wina rozcieńczonego wodą, myślał, że będą tak płynąć ciągle na północ, aż słońce znajdzie się poniżej horyzontu. Będzie to lodowe królestwo śmierci na biegunie północnym, gdzie Boska moc nie dociera, i tam, zrezygnowani, umrą. Rzeczywiście, wiatry dopchały ich prawie do Norwegii i wykonanie zwrotu, żeby popłynąć na zachód kosztowało ich wiele trudu. Kiedy im się to wreszcie udało, odkryli nowe przecieki w kadłubie „La Lavii", a wtedy ludzie, i tak zmęczeni do granic wytrzymałości po przeprowadzeniu manewru musieli wziąć się za pompowanie wody. Pół kwarty wina i pół kwarty wody dziennie nie wystarczyło przy takim wysiłku. Zaczęli umierać. Dezynteria, przeziębienia, najmniejsze skaleczenie kończyło się szybko śmiercią.

Manuel znowu widział powietrze. Tym razem było prawie granatowe, szczególnie ciemne, kiedy ludzie je wydychali. Wszyscy okryci byli jakby całunem, który zaćmiewał płonące ogniki ich dusz. Chorzy marli jeden za drugim. Wielu z nich wzywało w swoich ostatnich momentach Manuela, musiał trzymać ich za ręce, dotykać ich czół, a kiedy dusze wylatywały im z głów, jak ostatnie iskry z gasnącego paleniska, modlił się za nich. A za chwilę ktoś inny, zbyt słaby, żeby podnieść się z koi, wołał go, on zaś szedł i był z nimi w ich nieszczęściu. Dwóch z tych ludzi wróciło do zdrowia, mimo że przeszli dezynterię, jeszcze częściej więc proszono o jego obecność. Nawet sam kapitan zażyczył sobie, żeby Manuel dotknął go, kiedy poczuł się chory, ale mimo to zmarł, jak większość innych.

Pewnego ranka Manuel stał z Laeghrem, oparty o burtę statku. Było zimno, niebo zakryły chmury, a morze miało kamienny kolor. Żołnierze wyprowadzili na pokład konie i spychali je teraz do wody. Trzeba było oszczędzać wodę.

– Należało to zrobić zaraz po tym jak wypłynęliśmy ze Sleeve – odezwał się Laeghr. – Marnotrawstwo wody.

– Nawet nie wiedziałem, że na pokładzie są konie – powiedział Manuel. Laeghr roześmiał się krótko.

– Chłopcze, jesteś królem głupców. Jedna niespodzianka goni drugą.

Patrzyli jak konie niezgrabnie spadają, tocząc wokół oczami, a kłęby niebieskiego powietrza buchały z ich rozdymających się chrap podczas krótkiej próby utrzymania się na wodzie.

–Z drugiej strony, powinniśmy zjeść niektóre z nich – dodał Laeghr.

– Końskie mięso?

– Na pewno nie jest niejadalne.

Konie zniknęły, pokryte kamienną wodą.

– To jest okrutne – odezwał się Manuel.

– Nie spętane konie pływają godzinami – odpowiedział Laeghr. – Tak jest lepiej. – Wskazał na zachód. – Widzisz te wysokie chmury?

– Tak.

– Wiszą nad Orkadami. Orkadami albo Szetlandami, już nie jestem tego pewien. To ciekawe, czy ci głupcy potrafią przeprowadzić bezpiecznie ten wrak między wyspami.

Rozglądając się wokół, Manuel doliczył się tylko około tuzina statków, prawdopodobnie reszta Armady znajdowała się poza horyzontem, hen przed nimi. Zatrzymał się, myśląc o tym, co właśnie powiedział Laeghr, bo oczywiste było, że to właśnie on będzie ich prowadzić przez najbardziej wysunięte na północ wyspy brytyjskie. W tym momencie oczy Laeghra uciekły w bok, jak przed chwilą oczy koni i nawigator upadł na pokład. Manuel z kilkoma innymi żeglarzami zaniósł go na dół, do szpitala.

– To jego noga – stwierdził brat Lucien. – Stopa została zmiażdżona i teraz noga zaczyna gnić. Powinien był pozwolić mi ją amputować.

Około południa Laeghr odzyskał przytomność. Manuel, który nie ruszył się nawet na moment od jego boku, trzymał go za rękę, ale Laeghr zmarszczył się gniewnie i wyrwał mu ją.

– Posłuchaj – odezwał się z trudem. Jego dusza nie była niczym więcej, niż niebieskim kapturkiem przykrywającym splątane, szpakowate włosy. – Nauczę cię paru słów, które mogą ci się później przydać.

Wolno wymówił:

– *Tor conaloc an dhia.*

A Manuel powtórzył je.

– Powtórz je jeszcze raz. – Manuel powtarzał sylaby raz po raz, jak łacińską modlitwę. Laeghr kiwał głową. – *Tor conaloc an naom dhia.* Dobrze. Zapamiętaj te słowa – potem zapatrzył się w belki nad swoją głową i nie odpowiadał już na żadne pytania Manuela. Uczucia grały na jego twarzy jak cienie. Wreszcie odwrócił wzrok od nieskończoności i spojrzał na Manuela.

– Dotknij mnie, chłopcze.

Manuel położył dłoń na jego czole. Laeghr z sardonicznym uśmiechem zamknął oczy, a korona niebieskich płomyków przepłynęła przez strop nad ich głowami i znikła. Pochowali go tego samego popołudnia, przy zamglonym, diablesko czerwonym zachodzie słońca. Brat Lucien odprawił krótkie nabożeństwo mrucząc tak, że nikt nie rozumiał słów, a Manuel przycisnął awers swego medalionu do zimnego ramienia Laeghra, tak że pozostał na nim znak krzyża. Potem wyrzucili go za burtę. Manuel patrzył na to ze spokojem, który jego samego zadziwił. Zaledwie parę tygodni temu krzyczał z gniewu i bólu, gdy jego przyjaciele znikali w odmętach, a teraz patrzył z niezrozumiałym dla samego siebie spokojem, kiedy człowiek, który go uczył i chronił, niknął w szarej wodzie.

Parę nocy później Manuel siedział obok swoich pozostałych kompanów, śpiących przy sobie jak kocięta. Patrzył na błękitne płomienie błąkające się nad wycieńczonymi ciałami, patrzył bez powodu i bez żadnych uczuć. Był zmęczony.

Brat Lucien zajrzał przez wąskie wejście i zapytał szeptem:

– Manuelu, jesteś tutaj?

– Jestem.

– Chodź ze mną.

Manuel podniósł się i ruszył za zakonnikiem.

– Gdzie idziemy?

Brat Lucien potrząsnął głową.

– Nadszedł czas.

Potem mówił coś po grecku. Trzymał małą, ze świecą osłoniętą z trzech stron, latarnię, która oświetlała im drogę w dół.

Koja Manuela, chociaż znajdowała się poniżej pokładu artyleryjskiego, nie była na najniższym poziomie statku. Poniżej istniały jeszcze trzy, już bez otworów, pod linią wody. Tutaj, w wiecznym mroku, zmagazynowane były beczki z wodą i sucharami, kule armatnie, liny i inne zapasy. Przeszli przez prochownię, gdzie iskra z butów mogła spowodować wysadzenie całego statku. Doszli do luku, trap wiódł ich na jeszcze niższy pokład. Im niżej schodzili, tym węższe stawały się przejścia. Manuel zdziwił się, gdy okazało się, że mają zejść jeszcze głębiej, bo wyobrażał sobie, że już są w zenzie, albo jakimś dziwnym miejscu przyczepionym pod statkiem. Ale Lucien wiedział dokąd idą.

Schodzili przez labirynt wilgotnych, czarnych, drewnianych przejść. Manuel dawno już stracił orientację i trzymał za ramię zakonnika, bojąc się, że mogliby zostać rozdzieleni, a on znalazłby się w beznadziejnej pułapce bez wyjścia. Wreszcie doszli do drzwi, stanowiących kres ich drogi. Lucien zastukał, wyszeptał coś i drzwi otworzyły się wypuszczając tyle światła, że oślepiło ono Manuela.

Po wąskich przejściach, które przebyli, pomieszczenie, w którym się znaleźli wyglądało na bardzo duże. Znajdował się tu wiązacz liny kotwicznej, tuż nad kilem. Od czasu spotkania z branderami „La Lavia" nie miała go wiele, to co pozostało leżało pod ścianami pomieszczenia. Oświetlenie stanowiły świece osadzone na małym żeliwnym świeczniku przybitym do jednej z belek. Podłoga zalana była na cal wodą, która odbijała płomyki świec – małe plamki białego światła. Zaokrąglone ściany ociekały wilgocią i lśniły. Na środku pomieszczenia ustawiona była skrzynia, okryta jakimś materiałem. Wokół niej stało kilku mężczyzn: żołnierze, jeden z niższych rangą oficerów i paru żeglarzy, których Manuel znał tylko z widzenia. Przeźroczyste węzły kobaltowych płomieni nad ich głowami nadawały niebieski poblask oświetleniu pomieszczenia.

– Jesteśmy gotowi – jeden z nich odezwał się do Luciena. Zakonnik poprowadził Manuela w stronę skrzyni, a pozostali stanęli wokół nich. W miejscu, gdzie burta schodziła się niedokładnie z podłogą, tworząc szparę, Manuel zauważył dwa duże szczury o lśniących, brązowych futrach, mrugające ślepiami i ruszające wąsami, zdziwione obecnością ludzi. Manuel zmarszczył brwi i jedno ze zwierząt zanurkowało w wodę pokrywającą podłogę. Płynęło pod ścianą, a ogon śmigał w przód i w tył, jak mały wąż, zdradzając przed Manuelem prawdziwą naturę szczura. Drugi stał nieruchomo, spokojnie.

Pochylony nad skrzynią Lucien popatrzył po kolei na każdego z mężczyzn i powiedział coś po łacinie. Manuel zrozumiał pierwszą część: „Wierzę w Boga Ojca, Pana Wszechmogącego, Stworzyciela Nieba i Ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych..." Lucien mówił głosem silnym, ale kojącym, błagalnym, ale pełnym dumy. Kiedy skończył wyznanie wiary, sięgnął po drugą książkę, tę cienkę, którą zawsze nosił przy sobie i przeczytał po hiszpańsku:

– „Wiedz, o Izraelu, że to co człowiek nazywa życiem i śmiercią, jest jak białe i czarne paciorki nanizane na nić; a nić wielkiej zmiany jest moim własnym, niezmiennym życiem, które wiąże razem nie kończący się sznur małych żywotów i małych śmierci!

Wiatr zepchnął statek na głębiny; błądzące wiatry zmysłów spychają człowieka w odmęty.

Ale patrz! Nadejdzie dzień, kiedy światłość, która jest, uspokoi wszystkie wichry i zwiąże ciemność, a ci, którzy w niej żyli, będą błogosławieni przez jasność, która spłynie z tronu".

W tym czasie, kiedy Lucien czytał, jeden z żołnierzy postawił na skrzyni talerz z sucharami. Ciasto było twarde, jak zwykle po paru miesiącach na morzu i ktoś musiał zadać sobie wiele trudu, żeby je pokroić, a następnie wygładzić, tak że powstały cieniutkie opłatki, prawie przezroczyste, o barwie miodu. Trafiające się niekiedy dziury wydrążone przez robaki nadawały im wygląd starych monet, sprasowanych i używanych jako biżuteria.

Następnie żołnierz przyniósł pustą, szklaną butlę o odciętej szyjce, będącej jakby misą. Sięgnąwszy drugą ręką po gąsiorek napełnił ją do połowy okropnym winem, które pili na „La Lavii". Obszedł z nią grupę skupioną wokół zakonnika, który kończył właśnie czytać. Wszyscy mężczyźni mieli nacięcia na rękach, z których ciekła krew i każdy z nich przytrzymał otwartą ranę nad misą, aż wino stało się tak ciemne, że dla Manuela widzącego niebieskie płomienie, było ciemnofioletowe.

Żołnierz postawił misę na skrzyni obok talerza z opłatkami. Brat Lucien skończył czytać, spojrzał przed siebie i wypowiedział końcową frazę:

– „O kaganki ognia! Rozjaśnijcie głębokie jaskinie naszych zmysłów; niech ciepło i światło spłynie na Twoich umiłowanych, żebyśmy mogli być jednym w Tobie".

Wziąwszy w ręce talerz, obszedł pomieszczenie, kładąc opłatek w usta każdego z obecnych.

– Ciało Chrystusa. Ciało Chrystusa...

Manuel chwycił zębami kawałek suchara i przełknął go. Zrozumiał wreszcie, co robią. To była msza za zmarłych. Msza za Laeghra i za nich wszystkich, bo byli zgubieni. Poza wilgotnymi, zaokrąglonymi ścianami pomieszczenia, w którym się znajdowali, było głębokie morze, napierające na wręgi statku, napierające na nich. I wreszcie zostaną połknięci, zatoną, żeby stać się pożywieniem dla ryb, po czym ich kości staną się ozdobą dna oceanu, gdzie Bóg rzadko zagląda. Manuel z ledwością przełknął suchar przez ściśnięte gardło. Kiedy brat Lucien sięgnął po obciętą butelkę i powiedziawszy: „Krew Chrystusa", chciał przytknąć ją do ust, Manuel wyjął butelkę z rąk zakonnika. Żołnierz zrobił krok w ich stronę, ale Lucien zatrzymał go ruchem ręki. Potem zakonnik uklęknął przed Manuelem i przeżegnał go, ale odwrotnie, jak to robią Grecy, z lewej do prawej. Manuel powiedział: – Jesteś krwią Chrystusa – i przytknął naczynie do ust Luciena, nachyliwszy się, żeby ten mógł wypić. Potem powtórzył to przy każdym z mężczyzn, także przy żołnierzu.

– Jesteś Chrystusem. – Po raz pierwszy brali udział w tej części komunii i niektórzy przełykali płyn z trudnością. Kiedy wszyscy wypili, Manuel uniósł naczynie do ust i opróżnił je.

– Księga brata Luciena mówi, że wszyscy będą zbawieni przez jasność, która jest koroną ognia, i wszyscy staniemy się Chrystusem. I tak jest. Wypiliśmy i staliśmy się nim. Spójrzcie – wskazał na szczura, który stał teraz na tylnych łapach i mył przednie, tak że wyglądał jakby się modlił, wpatrując jasnymi okrągłymi ślepiami w Manuela – nawet to zwierzę wie o tym.

Odłamał kawałek suchara i pochylił się podając go szczurowi, który wziął okruchy w łapki i zjadł je. Pozwolił Manuelowi dotknąć się. Gdy ten podnosił się, poczuł krew uderzającą mu do głowy. Nad każdym z obecnych mężczyzn lśniła korona ognia sięgająca aż do belek stropu i napełniająca pomieszczenie światłem.

– On jest tutaj – krzyknął Manuel. – Widzicie, zesłał na nas światło. – Dotykał po kolei czół obecnych i widział, jak

Kim Stanley ROBINSON

Amerykański autor SF. Opowiadanie „Czarne powietrze", mimo że trudno byłoby je zaliczyć do fantastyki naukowej, znalazło się na kilku listach plebiscytowych wśród najlepszych opowiadań z roku 1987. Jest to dobry przykład na ciekawe zjawisko z dziedziny odbioru literatury: miłośnicy science fiction akceptują nietypowe opowiadania „swoich" autorów i prawie nigdy nie akceptują fantastyczno-naukowych utworów pisarzy z zewnątrz. Możliwe, że polega to na legendarnym zmyśle, czy też światopoglądzie science fiction, który może ujawniać się również w utworach realistycznych. Może jest to po prostu głębokie przekonanie, że świat jest dziwnym miejscem.

A oto fragment listu autora do tłumaczki, naszej redakcyjnej koleżanki: *W odpowiedzi na twoje pytanie: ta mała książeczka, którą cytuje zakonnik jest moim wymysłem. Wzorowałem ją na pismach chrześcijańskich mistyków tamtych czasów, takich jak „Ciemna noc duszy Św. Jana od Krzyża" albo dzieła Św. Teresy z Avila. Ale wszystkie cytaty napisałem sam, po przejrzeniu książek mistyków i teozofów, żeby wyrobić sobie pojęcie o stylu. W moim zamyśle autorem tej książeczki był sam Lucien, wędrowny mistyk–heretyk, działający poza oficjalną ortodoksyjną hierarchią swoich czasów.*

Obecnie pracuję nad utopijną powieścią umieszczoną w bliskiej przyszłości. To bardzo mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę obecny stan rzeczy, ale uważam, że potrzeba nam takich wizji. Jest to książka bardzo trudna do napisania i zmagam się z nią... Ostatnio wyszła moja powieść „The Gold Coast" (Złote Wybrzeże), a we wrześniu Tor wyda „bliźniaki", dwie krótkie powieści złączone „plecami" – moją „Green Mars" i Arthura Clarke'a „The Mind of Medusa"...

Mam nadzieję, że wszystko układa się jak najlepiej tobie, „Fantastyce" i wszystkim, którzy z nią współpracują... Bardzo się cieszę, że zobaczę jedno z moich opowiadań po polsku.

L.J.

oczy otwierają się im w zdumieniu, ponieważ zobaczyli płonące dusze. Wskazując na swe głowy zaczęli się całować, oblani jasnym, białym światłem, obejmowali się, a łzy płynęły im po policzkach, gdy śmiali się i płakali równocześnie. Manuel otoczył ramieniem zakonnika, którego oczy lśniły radością.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Manuel, kiedy się już uspokoili – Bóg zaprowadzi nas do domu.

Wracali na górne pokłady, jak chłopcy bawiący się w jaskini, którą bardzo dobrze znają.

Armadzie udało się przejść przez Orkady bez Laeghra, chociaż niektóre ze statków bliskie były rozbicia się na skałach. I tak znaleźli się na Północnym Atlantyku, gdzie wiatry były silniejsze, a fale większe, wysokie nieraz jak maszty „La Lavii", lub nawet wyższe.

Nadeszły wiatry północno-zachodnie, ostre sztormy, które nigdy nie cichły i w trzy tygodnie później nie byli bliżej Hiszpanii niż w momencie, kiedy przeszli przez Orkady. Sytuacja na „La Lavii" była krytyczna, tak jak i całej floty. Ludzie umierali każdego dnia i wyrzucani byli za burtę bez żadnej ceremonii poza odbiciem medalionu Manuela na ramieniu. Nie trzeba było już tak ograniczać jedzenia i wody, ale nadal porcje nie były wystarczające. „La Lavię" obsługiwała szczątkowa załoga, złożona głównie z żołnierzy. Było ich jednak zbyt mało, żeby pracować przy pompach. Atlantyk wdzierał się każdego dnia nowymi szparami w zniszczony kadłub. Statek zaczął brać wodę w takich ilościach, że pełniący funkcję kapitana statku – który zaczynał podróż jako trzeci oficer – zdecydował, że muszą płynąć wprost do Hiszpanii, nie halsując wcześniej w stronę niedokładnie znanego zachodniego brzegu Irlandii. Podobną decyzję podjęli kapitanowie na kilku innych uszkodzonych statkach i przekazali ją do głównego członu floty, która płynęła dalej na zachód, żeby tam skręcić na południe, w stronę Hiszpanii. Złożony chorobą Medina Sidonia udzielił im swej zgody i „La Lavia" pożeglowała na południe.

Na nieszczęście, kiedy tylko zwrócili się w stronę domu, uderzył sztorm z południowego zachodu. Byli bezradni. Morze rzucało „La Lavią" w doliny fal, żeby po chwili wynieść ją na grzbiet, póki jej biedny kadłub nie został zawleczony tuż do brzegu Irlandii.

I to był koniec, wszyscy to wiedzieli. Manuel także, bo powietrze zrobiło się czarne. Wiszące nad nimi chmury wyglądały jak tysiące angielskich kul armatnich, toczących się tuż ponad masztami statku i walących w morze błyskawicami, kiedy zderzały się ze sobą. Poniżej powietrze także było czarne, tylko mniej gęste, wiatr namacalny jak fale tańczył wokół masztów niczym wściekły dym. Żołnierze dostrzegali po zawietrznej stronie burty brzeg, ale Manuel widział tylko ciemność. Ludzie krzyczeli w lęku, najwyraźniej zachodni brzeg Irlandii był pionową, skalną ścianą. To był koniec.

Manuel czuł wielki podziw dla trzeciego oficera – obecnie kapitana, który wziął w swe ręce ster i krzyknął do obserwatorów na topie masztu, żeby wypatrywali wnęki w klifie, gdzie mogliby wdryfować. Ale Manuel, jak wielu innych, zignorował komendy, żeby pozostać na stanowiskach, bo było to w sposób oczywisty bezcelowe. Stojący na pokładzie mężczyźni obejmowali się, żegnając ze sobą, podczas gdy inni kulili się ze strachu na kojach. Wielu podchodziło do Manuela, prosząc o dotknięcie, a on idąc gniewnie w stronę dziobu statku muskał ich czoła. Kilku z nich natychmiast uleciało prosto do nieba, podczas gdy inni wypadali przez burtę, stając się morświnami w momencie gdy dotykali wody, ale Manuel ledwo postrzegał te wydarzenia, ponieważ pochłonięty był modlitwą, którą wykrzykiwał z głębi serca.

– D l a c z e g o zesłałeś ten sztorm, Panie, d l a c z e g o! Najpierw wiatry z północy trzymały nas, co zresztą było powodem, że znalazłem się tutaj. A więc chciałeś, żebym tu był, ale dlaczego, dlaczego, dlaczego? Juan nie żyje i Laeghr nie żyje, i Pietro, i Habedeen, a niedługo wszyscy umrzemy, dlaczego? To nie jest w porządku. Przecież obiecałeś, że doprowadzisz nas do domu.

Szalony wściekłością Manuel wyciągnął nóż, który służył mu do cięcia lontu, zszedł po trapie do zalanego wodą międzypokładu i znalazł się przy pięcie grotmasztu. Ciął nożem głęboko, ze wstrętem.

– Spójrz! Oto moja odpowiedź na twój sztorm!

– To, co robisz, jest bluźnierstwem – odezwał się Laeghr. – Wiesz, co oznacza godzenie nożem w maszt. Zwłaszcza kiedy robisz to podczas takiego sztormu, obrażasz bogów o wiele starszych od Jezusa.

– I ty mówisz o bluźnierstwie – odpowiedział Manuel. – Zastanów się, dlaczego ciągle jeszcze błąkasz się po morzu jako duch, jeżeli wygadujesz takie rzeczy. Powinieneś trochę bardziej uważać.

Manuel spojrzał w górę i ujrzał świętą Annę dającą znaki trzeciemu oficerowi.

– Słyszałaś co mówi Laeghr? – krzyknął w jej stronę, ale nie słyszała go.

– Czy pamiętasz słowa, których cię uczyłem? – zapytał Laeghr.

– Oczywiście, ale nie zawracaj mi teraz głowy, już niedługo się spotkamy – gdy jednak były nawigator odsunął się, Manuel zwrócił się do niego z pytaniem:

– Laeghr, dlaczego zostałeś tak ukarany? Czyż nie bierzemy udziału w wyprawie krzyżowej? Nie rozumiem tego.

Laeghr uśmiechnął się i obrócił, a Manuel zobaczył wtedy, że ma on skrzydła. Skrzydła o piórach tak intensywnie białych, że aż jaśniały w zakrywającym wszystko mroku.

– Wiesz wszystko, co ja wiem – powiedział Laeghr i trzepocząc skrzydłami odleciał, kierując się na wschód, podobny mewie.

Przy pomocy świętej Anny trzeci oficer znalazł przejście między skałami, będące całkiem dużą zatoką. Inne statki Armady trafiły do niej także i ich załogi wysypywały się teraz na dziką plażę, gdy „La Lavia" zbliżała się do brzegu. Jej kil szorował po dnie i nagle statek zaczął się rozsypywać. Fale przetaczały się nad śródokręciem i Manuel pospieszył do trapu, żeby wydostać się na dziób, który teraz zarzucony był kawałkami fokmasztu. Grotmaszt upadł na pokład i zewnętrzna burta statku złamała się jak zapałka na ich oczach. Pomiędzy pływającymi belkami Manuel zauważył jedną, w której utkwiła czarna kula armatnia, bez wątpienia ta, której drogę zmieniła święta Anna. Przypomniało mu to, że już wcześniej uratowała mu ona życie, więc uspokoił się i czekał na jej pojawienie. Plaża była tylko o parę długości statku przed nim, ledwie widoczna w gęstym powietrzu. Jak większość załogi „La Lavii" Manuel nie potrafił pływać, więc z pewną niecierpliwością szukał wzrokiem świętej Anny, kiedy brat Lucien stanął obok niego owinięty w swe ciemne szaty. Ponad wyciem wiatru Lucien krzyknął.

– Jeżeli się chwycimy jakiejś deski, dopłyniemy do brzegu.

– Płyń – odkrzyknął mu Manuel. – Ja poczekam na świętą Annę.

Zakonnik wzruszył ramionami. Wiatr podwiał jego suknie i Manuel zobaczył, że próbował on uratować złote przybory liturgiczne znajdujące się na statku. Lucien podszedł do nadburcia i skoczył w kierunku kawałka masztu, unoszącego się na wodzie. Okrągła belka wyślizgnęła mu się jednak z rąk i natychmiast utonął.

Dziób był już zalany wodą i niedługo spienione grzywacze miały oderwać go od kila. Większość mężczyzn opuściła już wrak, zawierzając się to temu, to innemu szczątkowi statku, unoszącemu się na wodzie. Ale Manuel czekał nadal. Właśnie gdy zaczynał się martwić, zobaczył błogosławioną babkę Boga stojącą wśród tych, którzy dostali się już na plażę i przyzywającą go gestem. Stała na białej wodzie i w tej chwili zrozumiał.

– Jesteśmy Chrystusem, oczywiście. Przejdę na brzeg, jak

on to kiedyś uczynił. – Sprawdził powierzchnię jednym butem, wydawała się być troszkę, ale naprawdę niewiele, niestała. Był jednak pewien, że go utrzyma – będzie jak podłoga ich, obecnie zniszczonej już, kaplicy. Warstewka wody pokrywającej dobrą, boską solidność. Więc Manuel, gdy odpłynęła kolejna fala wszedł na poziom dziobu i zanurzył się głęboko w słonej wodzie.

– Hej! – wybełkotał walcząc, żeby wydostać się na powierzchnię. – Hej! – Tym razem święta Anna nie odpowiedziała. Jedyne co czuł, to zimną, słoną wodę. Rozpoczął się trudny proces tonięcia. Manuel przypomniał sobie jak szamotał się kiedyś, gdy był jeszcze dzieckiem. Ojciec wziął go na plażę w Maroku, żeby obejrzeć galery pielgrzymów udających się do Mekki. Nic nie mogło mniej przypominać irlandzkiego wybrzeża niż spokojna, gorąca plaża, kiedy wraz z ojcem weszli na płyciznę popluskać się w ciepłej wodzie, goniąc w zabawie za cytrynami. Jego ojciec rzucał cytryny dalej, na głębszą wodę, gdzie kołysały się tuż pod powierzchnią, a wtedy Manuel taplając się, łapał je, dławiąc się i zaśmiewając.

Mógł wyobrazić sobie te cytryny jak prawdziwe, kiedy parskał, kaszlał i rzucał się, żeby jeszcze jeden raz wystawić głowę ponad marznącą breję. Cytryny huśtające się w zielonym morzu, o podłużnych, nierównych kształtach. W kolorze słońca, kiedy jest ono na swoją wysokość ponad horyzontem... kołyszące się łagodnie tuż pod powierzchnią. Manuel udawał, że jest cytryną, a w tym samym czasie próbował przypomnieć sobie prymitywne pływanie po piesku, które stosował bawiąc się wtedy z ojcem. Ramiona mają uderzać w dół? Nie wychodziło. Ale fale przesuwały go, jak cytrynę w stronę brzegu. Nagle uderzył nogami o dno i stanął. Woda sięgała mu tylko do pasa. Jednak kolejna fala uderzyła w niego z tyłu i znowu nie mógł trafić na grunt. To nieuczciwe, pomyślał. Trafił łokciem w piasek, udało mu się obrócić i stanąć. Tym razem woda sięgała mu do kolan. Mając już na oku zdradzieckie fale, wynurzające się z ciemności, parł w stronę plaży pokrytej grubym piaskiem i płachtami wodorostów.

Tam daleko na brzegu byli żołnierze, przyjaciele, którym udało się uratować z wraków. Ale także pomiędzy nimi... żołnierze na koniach... Anglicy – Manuel jęknął – dzierżący w dłoniach miecze i piki wymierzone przeciwko wycieńczonym ludziom, leżącym na wodorostach.

– Nie! – krzyknął Manuel. – Nie!

Ale była to prawda.

– On Boże – jęknął, nogi się pod nim ugięły i usiadł w wodzie. Na brzegu żołnierze atakowali swych braci, rozłupując ich delikatne jak skorupki jajek czaszki. Manuel bił pięściami, w których stracił już czucie o piasek. To, co widział, przerażało go, patrzył jak konie, niby wielkie cienie w mroku, zaczęły schodzić plażą w jego kierunku.

– Będę niewidzialny – postanowił. – Święta Anna uczyni mnie niewidzialnym.

Ale przypomniawszy sobie plan chodzenia po wodzie, postanowił dopomóc cudowi i po dojściu na brzeg schować się za szczególnie wysoką stertę wodorostów. Oczywiście, niewidzialny był bez ich pomocy, ale rośliny zapewnią mu ciepło. Snując takie rozważania posuwał się wciąż i wciąż do przodu.

Kiedy się ocknął, żołnierzy już nie było. Jego przyjaciele leżeli na plaży jak kłody drewna wyrzucone przez morze na brzeg, a kruki i wilki już się do nich zbiegały. Nie mógł się ruszyć. Pół godziny zajęło mu podniesienie głowy, żeby przyjrzeć się plaży, a następne pół uwolnienie się z pryzmy wodorostów. Tak go to zmęczyło, że musiał położyć się znowu.

Kiedy odzyskał przytomność, zobaczył, że leży za wielką kłodą. Stary kawał drewna był tak wytarty przez lata toczenia po piasku, że wyglądał jak zrobiony ze srebra. Powietrze znowu było czyste. Czuł jak napełnia go i wychodzi z niego, ale

nie widział. Świeciło słońce, był poranek, sztorm ucichł. Każdy ruch wymagał od Manuela ogromnego wysiłku. Jego skóra przez długie moczenie w słonej wodzie była zupełnie przezroczysta. Stracił ubranie, poza postrzępionym kawałkiem spodni w okolicach pasa. Używając całej siły woli zmusił swoje ramię, żeby uniosło dłoń i sztywnymi palcami dotknął pnia. Czuł go, żył jeszcze.

Widział swoją dłoń gdzieś daleko na piasku. Drewno, w miejscu, którego dotknął palcem zmieniało się, stawało się zielone, w otaczającym go srebrze, a potem wytrysnęła z niego cienka, zielona gałązka i zaczęła rosnąć w stronę słońca, tworzące się na niej kiełki rozwijały się w liście i na oczach zafascego Manuela pojawił się pąk, który pchany wewnętrzną siłą, otworzył się. Była to biała róża migocząca kropelkami rosy w białym świetle poranka.

Udało mu się wstać i przejść ćwierć mili w głąb lądu, kiedy spotkał ludzi. Było ich troje, dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Bardziej dziko wyglądających przedstawicieli rodzaju ludzkiego Manuel nie umiałby sobie wyobrazić. Mężczyźni mieli nigdy nie strzyżone brody, a ich ramiona były takie jak u Laeghra. Kobieta wyglądała dokładnie tak, jak święta Anna na jego miniaturze, ale kiedy podeszła bliżej zobaczył, że jest brudna, ma połamane zęby, a jej twarz jest cała pokryta cętkami, jak skóra u psa na brzuchu. Nie widział nigdy wcześniej piegowatych ludzi i gapił się na nich, podobnie jak oni na niego. Bał się ich.

– Proszę, schowajcie mnie przed Anglikami – powiedział. Na słowo „Anglikami" mężczyźni spojrzeli na niego z niechęcią. Powiedzieli coś w języku, którego nie zrozumiał.

– Pomóżcie mi – prosił. – Nie rozumiem, co mówicie. Pomóżcie mi.

Próbował po hiszpańsku, portugalsku, sycylijsku, arabsku. Mężczyźni patrzyli na niego z coraz wyraźniejszą złością. Spróbował łaciny, a oni cofnęli się.

– Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela Nieba i Ziemi, Wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych... – roześmiał się trochę histerycznie – szczególnie niewidzialnych.

Wyciągnął swój medalion i pokazał im krzyż. Przyglądali mu się nie rozumiejąc.

– *Tor conaloc an dhia*– powiedział, nie zastanawiając się nad tym, co robi. Wszyscy troje słysząc to, aż podskoczyli. Obaj mężczyźni stanęli po jego bokach, podtrzymując go. Mówili do niego gestykulując wolnymi rękami. Kobieta uśmiechnęła się i Manuel zobaczył, że jest młoda. Powtórzył wyuczone sylaby od nowa, a oni znowu mu odpowiedzieli.

– Dziękuję ci, Laeghr – powiedział. – Dziękuję ci, Anno – odezwał się do dziewczyny i wyciągnął w jej stronę rękę. Zaskomlała i rzuciła się do tyłu. Powtórzył niezrozumiałe słowa jeszcze raz. Mężczyźni podnieśli go, bo nie był w stanie dalej iść i ruszyli z nim przez wrzosowiska. Uśmiechnął się i ucałował ich w policzki, na co roześmieli się, a on powtórzył magiczną frazę znowu i zaczął zasypiać, uśmiechnął się i powiedział ją jeszcze raz. *Tor conaloc an dhia*. Dziewczyna odgarnęła mokre włosy, które spadały mu na oczy. Manuel znał ten rodzaj dotyku i poczuł, że coś w nim rozkwita.

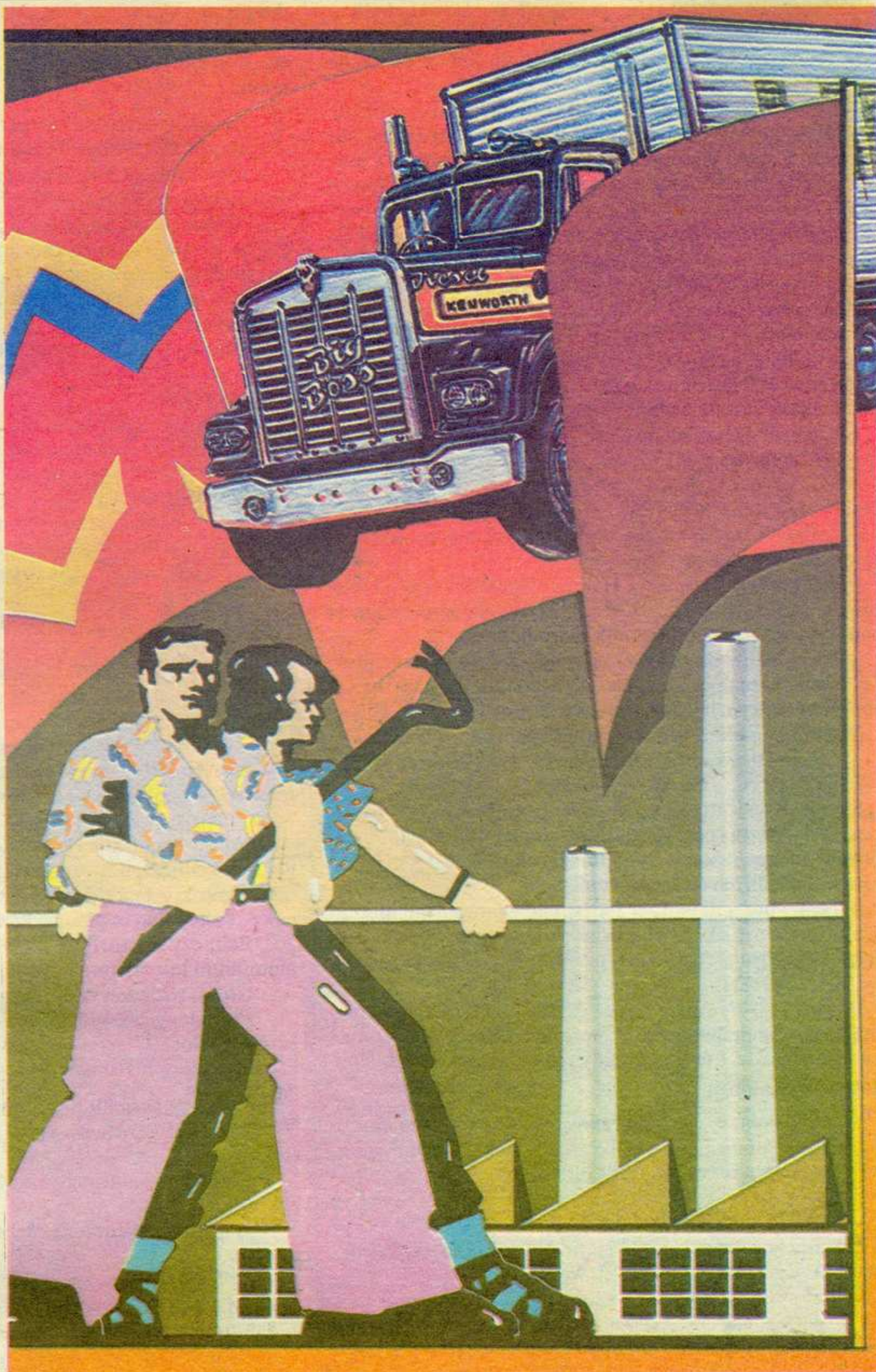
– litości w imię Boga –

Przełożyła **Dorota Malinowska**

Borys Sztern

OPOWIADANIE PRODUKCYJNE Nr 1

(Prodowolstwiennyj rasskaz No 1)



Andrzej Brzezicki

1. Zakłady znajdowały się w mieście N-sku na południu europejskiej części kraju i nosiły dźwięczną nazwę „Alodlew" – powstała ona z dwóch słów „aluminiowe odlewnictwo". Dyrektor zakładów Siergiej Kondratiewicz Oskolik zamknął się w swoim gabinecie i oczekiwał na dzwonek telefonu.

Dzwonek. Oskolik schwycił słuchawkę.

– Łączę rozmowę z Zauralskiem.

– Dziękuję pani... Halo, Zauralsk?

– Siergieju Kondratiewiczu... luminium...

– Słyszę cię, Lebiediew! Co z aluminium? Ile aluminium?

– ...anie... luminium...

– Proszę pani, nic nie słychać!

– Pański Lebiediew mówi, że oni, dranie, nie dają mu aluminium.

– To niemożliwe! Nie wywiązują się z dostaw! Mamy umowę! Lebiediew! Proszę pani!

– Poza tym, on mówi, że kolej nie daje wagonów na przewóz aluminium.

– Lebiediew! Słyszysz mnie? Nie wyjeżdżaj! Umrzyj tam!

– On mówi, że skończyły mu się diety.

– Proszę przekazać: pobory wyślemy telegraficznie. Na święto, indywidualna premia!

– On mówi, że jeszcze nie był na urlopie.

– Proszę pani, niech mu pani powie...

– Łączność z Zauralskiem przerwana.

Siergiej Kondratiewicz opadł na fotel i wzdrygnął się. Bezpośrednio przed nim stał jakiś nieznajomy człowiek z wyciągniętą do przywitania ręką. Człowiek jak człowiek, ale przecież do zamkniętego gabinetu wejść nie mógł... a więc, wleciał przez okno.

– Jestem dyrektorem bratniego przedsiębiorstwa – przedstawił się nieznajomy.

– Bardzo mi przyjemnie – burknął Oskolik. – Jak pan się tu dostał?

Nieznajomy opuścił rękę, popatrzył na okno i uchylił się od bezpośredniej odpowiedzi.

– Załóżmy, że przez drzwi. Ale nie to jest teraz ważne. Słyszałem, że ma pan trudności z surowcem?

– Jutro zakłady staną – odparł Oskolik.

– Mogę pomóc. Nagromadziły się u mnie duże zapasy aluminium. Czy na początek... trzydzieści ton starczy? Ciężarówki stoją przed bramą, niech pan zadzwoni na wartownię, żeby przepuścili.

Trzydzieści ton aluminium starczyłoby zakładom do końca tygodnia. Ale co to wszystko znaczy? Siergiej Kondratiewicz nie posiadał żadnego wykształcenia religijnego, ale od razu przypomniał sobie historie o paktach z diabłem. Uważnie przyjrzał się nieznajomemu. Podobny. Nos z garbkiem, włosy kudłate, na nogach... na nogach zagraniczne pantofle. Ogon pewnie wpuścił w nogawkę. W zamian za ziemskie dostatki diabeł zawsze żąda...

Co za bzdury lezą mi do głowy... – pomyślał Oskolik i podniósł słuchawkę.

– Wartownia? Cywilu Daszo, proszę popatrzeć, czy przed bramą stoją jakieś ciężarówki z aluminium?

– Odpowiedzą panu, że ich nie ma... ale one tam są – pospiesznie uprzedził go nieznajomy.

– Jak mam to rozumieć? Halo?... Nie ma żadnych ciężarówek? Dziękuję, ciociu Daszo. – Wyrzucić pana, czy sam pan wyjdzie? – zapytał Oskolik nieznajomego.

– Niech pan każe otworzyć bramę – zażądał nieznajomy. – Ciężarówki tam są, ale one... one znajdują się w innym wymiarze czasowym. Proszę otworzyć bramę i wjadą.

Masz go, diabła... otworzyć mu! – pomyślał Oskolik.

– Ciociu Daszo, proszę na minutkę otworzyć bramę... Po co? Jak to po co... Przewietrzyć teren.

Siergiej Kondratiewicz podszedł do okna. Z wartowni wyszła ciocia Dasza i pociągnęła do siebie ciężkie skrzydło wrót. Otworzyła, spojrzała na dyrektorskie okna. Ulicą przejechał tramwaj. Żadnych ciężarówek nie było.

– Teraz, pozwoli pan, ja zadzwonię – powiedział nieznajomy i podniósł słuchawkę jednego z dyrektorskich telefonów. – Wjeżdżajcie ostrożnie, prześwit bramy niestandardowy.

Po tych jego słowach przy wartowni rozryczały się silniki i na teren zakładów prosto z powietrza ulicy wjechały dwa potężne pojazdy – Oskolik nigdy takich nie widział. Na ich platformach stały pryzmy srebrzystych sztab aluminium.

2. – No dobrze, niech pan siada – zaprosił nieznajomego Siergiej Kondratiewicz. – Widzę, że można z panem załatwiać interesy. Aluminium jest mi potrzebne. A co pan potrzebuje?

– Całkiem niewiele – odparł nieznajomy, siadając. – Potrzebuję na noc pańskiego gabinetu. Na noc przez okres miesiąca. Na wzajemnie dogodnych warunkach.

Oskolik milczał. No, bo co miał powiedzieć?

– Jeżeli jest pan miłośnikiem fantastyki...

– Nie, nie jestem miłośnikiem – pospiesznie zaprotestował Siergiej Kondratiewicz.

– Szkoda, nie musiałbym długo objaśniać. Ogólnie rzecz biorąc, nie jestem żadnym diabłem, czy też przybyszem z innej planety. Mieszkam w tym samym mieście, co pan. Co prawda, nazywa się ono inaczej, inaczej jest rozplanowane, ale faktem jest, że mieszkam zupełnie niedaleko. Zna pan delikatesy na rogu? No więc, w naszym mieście, to nie delikatesy, ale moja willa... – Nieznajomy ziewnął. – Proszę wybaczyć, nie wyspałem się. Mamy różne czasy biologiczne, w dzień trudno mi funkcjonować. My, rozumie pan, pracujemy w nocy, a śpimy w dzień.

Siergiej Kondratiewicz nic nie rozumiał, choć bardzo się starał.

– No dobrze, dajmy temu spokój. Po co panu mój gabinet?

– Ziemia. W niej cały problem – wyjaśnił nieznajomy. – Cierpimy na ciągły brak powierzchni produkcyjnych. Skrawek ziemi wielkości niewielkiego klombu kosztuje tyle, jakby pod tym klombem leżała żyła złota. Muszę rozwijać produkcję, a u was w nocy wszystkie pomieszczenia stoją puste. Gdyby pozwolił mi pan pracować nocami w pańskim gabinecie, to w moim zrobiłbym biuro konstrukcyjne. Eksperymentalnie.

3. Sytuacja nieco się wyjaśniła. Eksperymentalnie – to Siergiej Kondratiewicz rozumiał.

– Cóż, osobiście nie mam nic przeciwko temu... ale jak na to popatrzą w zjednoczeniu?

– Zjednoczenie, to pańskie zwierzchnictwo? No to niech najpierw zaopatrzą pana w aluminium, a dopiero potem interesują się, co się dzieje nocą w pańskim gabinecie.

Racja, pomyślał Oskolik. Sami nawet palcem o palec, ale z planem gonią!

– Ale co powiedzą związki zawodowe?

– A co mają do tego związki? Czyj to gabinet? Jest pan dyrektorem, czy nie?

– Jestem dyrektorem. Ale mimo wszystko powinienem przedstawić ten problem górze.

– A jeżeli góra się nie zgodzi?

– No to jeszcze wyżej.

– Niezbyt rozumiem... – zafrasował się nieznajomy. – Komu potrzebne jest aluminium – panu, czy temu „jeszcze wyżej"? Ile czasu zajmą te uzgadniania? Gabinet jest mi potrzebny od dzisiejszej nocy.

Miesiąc, półtora, chciał powiedzieć Oskolik, ale jakoś poczuł się skrępowany.

– Proszę mnie jednak zrozumieć... – odpowiedział. – Przecież istnieją fundusze, paragrafy budżetowe, dział zaopatrzenia... wydał-przyjął-złomował... kupił-sprzedał-przecenił... żadna księgowość nie przepuści lewego aluminium.

– Jak pan sobie życzy – rozgniewał się nieznajomy. – Nie musi mnie pan namawiać. Proszę otwierać bramę! Fabryka kabli, naprzeciwko, też siedzi bez aluminium.

Siergieja Kondratiewicza ogarnęło przerażenie. Na naradzie w zjednoczeniu powiedzą: „No, towarzyszu Oskolik, wasi sąsiedzi z fabryki kabli również posiadali braki surowcowe... ale mimo to plan wykonali".

Ech, czy to czart czy diabeł, pomyślał Oskolik, ale bez aluminium tak czy owak żyć się nie da!

– No co, rozładowywać? – zapytał nieznajomy.

– Przy głównym wydziale odlewniczym – odparł Oskolik.

– A gabinet?

– Chwilowo niech pan pracuje.

4. Rankiem Oskolik przyszedł do pracy ogarnięty mrocznymi przeczuciami. Spotkała go zdenerwowana sekretarka.

– Siergieju Kondratowiczu, w pańskim gabinecie jakiś postronny...

Oskolik otworzył drzwi i zderzył się z wczorajszym nieznajomym.

– A otóż i pan! – ucieszył się nieznajomy. – Wspaniale popracowałem, nikt mi w nocy nie przeszkadzał.

Siergiej Kondratiewicz nie odezwał się.

– Ma pan nieprzyjemności? – zapytał nieznajomy.

– Zaraz będę rozmawiać z głównym księgowym – burknął Oskolik. – Dama z charakterem. Boję się, że nie zechce zaprzychodować pańskiego aluminium.

– Nie zechce? No to niech ją pan wyrzuci – i przyjmie inną.

– Wyrzuci? – Oskolik popatrzył błędnym wzrokiem na nieznajomego. – Przepisy nie pozwalają. Poza tym... będzie miała rację.

Nieznajomy popatrzył błędnym wzrokiem na Siergieja Kondratiewicza.

– Ma rację, nie ma racji... Ładnie bym wyglądał, gdyby mój główny księgowy nie wykonywał moich poleceń. A co, przepisów nie da się jakoś obejść?

– No nie, dlaczego... – Oskolik podrapał się w głowę.

– To niech pan wyrzuci.

– Wyrzucić nie można, ale zaprzychodować lewe aluminium cóż, można.

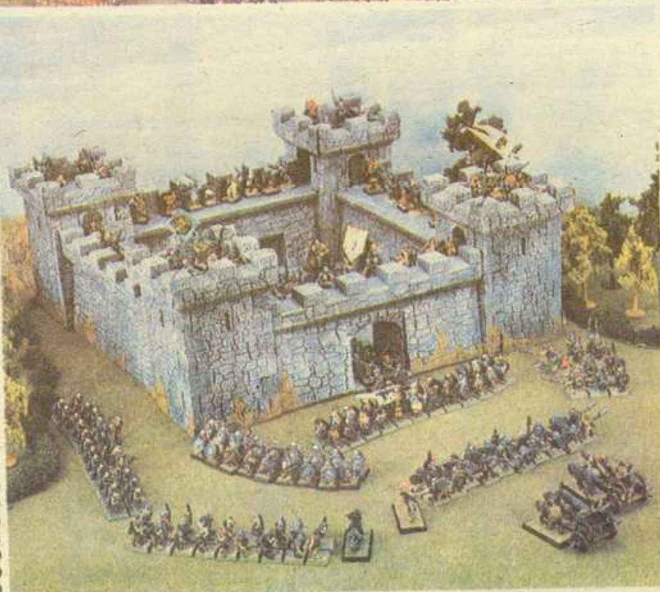
– Nie będę pana uczył. Proszę wybaczyć, spieszę się, mam jeszcze naradę.



Ten lepszy świat



Gry





Najpierw zmieniłem osobowość. Zza biurka i maszyny do pisania przeniosłem się w świat, który (choć podobny do wielu dobrze mi znanych światów fantasy) rządził się regułami znanymi mi niezupełnie i nie do końca. Miałem w końcu bardzo niewiele doświadczenia, zupełnie nagle stałem się młodym elfem, początkującym wojownikiem i początkującym złodziejem, już pokłóconym z gildią złodziei w Narwell, uciekinierem niepewnym, czy pogoń prowadzona przez znacznie lepszych od niego „specjalistów" nie depcze mu po piętach. Na każdym kroku czyhały na mnie niespodzianki zupełnie inne niż te, które poznałem aż zbyt dobrze. Zamiast wydawnictwa, które zawiesiło wypłaty do czasu otrzymania kolejnej dotacji i cierpiącego na manię wielkości redaktora uznającego, że trzy czwarte tekstu należy wyrzucić, a resztę wydrukować od końca – na mej drodze stanęli czarownicy, wojownicy, ciemne podziemia i groźne smoki. Cóż, oczywiście nie traktowałem tego zupełnie serio. W końcu to nie byłem przecież prawdziwy „ja", tylko mała figurka w rozwianym płaszczu i ze sztyletem w dłoni, na co dzień dekorująca półkę i najzupełniej martwa. Wokoło siedzieli znajomi przyjaciele, przez których w „normalnym" życiu nie bywałem zmuszany do kradzieży, nocnej straży i strzelania z łuku. Jeden z nich monotonnym głosem tłumaczył: *przed wami sześćdziesiąt stóp korytarza skręcającego lekko w prawo, zza zakrętu widać słabą, czerwonawą poświatę*. Przed nim leżały w nieporządnym stosie pięknie wydrukowane książki i kartki gęsto zapisanego papieru, błyszczał ekran komputerowego monitora wyświetlający tajemnicze, być może niosące zagładę dane.

Później zacząłem się dziwić. Jeszcze nim zaproszono mnie do gry *role-playing* jeszcze wtedy, gdy tylko o nich czytałem, uległem bardzo powszechnemu złudzeniu, że ich „istotą" są pięknie drukowane plany, mapy i instrukcje ze smakiem komponowane na każdym prospekcie „Games Workshop" lub doskonałe figurki firmy „British Grenadier". Wielu z tych akcesoriów brakło w naszej grze, wiele (na przykład większość instrukcji) jest niedostępne prostym graczom – korzystanie z nich to przywilej *game – mastera*. Aby grać, potrzeba tylko i wyłącznie wyobraźni, jeśli tej nie brakuje, *willing suspension of disbelief* następuje niemal natychmiast. Tym, co zdumiewało mnie najbardziej, była stała „gotowość" wyobraźni, bardziej niż chętnej do przeniesienia mnie w ten inny, lepszy świat. Z jakichś przyczyn narażonemu stale na przeróżne niebezpieczeństwa elfowi lepiej było w jego świecie niż mnie w moim, do tego stopnia lepiej, że zapominając o terminach, zobowiązaniach, gotowych do podpisania







wstawał od stołu i szedł do domu naprawdę złamany! Coś w tym przecież musi być!

Na końcu zacząłem rozumieć, czy też tak mi się dzisiaj wydaje. Zacząłem rozumieć, dlaczego nigdy nie „kochałem" książek *fantasy*, dlaczego oskarżałem ją w dyskusjach, pisałem źle o Conanie i podszczypywałem samego Mistrza Tolkiena, choć to zupełnie inna historia. Dlaczego nie potrafiłem „pokochać" filmu, choć tak bardzo się nim interesuję. Otóż, jeżeli (mówiąc słowami Arthura W. Sahy wydającego „The Year's Best Fantasy Stories)*...ciągła popularność literatury fantastycznej spowodowana jest tym, że opisuje ona światy, które różnią się od naszego codziennego świata i sprowadza nas na ścieżki odległe od tych, które wydeptujemy codziennie* – to i literatura, i film cierpią na podobną chorobę:

Otwarcie sklepu z grami w Londynie

jesteś martwy, bowiem niczego nie zdołasz się już dowiedzieć i nauczyć. GRA jest więc „esencją" fantasy pojmowanej jako „opowieść o innym świecie", bowiem każdy z graczy (czy też każda z postaci) współkształtuje ten świat i poznaje go stopniowo. Gdyby nie istniały gry *role-playing*, trzeba by je wymyśleć. I to jak najszybciej.

I z tego właśnie powodu nie lubię gier, opartych na regułach już istniejących światów. Odwrócenie historii Śródziemia – zwycięstwo w imieniu „Władcy Ciemności" na polach Pelennoru nie sprawia mi satysfakcji. Przecież w rzeczywistości było zupełnie inaczej!

Krzysztof Sokołowski ■





Gotowe figurki wykonane i pomalowane przez graczy
Jeden z projektorów firmy GAMES WORKSHOP



umowach i czekających w kasach pieniądzach (prędzej czy później każde wydawnictwo doczeka się dotacji) przy każdej okazji pędziłem, by przez kilkanaście godzin być elfem, otwierającym skomplikowane, magiczne zamki drzwi odgradzających naszą drużynę od kolejnego korytarza podziemi i celnie trafiającym z łuku w oko czekającego na nas w wielkiej sali smoka. Nie tylko ja zapadłem ciężko na tę dziwną chorobę. Gdy od czasu do czasu któryś z nas zginął i nie mógł być natychmiast wskrzeszony (w „Advanced Dungeons and Dragons" taka możliwość istnieje prawie zawsze) – przedstawiają światy dane i niezmienne. I czytelnik, i widz skazani są zawsze na komfortową rolę obserwatorów mniej lub bardziej skomplikowanych i mniej lub bardziej interesujących wydarzeń. Inaczej w grze – tu musisz być uczestnikiem, tu poznajesz swój świat stopniowo i tak jak w życiu, zgodnie z wolą przypadku. Możesz nawet zginąć i to już jest prawdziwa tragedia – wprawdzie „obiektywnie" żyjesz, wsiadasz w autobus i wracasz do zaniepokojonej twą dobową nieobecnością żony, matki, dziewczyny (niepotrzebne skreślić), to „subiektywnie"

5. Siergiej Kondratiewicz usiadł w jeszcze ciepłym fotelu i zamyślił się. Wredna paniusia z tej głównej księgowej, Łarisy Władimirowny. A on chciał się z nią żenić. Jest wyjście...

Wkrótce przyszła Łarisa Władimirowna, współczesna kobieta w pełnym rozkwicie i dżinsowej spódnicy.

– Jak ci się spało, Sieriożka? – zapytała, zerkając, czy sekretarka nie podsłuchuje.

– Dziękuję, kochana, źle – odparł Oskolik również z miłością, zresztą wcale nie udawaną.

– Czemuż to?

– Nie wiem, co robić. Z Zauralska przysłali aluminium bez listu przewozowego – skłamał Oskolik. – Przepadł gdzieś po drodze.

– Nic strasznego. Niech Liebiediew na miejscu odtworzy dokumenty, a tymczasem daj aluminium do produkcji.

– Tak właśnie zrobimy – rzekł wesoło Siergiej Kondratiewicz. – Zuch z ciebie!

6. – Liebiediew! – krzyczał Oskolik w słuchawkę. – Proszę pani! Proszę mu przekazać, że z Zauralska przyszło trzydzieści ton aluminium bez listu przewozowego! Niech odtworzy dokumenty.

– On nie rozumie.

– Nadeszło, powtarzam, trzydzieści ton...

– To on rozumie. Mówi, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy Zauralsk nie wysyłał aluminium.

– Proszę mu wytłumaczyć, że to dodatkowe aluminium. Rozumie pani? Przypadkowo trafiło do zakładów. Niech załatwi dokumenty wysyłkowe na poczet dostaw. Przecież dla nich to korzystne.

– Wytłumaczyłam. Wszystko zrozumiał. Mówi, że do urlopu będzie potrzebował jakieś skierowanie na południe.

7. Do końca tygodnia Siergiej Kondratiewicz nie miał czasu porozmawiać z nieznajomym. W głównym wydziale odlewniczym dymiła ziemia, połyskiwały mokre piece odlewników, dzwoniły aluminiowe bloki, osłony i pokrywy. W wydziale odlewania ciśnieniowego ciężko stękały stare maszyny, pluły roztopionym aluminium w strop, saturator psuł się co pół godziny. Brygada towarzysza Grigoriewa pomyślnie realizowała przyjęte zobowiązania socjalistyczne.

Aluminiowych sztabek pochodzących z zapasów nieznajomego wciąż ubywało. Siergiej Kondratiewicz co rano siadał w jeszcze ciepły fotel i czuł ledwo uchwytny zapach dobrych cygar – nieznajomy przed wyjściem otwierał okno i wietrzył gabinet.

Z Zauralska dzwonił Liebiediew. Załatwił dokumenty na lewe aluminium i wysłał list przewozowy. Siergiej Kondratiewicz odetchnął swobodniej. No i co, w gruncie rzeczy, się stało? Ominął prawo, owszem – ale jeżeli pomyśleć, to nikogo właściwie nie oszukał – to, co działo się u niego w gabinecie było nie łamaniem, ale raczej nieposzanowaniem prawa. W tym rzadkim, konkretnym przypadku prawo jest bezsilne... prawo nie może obejmować tego lewego aluminium... tego fantastycznego aluminium... aluminium, które tydzień temu w ogóle nie istniało w przyrodzie!

W czwartek Oskolik został długo po zakończeniu urzędowania, żeby porozmawiać z nieznajomym.

8. – Witam, Siergieju Kondratiewiczu! – ucieszył się nieznajomy. – Co się pan dziś tak zasiedział? Dużo pracy?

– Dużo, ale wkrótce jej nie będzie – odparł Oskolik.

– Domyślam się. Potrzebne aluminium?

– Osiemdziesiąt ton... do końca miesiąca... – niepewnym głosem poprosił Oskolik.

– Dzisiejszej nocy dostarczymy. Ale ja też mam do pana prośbę.

– Jaką? – Oskolik zaczął się mieć na baczności.

– O, proszę się nie niepokoić, warunki poprzednie. Czy moja osobista sekretarka nie mogłaby pracować w nocy w pańskim sekretariacie? Czuję się bez niej jak bez ręki. Tłumaczyłem panu, jakie problemy mamy z pomieszczeniami produkcyjnymi.

– Hmm... – uśmiechnął się krzywo Oskolik. – Przypomina mi się pewna dziecinna bajeczka. Miał zając chatkę z łyka plecioną, a lisica lodową. Nadeszła wiosna i chatka lisicy się roztopiła. Poprosiła lisica zająca, by pozwolił jej przenocować na podwórku, a ten dureń zgodził się... no i w końcu lisica wypędziła zająca z chatki.

Nieznajomy wysłuchał bajeczki, pomyślał chwilę.

– To mądra bajeczka – rzekł. – Nie będę ukrywać – mam zamiar zająć całe pańskie biuro i pomieszczenia produkcyjne. Tak, całe zakłady. Po co owijać w bawełnę? Powinniśmy uzgodnić sprawę współpracy. Jestem gotów zmodyfikować całą pańską fabrykę. Wybuduję nowe wydziały – miejsca jest dużo; zainstaluję nowe maszyny – przepraszam, ale na pańskich można gówno odlewać, a nie aluminium. Pańskie zakłady zaczną uzyskiwać takie dochody, jakich pan na oczy nie widział. W zamian za to wszystko proszę, by pozwolił pan pracować w nocy w pańskich zakładach. Kiedy wy wszyscy śpicie.

Oskolikowi oczy wylazły z orbit.

– Muszę pomyśleć – wykrztusił. – Muszę uzgodnić...

– Z kim pan musi uzgodnić? – rozgniewał się nieznajomy. – Rozmawiam z panem jak gospodarz zakładów odlewniczych z gospodarzem zakładów odlewniczych. Dla was korzystnie będzie pracować na moich maszynach i na moim aluminium, dla mnie zaś będzie wygodniej pracować w nocy w pańskich zakładach. Co, nie podoba się panu?

– Muszę pomyśleć – oznajmił zdecydowanie Oskolik.

– Niech pan myśli, ale niedługo. Aluminium rozładować?

– Tak. W tym samym miejscu.

9. Na początku miesiąca na naradzie w zjednoczeniu:

– Towarzysze, należy zwrócić uwagę na następujący, godny pożałowania fakt – fabryka kabli w minionym miesiącu wykonała plan w sześćdziesięciu sześciu i sześciu dziesiątych procenta. Co nam może powiedzieć na ten temat dyrektor fabryki?

Dyrektor fabryki kabli:

– Mamy obiektywne przyczyny. Zauralsk w ubiegłym miesiącu nie dostarczył nam dokładnie jednej trzeciej aluminium. Ile nie dostarczono, tyle zabrakło do planu.

Dyrektor zjednoczenia:

– Kto chce pracować – ten pracuje. A kto nie chce – ten szuka przyczyn obiektywnych.

Dyrektor fabryki kabli, podenerwowany:

– Ale ja produkuję z aluminium, którego nie dostaję w pełnej ilości!

Dyrektor zjednoczenia:

– Wasz sąsiad „Alodlew" też jest uzależniony od zakładów w Zauralsku i mimo to wykonał plan w stu i jednej dziesiątej procenta. Powinniście przejąć doświadczenia stylu pracy towarzysza Oskolika.

Siergiej Kondratiewicz i dyrektor fabryki kabli patrzą w stół.

10. – Powinien pan mieć inną sekretarkę – jakoś mimochodem powiedział nieznajomy. – Ile ma lat? Dlaczego jest taka nieuprzejma? Swoim groźnym wyglądem odstrasza pańskich klientów.

– Ich się nie przestraszy, już są przestraszeni. Kto potrzebuje, i tak przyjdzie. Sekretarka im potrzebna do szczęścia, czy co?

– Niemożliwe. Żeby dostać korzystne zamówienie, trzeba zwracać uwagę na najmniejszy drobiazg. Wystarczy, żeby klientowi nie spodobały się zasłony w pańskim gabinecie i od razu zaczną się plotki o pańskim stylu zarządzania. Sekretarka, to wcale nie drobiazg.

– Pozwoli pan, że się nie zgodzę. Co klienta może obchodzić moja sekretarka, jeżeli moje zakłady są do niego odgórnie przywiązane? Nie może się ode mnie ruszyć ani na krok, tak jak ja od zakładów w Zauralsku.

– Dziwne – zamyślił się nieznajomy. – Ale jeżeli zakłady w Zauralsku nie mogą zapewnić wam aluminium?

– Wtedy płacą mi kary.

– Ale przecież ze swojej strony pan nie może zrealizować zamówień swojego klienta?

– Słusznie. Naszym podstawowym zleceniodawcą są zakłady aparatury kinowej. Jeżeli nie wykonamy planu, wtedy płacimy im karę. A oni z kolei płacą kary swoim zleceniodawcom.

– Dobrze. Kary zapłacone. I co dalej?

– Nic. Zaczynamy od początku.

– Wynika z tego, że u was nie można zbankrutować? – bardzo zdziwił się nieznajomy.

– Co?

– No, pójść z torbami.

– Mogą zdjąć ze stanowiska.

– Aha! – ucieszył się nieznajomy. – I co z panem będzie?

– Pójdę na jakieś inne stanowisko.

– Nie rozumiem... kto płaci te wszystkie kary i ponosi straty, jeżeli dzieje się to ciągle?

– Państwo.

Nieznajomy pomyślał i rzekł:

– Ale życie!

11. Dyrektor fabryki kabli, konkurent do dostaw aluminium, coś wywąchał. Na kolejnej naradzie w zjednoczeniu, w czasie której znowu powiedziano: „A przecież u Oskolika, mimo to...", dyrektor fabryki kabli jakby się urwał z łańcucha, zrobił się purpurowy, przewrócił krzesło i oznajmił, że nie obchodzi go, iż u kogoś tam „mimo to", że u Forda, być może, również „mimo to", ale on, dyrektor fabryki kabli, nie ma aluminium, trzeci miesiąc fabryka tkwi bez aluminium, a plan ma na sto dwadzieścia ton aluminiowych przewodów, co nie jest tajemnicą wojskową! I on nie wie, jakimi sposobami Siergiej Kondratiewicz, którego osobiście szanuje, otrzymuje aluminium z Zauralska. Niech towarzysz Oskolik, którym wiecznie go w oczy kłują, sam tutaj, osobiście podzieli się doświadczeniem – w jaki sposób zdobywa aluminium.

Dyrektorowi fabryki kabli nalano wody i skarcono za porywczość, a potem dyrektor zjednoczenia mądrym wzrokiem popatrzył na Oskolika i rzekł:

– Co prawda, to prawda, Siergieju Kondratiewiczu, podzielcie się doświadczeniem.

Oskolik dokumentację miał w całkowitym porządku i nie był aż tak głupi, żeby ni z tego, ni z owego, ot tak, zdradzać swoje wewnętrzne rezerwy.

– Żadnego szczególnego doświadczenia nie mam – odparł Oskolik. – W zakładach w Zauralsku bez przerwy siedzi mój zaopatrzeniowiec i jak widzicie...

– Przecież w zakładach w Zauralsku siedzi i mój zaopatrzeniowiec... i jak widzicie... – żałośnie oznajmił dyrektor fabryki kabli.

– Ten fakt, jak sądzę, świadczy wyłącznie o zawodowych kwalifikacjach naszych służb zaopatrzenia – odparł Oskolik.

Było mu żal dyrektora fabryki kabli. Do ostatniej pięciolatki byli dobrymi przyjaciółmi, ale teraz, kiedy wyznaczono im tego samego dostawcę, przyjaźń się skończyła.

– Czyżby dostawy aluminium zależały wyłącznie od osobistych zalet waszych macherów? – wyraził wątpliwość dyrektor zjednoczenia.

Oskolik rozłożył ręce.

– On im tam jakoś smaruje... – zasugerował dyrektor fabryki kabli.

– Wypraszam sobie... – obraził się Oskolik.

Dyrektor zjednoczenia zapisał coś w notesie.

12. – Proszę pana, jest pan kapitalistą, o ile się orientuję? – Osobą prywatną? – zapytał pewnego razu Oskolik.

– Czy pana to szokuje?

– Nie. Jesteśmy zwolennikami pokojowego współistnienia.

– No i bardzo dobrze. A przy okazji, czy przemyślał pan moją propozycję?

– Tak. Zgadzam się.

– Ze związkami zawodowymi pan uzgodnił?

– Związki nie będą się sprzeciwiać. Sądzę, że nikt nie będzie się sprzeciwiać.

– A pański główny księgowy? Jak zaprzychoduje nowe maszyny, aluminium, materiały budowlane?

– To już moje zmartwienie.

– No cóż... załatwione?

Siergiej Kondratiewicz i nieznajomy przybili interes i rozglądając się, czy nie podgląda sekretarka, wypili po lampce koniaku.

13. Sprawy produkcji zaczęły się nieźle układać, ale życie osobiste Siergieja Kondratiewicza ciągle nie mogło się unormować. Łarisa Władimirowna, kobieta współczesna, nie spieszyła się z zamążpójściem.

– Jesteś dyrektorem, a ja księgową... – porównywała. – Masz czterdzieści pięć lat, a ja trzydzieści osiem... jeżeli się pobierzemy, będę musiała poszukać sobie innej pracy.

– No to co? – zdziwił się Siergiej Kondratiewicz. – Znajdziemy. W fabryce kabli główny księgowy za rok idzie na emeryturę. Jakoś nie wypada, żeby dyrektor wciąż był kawalerem.

– Mezalians.

– Dzwonią do mnie do domu w służbowych sprawach, a ja nocami do ciebie biegam!

– Proszę bardzo, mogę biegać do ciebie.

– Nie, nie... to nie wypada.

– Nie wypada? A sądzisz, że mnie wypada przychodować twoje lewe aluminium?

– Jakie lewe?! – zbaraniał Oskolik i wyskoczył z łóżka (rozmowa przebiegała w nocy, w mieszkaniu Łarisy Władimirowny). – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Dobrze, dobrze... nie jestem w ciemię bita. Jak nas razem posadzą, to się pobierzemy.

Nie mogło się unormować życie osobiste dyrektora Oskolika.

14. Siergiej Kondratiewicz pod wrażeniem nocnej rozmowy pomknął o świcie do zakładów w nadziei, że jeszcze zastanie nieznajomego. I zastał. Nieznajomy trzymał się ręką za serce i krzyczał do słuchawki:

– Sprzedawać! Wszystko!

Widząc Oskolika spróbował się uśmiechnąć, odłożył słuchawkę i odetchnął głęboko.

– Nieprzyjemności? – zapytał Oskolik.

– Mogą być i nieprzyjemności. Za pół godziny się okaże.

– Gra pan na giełdzie? – domyślił się Oskolik, przypominając sobie jak w zagranicznych filmach grubi dżentelmeni krzyczą: „Sprzedawać!" albo „Kupować!" i wycierają twarz chusteczką.

– Niech pan nawet nie pyta – westchnął nieznajomy. – A czemuż to pan spać nie może? Przecież za pana myśli państwo.

– Kiedy przez pana mnie posadzą, to wtedy będzie za mnie państwo myśleć – odparł Oskolik, przypomniawszy sobie przepowiednię ukochanej kobiety.

– Znowu wpada pan w panikę! – rozgniewał się nieznajomy.

– Osobiście studiowałem wasz kodeks karny i żaden paragraf pana nie obejmuje. Wręcz przeciwnie! Jest pan najprawdziwszym... jak się to u was... racjonalizatorem i przodownikiem pracy. Maszyny, materiały i surowce zdobywa pan w całkowicie nowy sposób. Myśli pan, że zawracałbym sobie głowę, gdyby mogli pana posadzić, jak to pan powiedział.

Rozumowanie to na jakiś czas uspokoiło Siergieja Kondratiewicza.

– No, dobrze – powiedział Oskolik. – Z kodeksem karnym jakoś to będzie. Ale istnieją trudności o charakterze moralnym.

– Moralnym? Charakterze? Co to znaczy?

– Przyjąć od was maszyny i aluminium jeszcze ujdzie. Można znaleźć furtkę w przepisach i nie czuć się winnym. Ale co ja powiem moim robotnikom i urzędnikom? Co powie mój naczelny inżynier, jeżeli w jego gabinecie zacznie nocami pracować pański naczelny inżynier? Myśli pan, że uwierzy, że pojawiliście się z tego... wymiaru? Natychmiast zacznie podejrzewać, że chcę go wyślizgać... i słusznie, bo staruszek już nie daje sobie rady. Wychodzi z tego, że każdemu trzeba

będzie wyjaśniać licho wie co i zwierzchnictwo o wszystkim się dowie.

– Cóż złego w naszej współpracy może dostrzec pańskie zwierzchnictwo?

– Nic złego... ale pan ich nie zna! Na pańskie maszyny i aluminium rąbną mi taki plan, że go nie wykonam nawet na trzy zmiany. A gdzie wtedy będziecie pracować po nocach?

Nieznajomy zamyślił się.

– I co gorsza, moje zwierzchnictwo to wasze aluminium, maszyny i materiały budowlane mi zabierze i rozdzieli między inne, bardziej priorytetowe obiekty – dalej straszył Oskolik.

– To mi nie odpowiada – mruknął nieznajomy. – Trzeba by pogadać z pańskim zwierzchnictwem.

W tym momencie przestraszył się Oskolik. Jeżeli zacznie się uzgadnianie, to w zjednoczeniu i ministerstwie wczepią się w nieznajomego jak rzepy. A co zostanie jemu, Oskolikowi? Znowu tête-à-tête z Zauralskiem?

– Niech się pan nie martwi – rzekł nieznajomy. – Dla waszego ministerstwa nie jestem żadnym partnerem. Jeżeli dobrze się nam ułożą interesy, to skontaktuję waszego ministra z biznesmenami z banku importowo-eksportowego.

Zadzwonił telefon. Nieznajomy schwycił słuchawkę, posłuchał, wytarł twarz chustką do nosa i rzekł:

– Może mi pan pogratulować. Właśnie przed chwilą połknąłem konkurenta.

– Żywcem? – przeraził się Oskolik.

– Żywcem, z bebechami i maleńką fabryczką przerobu aluminium na dodatek.

– Gratuluję!

15. Wkrótce nadarzyła się okazja zetknąć nieznajomego ze zwierzchnictwem. Pewnego razu pod koniec pracy przyjechał do „Alodlewu" dyrektor zjednoczenia. Sam. Obejrzał pryzmy sztab aluminium przy głównym odlewniczym, żelazobetonowe płyty zgromadzone do budowy magazynu, nowe maszyny w wydziałach produkcyjnych.

Wrócił do gabinetu. Długo milczeli.

– Będziesz się dzielił doświadczeniami, czy nie? – zapytał wreszcie dyrektor zjednoczenia.

Oskolik wzruszył ramionami.

– Dobrze. W takim razie wezwij swoją... kim ona jest dla ciebie?

– Kogo?

– Głównego księgowego.

Siergiej Kondratiewicz poczerwieniał. Żeby to szlag trafił. Donieśli. Ech, znaleźć by tego, który się zajmuje kablowaniem. Nieznajomy ma rację – najwyższa pora zmienić sekretarkę.

Przyszła Łarisa Władimirowna. Zobaczyła czerwonego Siergieja Kondratiewicza. Najwyraźniej nadeszła pora na ślub.

– Proszę mi powiedzieć, z łaski swojej, skąd przyszła ostatnia partia aluminium? – zaczął przesłuchanie dyrektor zjednoczenia.

– Z Zauralska – bezczelnie odpowiedziała Łarisa Władimirowna.

– Dokumenty na aluminium są?

– A jakże! Przecież to nie prywatny kramik.

– Maszyny skąd?

– Z Władywostoku.

– To nieprawda, Łariso Władimirowna. Takich maszyn w Związku Radzieckim się nie produkuje.

– No to skąd się tu wzięły?

– To ja panią o to pytam.

– A ja panu odpowiadam – z Władywostoku – upierała się przy swoim Łarisa Władimirowna. – Może pan sprawdzić listy przewozowe.

– Zaraz sprawdzę. A materiały budowlane skąd?

– Czyżby w Związku Radzieckim ich nie produkowano?

– Proszę się nie zapominać, Łariso Władimirowna. Proszę przynieść te swoje listy przewozowe. A przy okazji, metryczki maszyn.

– Metryczek nie ma. Zgubiły się w transporcie.

– Aha, zgubiły się w transporcie... Można wiedzieć w jakim?

– Kolejowym, na linii wschodniochińskiej – odcięła się Łarisa Władimirowna i poszła po dokumenty.

16. Dokumenty były jak kryształ, lepsze od prawdziwych! Bo i były prawdziwe. Zuch Lebiediew, dogadał się z Zauralskiem, z Władywostokiem i koleją. Ciekawe, czym ich sobie kupił?

– No, ale numer! – zdziwił się dyrektor zjednoczenia, po tym jak obejrzał dokumenty i odesłał Łarisę Władimirownę.

Oskolik popatrzył na zegarek – lada chwila powinien zjawić się nieznajomy.

– Będziesz się dzielił doświadczeniami, czy nie? – powtórzył groźnie dyrektor zjednoczenia. – Co się tu u was dzieje? Przecież jutro zadzwonię do Zauralska i marnie będziecie wyglądać. Co, nie rozumiesz, po co tu przyjechałem? Żebyś mi osobiście wszystko zameldował, bo przecież cię cenię. A na przykład mój zastępca, radzi mi napuścić na ciebie pozaresortową kontrolę... chcesz? Albo może chcesz felieton w „Prawdzie"? Mogę załatwić.

Jest w dobrym humorze... powiedzieć mu, czy co? – pomyślał Siergiej Kondratiewicz.

– A co się u ciebie nocami wyprawia w zakładach? – zapytał nagle dyrektor zjednoczenia. – Dlaczego w twoim gabinecie pali się światło?

Sytuacja była sprzyjająca.

17. I Oskolik powiedział wszystko dyrektorowi zjednoczenia.

18. Dyrektor spodziewał się wszystkiego... skruchy z powodu naruszenia prawa pracy w celu wykonania planu państwowego; zaprzeczeń; wreszcie, licho nie śpi, jakiegoś wspaniałego pomysłu racjonalizatorskiego... wszystkiego się spodziewał. Najlepsze umysły próbują rozwikłać te cholerne problemy gospodarcze, ale... ciężarówki z powietrza? Aluminium z podprzestrzeni? Maszyny z któregoś tam wymiaru? Kapitalista nocną porą w gabinecie radzieckiego dyrektora? Oskolik zwariował? Ale ten zwariowany Oskolik wykonał plan ubiegłego miesiąca w stu pięciu procentach!

Zadzwonił telefon.

– Halo! – powiedział Oskolik. – Tak, zgodnie z umową.. To on dzwonił, przywiózł aluminium. Niech pan spojrzy...

Dyrektor zjednoczenia podszedł do okna.

– Ciociu Daszo, proszę otworzyć bramę.

Dyrektor zjednoczenia zobaczył jak otwiera się bramę, usłyszał jak zaryczały silniki – i z pustej, wieczornej ulicy na teren zakładów wjechał pojazd załadowany aluminium.

19. W ministerstwie, po długich uzgodnieniach, postanowiono wyjść naprzeciw planom Oskolika. Skoro handlujemy ze Stanami Zjednoczonymi, to dlaczego nie mielibyśmy handlować z czwartym wymiarem, jeżeli to korzystne? Warto spróbować... warto przeprowadzić niewielki, miejscowy eksperyment.

Nieznajomy wyłaził ze skóry, śpieszył się, by zmienić wyposażenie zakładów i zacząć zarabiać na nocnej zmianie. Chodził zadowolony i tył w oczach – niedawno połknął jeszcze dwóch konkurentów.

Wszystko układało się jak najlepiej. „Alodlew" huczał bez przerwy, na trzy zmiany. W biurowcu dobudowano drugie piętro, w wydziale produkcji rynkowej uruchomiono linie automatyczną – sypały się z niej aluminiowe ołowiane żołnierzyki.

Borys SZTERN

Urodził się w Odessie. Ukończył Wydział Filologiczny Uniwersytetu Odeskiego. Imał się wielu zajęć, często zmieniając miejsce zamieszkania, aż wreszcie osiadł w Kijowie i poświęcił się wyłącznie pracy literackiej. Od debiutu w końcu lat siedemdziesiątych jego utwory były drukowane w czasopismach i antologiach. W 1986 r. w kijowskim wydawnictwie „Mołod" ukazał się autorski zbiór opowiadań „Czjau planieta" opatrzony słowem wstępnym przez Arkadija Strugackiego. Borys Sztern jest uważany za jednego z największych, najbardziej oryginalnych pisarzy młodego pokolenia.

(SK)

Łarisie Władimirownie nie spodobała się czemuś nocna sekretarka nieznajomego i wreszcie zgodziła się wyjść na Siergieja Kondratiewicza. Było wesele, było wesoło, zaproszono nieznajomego – przyszedł z żoną i rozochociwszy się, wypił cztery kieliszki wódki, o jeden za dużo jak na jego możliwości. Brygadzista odlewników towarzysz Grigoriew zaofiarował się odprowadzić go do domu i został pierwszym człowiekiem na świecie, który trafił do innego wymiaru. Wrócił stamtąd następnego ranka, wpełzł na teren zakładów i opowiadał, że ludzie tam niczego sobie, ale w piciu słabi.

Mijały dni. Do „Alodlewu" walili tłumnie delegowani z wszystkich zakładów odlewnictwa aluminium w Związku Radzieckim. Przyjmowali doświadczenia. Zwracali uwagę na fakt, że nasz przemysł produkuje mniej wyrobów aluminiowych na głowę ludności w dzień, niż innowymiarowy przemysł na tych samych maszynach w nocy. Wyjaśniali to zjawisko ich eksploatatorskim systemem i w pewnym stopniu naszymi przypadkami łamania dyscypliny pracy, czyli: bumelkami, pijaństwem i spóźnieniami.

Rozpoczęto walkę. Obiboków przeniesiono do fabryki kabli i skonsolidowawszy kolektyw wzięto się za doganianie nocnego współzawodnika. Pensje zaczęły być wyższe od profesorskich.*

Nieznajomy puchł z zadowolenia. Zaopatrywał, rozszerzał, budował, modernizował. Na naradach w zjednoczeniu płakał nieszczęsny dyrektor fabryki kabli. Oskolikowi było go żal, ale przyjaźń przyjaźnią, a praca – pracą.

Minęły kwartały i choć globalna produkcja „Alodlewu" zwiększyła się trzykrotnie, to jednak dogonić nocnej zmiany mimo wszystko nie zdołał. O co chodzi? Oskolik przeprowadził proste działanie matematyczne – w nocy policzył na palcach urzędników nieznajomego, porównał tę dwucyfrową wielkość ze swoim trzycyfrowym taborem i zapytał na kolejnej naradzie:

– O czym świadczą te liczby?

W porządku, w przodujących zakładach w końcu można sobie pozwolić i na taki eksperyment. Zmniejszono liczbę etatów, przeniesiono je wszystkie w to samo miejsce – do fabryki kabli. Dochody solidnie podskoczyły. Nieznajomy uprzejmie bił brawo, kiedy rankiem spotykał się w drzwiach z Oskolikiem.

20. Nadeszła wiosna, minął marzec. Zakładowy plastyk zaczął dekorować ciężarówkę na pochód pierwszomajowy.

Dopóki nie minął kwartał, Oskolik nie miał czasu, by pogadać z nieznajomym, dziś jednak postanowił zostać po pracy. Nieznajomy pojawił się na długo przed rozpoczęciem nocnej zmiany. Oskolik go nie poznał. Wyglądało na to, że nieznajomy zachorował na żółtaczkę.

– Co z panem?

– Źle się dzieje.

– Pan połykał, a teraz pana połykają? – domyślił się Oskolik.

Nieznajomy skinął głową.

21. Nieznajomy zaczął cierpieć na bezsenność. O swoich nieprzyjemnościach nie opowiadał. Oskolik w niczym nie mógł mu pomóc. W dzień nieznajomy już nie wychodził, siedział na krześle w kącie gabinetu i apatycznie przyglądał się pracy Oskolika.

Przyszła sprzątaczka – niech pan podpisze podanie o urlop, kierownik wydziału nie chce podpisać.

Przyszli z komitetu związkowego – ile baloników kupić na pochód pierwszomajowy?

Zajrzał kierownik wydziału budowlanego – czy pan mnie wzywał?

Nie, nie wzywał.

Weszła Łarisa Władimirowna.

– Liebiediew już o trzy dni przedłużył urlop.

– Niech odpoczywa, wyraziłem zgodę.

– Ja mu płacić nie będę!

– W porządku, porozmawiamy w domu.

Przerwa obiadowa.

– Ależ macie życie – mruknął nieznajomy. – I zbankrutować nie można...

22. Wszystko skończyło się pewnej kwietniowej soboty. Siergiej Kondratiewicz wszedł do gabinetu i zdziwił się, widząc w nim nieznajomego.

– Przecież dziś sobota, niech pan idzie do domu, nie można się tak przejmować! – powiedział Oskolik.

– A dlaczego pan przyszedł? – bez najmniejszego zainteresowania zapytał nieznajomy.

– Mamy subotnik.

– Co to takiego?

– No... czyn społeczny.

Nieznajomy ożywił się na chwilę.

– Co to znaczy „społeczny"? Bezpłatna praca?

– Tak, bezpłatna. Sadzimy drzewka, sprzątamy teren.

– A pan? Pan też sprząta? – uśmiechnął się nieznajomy widząc grabie w ręku Oskolika. – A pańska żona?

– Ona przekłada aluminium – rozgniewał się Oskolik.

Nieznajomy zgarbił się w fotelu, jego ożywienie minęło jak ręką odjął.

– A w moich zakładach wczoraj zaczął się strajk. Wystawili przy bramie pikiety, biją łamistrajków. Dzisiaj z kolei połknie mnie pewien znajomy.

– No i co będzie? – zdenerwował się Oskolik.

– Niech mnie pan zapyta o coś łatwiejszego.

Siergiej Kondratiewicz zamknął cicho drzwi i poszedł korytarzem. Przy wyjściu usłyszał wystrzał i popędził z powrotem. Podświadomie czekał na ten dźwięk. W drzwiach gabinetu zderzył się z dwoma mężczyznami w nieznanych mu kombinezonach. Dźwigali jakiś ciężki przedmiot owinięty w zielony obrus ze stołu prezydialnego. Gabinet był zachlapany krwią.

– Zatelefonował i poprosił, żebyśmy przyszli... – zaczął wyjaśniać jeden z robotników.

– Przyszliśmy, a on lufę pistoletu w usta... – dodał drugi.

Siergiej Kondratiewicz poszedł za nimi, ciągnąc grabie po podłodze.

Ciocia Dasza przeżegnała się i otworzyła bramę. Robotnicy ze swoim pakunkiem wyszli za wrota i rozpłynęli się w powietrzu.

23. – ...luminium! – krzyczał po miesiącu Liebiediew z Zauralska.

– Proszę pani, niech pani powtórzy! – prosił Oskolik, przyglądając się dżentelmenowi, który dopiero co zmaterializował się w jego gabinecie i ocierał chustką łysinę i twarz.

– Pański Liebiediew powiada, że oni...

– Chwileczkę, proszę pani... Kim pan jest?

– Słyszałem, że mój poprzednik miał z panem bezpośrednie przyjacielskie kontakty – uśmiechnął się krzywo nowy nieznajomy. – No cóż, jestem gotów kontynuować współpracę na poprzednich warunkach.

– Nie – odparł Oskolik.

– Dlaczego? – nieznajomy ponownie uśmiechnął się krzywo.

– My sami.

– Sami? – Na twarzy łysego dżentelmena pojawił się grymas.

– Zgiń, przepadnij... – powiedział cicho Siergiej Kondratiewicz, groźnie celując słuchawką w nieproszonego gościa.

O ile dobry, stary nieznajomy przypominał Siergiejowi Kondratiewiczowi sprytnego czarta, to ten wyglądał jak złośliwy, podstępny szatan.

Szatan skulił się i przepadł bez śladu – tylko zasłony zakołysały się w oknach.

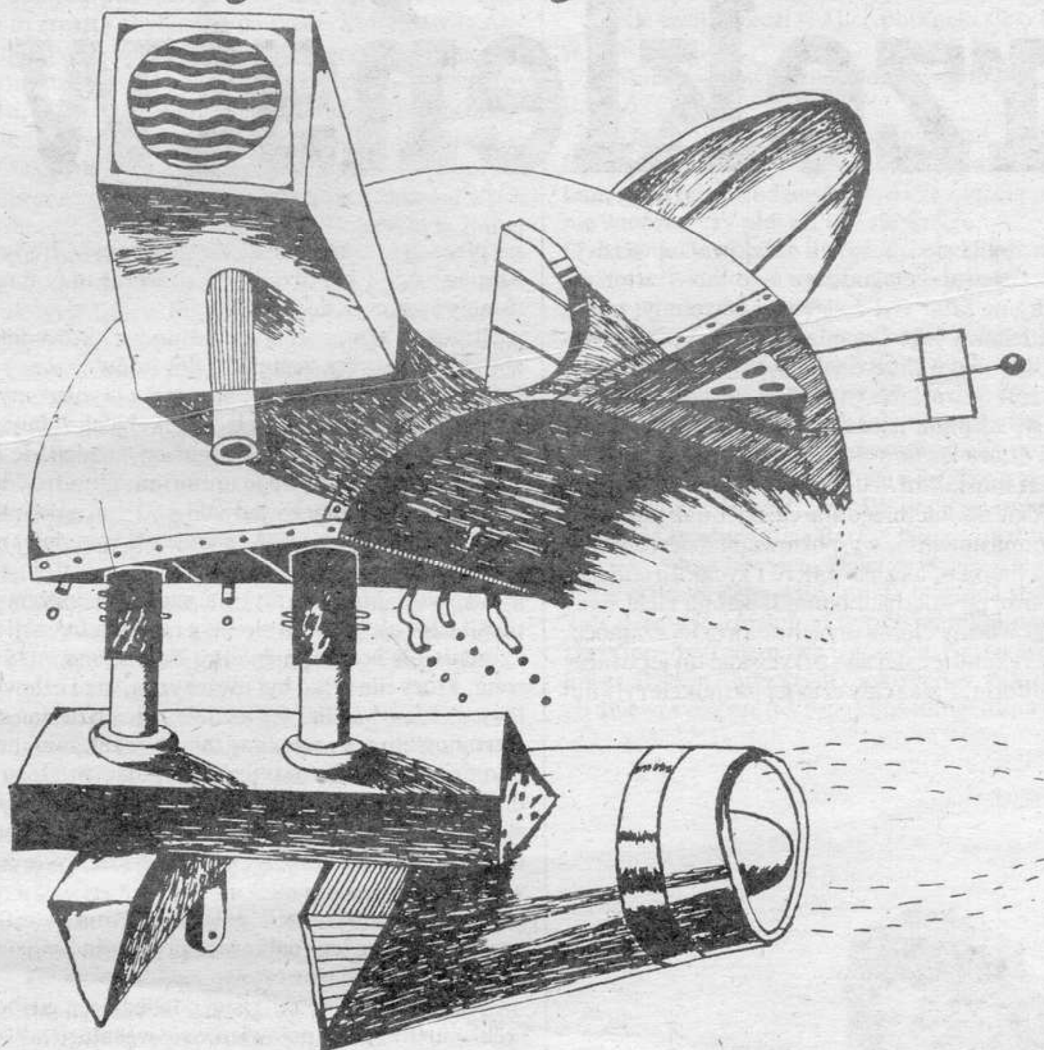
– Pański Liebiediew mówi, że oni, dranie...

– Proszę pani! – rozdarł się Oskolik. – Niech mnie pani natychmiast łączy z dyrektorem zauralskich zakładów. Kto w końcu jest tam dyrektorem – on czy Liebiediew?!!!

Przełożył Sławomir Kędzierski

* W Związku Radzieckim profesorowie zarabiają więcej niż robotnicy (przyp. tłum.)

Pomysłowy Patriota



Ambrose Bierce

Pomysłowy Patriota przybył na audiencję udzieloną mu przez Króla, wyjął z kieszeni jakiś papier i rzekł:

– Uraduję chyba Waszą Wysokość, gdy powiem, że posiadam wzory opancerzenia, którego nie jest w stanie przebić żaden pocisk. Jeżeli blachy te zostaną zastosowane w Marynarce Królewskiej, nasze okręty wojenne staną się niezwyciężone i będą mogły stawić czoło najsilniejszemu przeciwnikowi. Mam także dokumenty z Ministerstwa, które potwierdzają rangę i znaczenie wynalazku. Chętnie zrzeknę się moich praw do niego w zamian za milion tumtumaków.

Król przejrzał papiery, odłożył je na bok i oznajmił, że wyda polecenie Ministrowi Skarbu, by Departament Wydatków Niespodziewanych wypłacił milion tumtumaków.

– Tu zaś – rzekł Pomysłowy Patriota wydostając z drugiej kieszeni następny dokument – znajdują się robocze plany armaty mojego pomysłu, której pociski mogą przebić to opancerzenie. Królewski brat Waszej Wysokości, Władca Krainy Grzmotu, z niecierpliwością oczekuje na możliwość nabycia tych planów. Jednakże lojalność jaką żywię dla naszego królestwa, zmusza mnie do zaoferowania ich Waszemu Majestatowi w pierwszej kolejności. Cena wynosi milion tumtumaków.

Kiedy obiecano mu następny czek, włożył rękę do następnej kieszeni mówiąc: – Cena tego niezwykłego działa byłaby znacznie wyższa, gdyby nie fakt, że jego pociski mogą być łatwo zneutralizowane dzięki specjalnej metodzie oddziaływania na opancerzenie zupełnie nowym…

Król skinął na Wielkiego Totumfackiego.

– Zrewiduj tego człowieka i sprawdź ile ma kieszeni – rozkazał.

– Czterdzieści trzy, Wasza Wysokość – odrzekł Wielki Totumfacki po ukończeniu badania.

– Wasza Królewska Wysokość! – wykrzyknął przerażony Pomysłowy Patriota. – W jednej z nich jest tytoń.

– Złapcie go za nogi i potrząśnijcie nim porządnie kilka razy – rzekł Król. – Potem dajcie mu czek na czterdzieści dwa miliony tumtumaków i zetnijcie mu głowę. Ogłoście również dekret, w którym uznajemy pomysłowość za najcięższe przestępstwo.

Przełożyła **Joanna Rasińska**

Ambrose Gwinnet BIERCE

Amerykański pisarz i dziennikarz (1842–1914?). Zasłynął jako autor niesamowitych opowiadań (wyd. polskie: „Jeździec na niebie", 1960; „Czy to się mogło zdarzyć", 1981). Napisał również wiele epigramatów, aforyzmów i krótkich, ironicznych opowiadań. („The Cynic's Word Book" 1906).

(SK)

Teresa Iżewska

Przekleństwo

1. Nawet teraz, gdy siedząc w celi oczekiwał na werdykt – a nie spodziewał się łagodnego wyroku – Barton nie odczuwał skruchy ni żalu. Był z siebie zadowolony, wręcz dumny. Według lekarzy jego organizm miał już pod osiemdziesiątkę, choć on mógł wyliczyć sobie lat tylko pięćdziesiąt cztery, zaś lustro nie dawało mu więcej jak czterdzieści. Lecz Barton zgadzał się z opinią lekarską – czuł starość w mięśniach i stawach. Skóra zachowała jeszcze jędrność, ale opinała watę zamiast muskułów. Nie byłby w stanie zwyciężyć na rękę dziewięćdziesięcioletniego starca, a jednak udało mu się pokonać osiemnastoletnią, wysportowaną dziewczynę. I nie była to walka na rękę, lecz na śmierć i życie. Broniła się długo. Jeszcze teraz po miesiącu odnajdywał na ciele ślady zadrapań. Musiał własny ciężar przeciwstawić jej szamocącemu się ciału, a rękami z całej siły przyciskać do jej twarzy swój służbowy uniform. Przez cały czas jej paznokcie ryły mu na plecach i ramionach krwawe bruzdy. Chwyciła go na koniec za szyję i już myślał, że przegrał, gdy nagle jej dłonie osłabły i osunęły się bezwładnie.



Stracił w ten sposób swój mundur, który jako narzędzie zbrodni włączony został do dowodów rzeczowych. Musiał zadowolić się byle jakim ubraniem przyniesionym mu z najbliższego magazynu. Jeżeli czegokolwiek żałował, to właśnie tego munduru. Adwokat Momson zwrócił się do KOGA z prośbą o wydanie nowego uniformu, ale odpowiedziano mu, że Barton otrzyma go jedynie pod warunkiem ponownego podjęcia pracy w KOGA, a więc nie wcześniej niż po procesie.

Adwokat Momson był na szczęście mężczyzną. Barton prosił o to, ale obawiał się, że z racji feminizacji zawodu jego życzenie nie będzie spełnione. Znaleziono mu jednak Momsona, który nie tylko był mężczyzną, ale i człowiekiem życzliwym. Liczył sobie wprawdzie osiemdziesiąt sześć lat, ale Bartonowi to nie przeszkadzało. Nie zależało mu na rzutkim obrońcy ani na wyroku uniewinniającym. Jego życie zawodowe zbliżało się ku końcowi. Jeszcze jeden lot i przejdzie w stan spoczynku. Było sprawą wątpliwą, czy osiedle emerytowanych pracowników KOGA na resztę życie lepsze jest od więzienia.

Momson powiadomił go, że badania i testy medyczne przemawiają za jego całkowitą poczytalnością oraz odpowiedzialnością za własne czyny.

– Mogłem im to od razu powiedzieć, gdyby zapytali – rzekł Barton, gdyż pojawienie się wąsatego adwokata wprawiło go w dobry humor.

Momson mniej miał powodów do zadowolenia. Jak dotychczas jego klient, poza przyznaniem się do zabójstwa, odmawiał wszelkich wyjaśnień. Nie chciał podać motywów swego czynu, ograniczając się do oświadczenia, że ofiara zasłużyła sobie na to, co ją spotkało, ponieważ uprawiała najstarszy zawód świata. Niczego nie wyjaśniało też znalezione przy Bartonie sporych rozmiarów, dwuwymiarowe zdjęcie w złoconej ramce, przedstawiające staromodnie uczesaną kobietę o nagich ramionach. Stwierdzono jedynie, że zdjęcie to wisiało w charakterze ozdoby na ścianie pokoju zamordowanej dziewczyny.

– Eksperci – powiedział Momson – oceniają ten obrazek na jakieś dwieście lat. Nie jest to mało. Ale czy odpowiada wartości ludzkiego życia? Nie mogę uwierzyć, że zabił ją pan dla tego zdjęcia.

– Zabiłem ją, bo była dziwką i mogła wydać na świat następną dziwkę, która urodziłaby jeszcze jedną... A zdjęcie wziąłem na pamiątkę.

2. Zdjęcie przedstawiało Alice. Zrobiła je sobie dokładnie dwieście lat temu. Barton był wówczas adeptem ostatniego kursu KOGA i przygotowywał się do podjęcia pracy jako konserwator sond kosmicznych w Proxima Centauri. Alice miała dziewiętnaście lat, była bardzo ładna i stosownie zarozumiała. Bartonowi podobała się taka właśnie. Spotykał się z nią zarywając czasami zajęcia w Instytucie, a gdy oświadczyła mu, że jest w ciąży, wiedziony rycerskim poczuciem honoru zaproponował małżeństwo. Nic więcej nie mógł zrobić. Alice zresztą na więcej nie liczyła. Małżeństwo z pracownikiem KOGA zapewniało jej dwupokojowe mieszkanie oraz spory dochód miesięczny do końca życia.

Kategorycznie odrzuciła myśl, aby Barton zrezygnował z KOGA.

Na pół roku wprowadził się z Alice do nowego mieszkania. Z jego okien roztaczał się wspaniały widok na porośnięte gęstym lasem stoki Góry nad Miastem. Widok ten napełniał go zawsze przyjemnym dreszczem. Mówił często, że Góra przypomina mu kobiecą pierś i Alice zawsze bardzo się z tego śmiała. Była to zresztą chyba jedyna rzecz, która bawiła Alice w Bartonie. Półroczne z nią pożycie przekonało go, że wcale Alice nie znał. Nie wymagał od niej wiele – trochę kobiecego ciepła, trochę czułości, a przede wszystkim obecności gdzieś obok, gdy wkuwał w pocie czoła do ostatnich egzaminów. Ale Alice nie była ani ciepła, ani czuła. Przeważnie była też nieobecna. Gdy wracał z Instytutu, zastawał z początku wiadomość, że Alice gdzieś właśnie wyszła w pilnej sprawie, później coraz częściej po prostu nie zastawał jej w domu. Na wymówki nie reagowała. Raz tylko powiedziała: „Przecież i tak wyjedziesz. Po co się przyzwyczajać?" I musiał przyznać jej rację. Jego rejsy do Proximy miały trwać po dwa lata. W tym czasie dla Alice mijać będzie lat dziewiętnaście. Gdy wróci z pierwszego rejsu, Alice będzie mieć czterdzieści, a on tylko dwadzieścia siedem lat, gdy wróci z drugiego jako trzydziestolatek, ona będzie zbliżać się do sześćdziesiątki.

Po czterech miesiącach małżeństwa Alice urodziła córeczkę. Nazwała ją Barba. Bartonowi nie podobało się to imię, ale Alice twierdziła, że to tak ładnie brzmi: Barba Barton. Została więc Barbą – zdrobniale Ba. Barton odleciał, gdy Ba liczyła sobie dwa miesiące i siedem dni. Była brzydkim niemowlęciem, ale Alice wróżyła jej wielką urodę w przyszłości.

3.

Przepowiednia sprawdziła się. Gdy w dwa, a raczej dziewiętnaście lat później Barton stanął na progu mieszkania ujrzał przed sobą smukłą, ciemnowłosą piękność. Barba przypominała nieco Alice, ale jej uroda była znacznie doskonalsza. I o wiele zimniejsza. Barton niemal przestraszył się swej córki – zresztą myśl, że ta wysoka dziewczyna jest jego córką z trudnością mieściła mu się w głowie.

Wiele rzeczy wydawało mu się trudnymi do pojęcia przez ten rok pierwszego urlopu. Góra za oknem sprawiała wrażenie mniejszej, las na jej stokach jakby się przerzedził. Ludzie dziwnie się ubierali, czasami używali słów, których nie rozumiał. Zamiast pieniędzy wprowadzono żetony i trudno mu było połapać się w ich rodzajach i przeznaczeniu. W nieporozumieniach z ludźmi pomagała wprawdzie czerwona plakietka KOGA na naramienniku, ale automaty na plakietkę nie reagowały. Barton stracił wiele żetonów, zanim nauczył się nimi właściwie posługiwać.

KOGA zawiadamiał zawsze rodzinę swego pracownika o jego powrocie. Toteż Alice doręczono elegancką ozdobną kartę z wydrukowaną dokładną datą i miejscem lądowania Bartona. Ale ani myślała po niego wychodzić. Nie pokazała też karty córce.

Przyjazd Bartona był zapowiedziany na początek weekendu. Jednak z powodu żetonów Barton ugrzązł na lotnisku i dopiero we wtorek dotarł do Miasta i mieszkania żony.

– Mamy nie ma w domu – skłamała Barba na zapytanie o Alice. Nie miała pojęcia, czego od matki może chcieć ten młody mężczyzna w uniformie służby kosmicznej. Jednak gość nie zrażony wyniosłą miną dziewczyny wszedł do pokoju, rozejrzał się rejestrując zaszłe w nim zmiany, po czym podszedł do okna i popatrzył w kierunku Góry.

– Zawsze bardzo lubiłem ten widok – powiedział i dopiero wtedy Barbie przyszło do głowy, kim jest przybysz.

– Pan... – powiedział wolno.

– Jesteś Barba Barton, prawda? Tak, więc... w takim razie jestem twoim ojcem. – Zaśmiał się zażenowany nieco tym wyznaniem.

W tej chwili z przedpokoju doleciał głos Alice:

– Kto tam jest, Barba? Kto przyszedł? – głos brzmiał miaukliwie i w pierwszej chwili Barton go nie rozpoznał, podobnie jak na pierwszy rzut oka nie mógł poznać Alice w kobiecie która weszła do pokoju. Była o dwadzieścia lat starsza oraz wyraźnie podpita. Na twarzy miała rozmazany makijaż, a ubrana była w rodzaj ornatu, w którym Barton wcześniej niż swojej żony w tej pijanej kobiecie, domyślił się narzuty, której używali jeszcze dwadzieścia lat temu do przykrywania łóżka.

– Barton! – wykrzyknęła Alice. – Co za diabli cię tu przynieśli?

– Chciałem zobaczyć, jak wam się powodzi – Barton spodziewał się wszystkiego, z wyjątkiem takiego przywitania.

– Nie twoja rzecz! – Alice potknęła się o fotel, zatoczyła i w końcu usiadła.

– Mamo – powiedziała lodowatym głosem Barba – pan Barton...

– Tatuś, Barba. Twój rodzony tatuś. Sam zmieniał ci zafajdane pieluchy... Dwa lata temu! Dwa lata! Dla niego dwa lata, a dla nas dwadzieścia! – Alice zaczęła trząść się, Barton nie wiedział czy płacze, czy się śmieje.

– Za dużo wypiłaś – Barba przyglądała się matce obojętnym wzrokiem. Nie wydawała się ani oburzona, ani zawstydzona jej zachowaniem.

Wychodząc z mieszkania Barton zobaczył przez uchylone drzwi drugiego pokoju owłosione nogi, wystające spod przykrycia na tapczanie. Nie poczuł nic i był z tego zadowolony.

Mimo że pierwsze spotkanie wypadło tak niefortunnie, w dwa dni później Barton otrzymał od obu pań zaproszenie na kolację. Tym razem Alice była nie tylko trzeźwa, ale i zadbana, niemal młodzieńcza. W przyćmionym świetle mogła uchodzić za rówieśnicę Barby. Nie pojawił się – czego Barton nieco się obawiał – właściciel owłosionych nóg i z rozmowy nie wynikało, żeby Alice miała jakiegoś stałego przyjaciela. Tak więc wieczór minął w przyjemnym nastroju. Jedynym zgrzytem była rozmowa o statucie Barby jako hostessy hotelowej. Barton nie był tym zachwycony. Nie rozumiał, dlaczego dziewczyna nie uczy się konkretnego zawodu, który dałby



jej stanowisko i przyzwoite utrzymanie. Wydawała mu się dość inteligentna, by myśleć nawet o studiach... Wzrok Barby stał się nieobecny, jakby nie o niej była mowa i najwyraźniej nie zamierzała wyrazić swojej opinii. Alice natomiast oświadczyła bez ogródek, że jako hostessa Barba może poznać kogoś z KOGA, wyjść za niego i tym samym zapewnić sobie byt do końca życia bez ślęczenia nad podręcznikami. W tym miejscu rozmowę przerwała Barba przypominając matce, że chciała obejrzeć film i resztę wieczoru Barton spędził na snuciu refleksji nad poprawą odbioru holowizyjnego i pogorszeniem się jakości prezentowanych filmów. Co pewien czas łapał się na tym, że nie rozumie, z czego śmieje się Alice (Barba nie roześmiała się ani razu). Pod koniec stwierdził, że morał filmu jest wątpliwy moralnie.

Rozstali się przyjaźnie. Barton nie zdobył się na to, by wejść do pokoju żony, choć Alice zdawała się nie mieć nic przeciwko temu. Obiecał natomiast odwiedzić Barbę w hotelu i rzeczywiście wynajął tam pokój na dwa tygodnie. Jednak po pierwszym weekendzie skasował rezerwację.

Barba w roli hostessy i w jej stroju działała na niego paraliżująco. Choć jako kadet korzystał czasem z usług jej koleżanek i wiedział, że nieraz jeszcze przyjdzie mu to uczynić, nie mógł jednak pogodzić się z widokiem Barby w ich gronie. I nawet nie dlatego, że była jego córkę – miał dla niej raczej braterskie niż ojcowskie uczucia – po prostu Barba wydawała mu się całkowicie nie na miejscu. Jej wyniosła mina, sztywny chód, kanciaste ruchy, zdecydowany, zimny głos – Barba jako hostessa była nie do przyjęcia. Barton dziwił się, że w ogóle ją tutaj trzymają. Najwyraźniej dziewczyna nie była popularna wśród gości – słyszał nawet jak ktoś nazwał ją „Lodową Górą" i czuł, że określenie to jest całkowicie uzasadnione. W każdym razie zdecydował, że trzeba Barbę namówić do rzucenia hotelu i zajęcia się czymś odpowiedniejszym. Zdawało mu się niemożliwe, by Barba w kusej spódniczce odsłaniającej na wpół gołe pośladki nie czuła się równie źle, jak źle wyglądała. Ale w hotelu nie było ani czasu, ani możliwości prowadzenia zasadniczych rozmów. Mimo wszystko Barba zawsze miała jakichś swoich paru klientów, którymi musiała się zajmować. Barton zaprosił ją więc nad morze do jednego z pensjonatów KOGA, dokąd wybierał się czując, że niemożliwością jest podjęcie w tym samym punkcie życia, przerwanego na dwadzieścia lat niebytu.

Barba nie omieszkała skorzystać z zaproszenia. Na plaży straciła nieco lodowatości, lecz o rzuceniu posady hostessy nie chciała słyszeć. Nie spierała się, nie przedstawiała kontrargumentów – po prostu nie słuchała. Nie powiedziała mu nawet, by nie wyobrażał sobie, że skoro ją spłodził, to ma prawo wtrącać się w jej życie, choć jej mina zdawała się to właśnie oznaczać.

Potem Barba odkryła Sisa, czy też raczej Sis odkrył Barbę i Barton, który go nie lubił, praktycznie przestał widywać córkę. Sis miał już pod pięćdziesiątkę, niewielki brzuszek i sporą łysinę. Był staroświecki – nawet dla Bartona – w mowie i sposobie bycia. Natomiast publiczną tajemnicą było, że ma wcale niestaroświeckie upodobania seksualne. Dla Bartona widok Sisa uwieszonego ramienia o pół głowy wyższej Barby stanowił dotkliwy cios. Zdał sobie sprawę, że przegrał nie rozpoczętą bitwę. Mimo to Barba nie straciła jego sympatii. Nigdy nie miał pojęcia, dlaczego właściwie ją lubił – może dlatego, że podświadomie odgadywał w niej istotę przegraną i poczuwał się do winy.

4. W dwadzieścia lat później ujrzał Barbę nadmiernie postarzałą, żyjącą nadal z matką, częściowo na jej utrzymaniu, częściowo utrzymującą się z renty dziecka. Miała ledwie trzydzieści dziewięć lat, lecz podczas gdy Alice w jej wieku potrafiła być jeszcze powabna, Barba straciła całą urodę, a zachowała jedynie wyniosłą minę i sztywny chód. Alice wprawdzie także się postarzała, mimo to Barton stwierdził ze zdziwieniem, że matka i córka nadal wyglądają na rówieśnice.

Złożył im tylko jedną krótką wizytę na początku swego pobytu na Ziemi. Z Alice, która zbliżała się do sześćdziesiątki

szył widok dziadka – myśl, że Barton który wyglądał wciąż bardzo młodo, jest ojcem jej mamy, wydawała się jej szalenie komiczna.

Christa miała już ponad dziesięć lat i Barton uznał ją za najbrzydsze i najnieznośniejsze dziecko, jakie spotkał w życiu. Po matce odziedziczyła wzrost i kanciastość ruchów, po nieznanym ojcu – monstrualny nos. Miała też nieprawidłowy zgryz, co nasuwało podejrzenie, że wcześniej czy później jej nos zetknie się z brodą. Barton nie mógł zrozumieć, jak piękna matka mogła urodzić takiego potworka, choć rzut oka na Barbę budził z kolei wątpliwość, czy istotnie były ona kiedyś pięknością. Nie ulegało natomiast kwestii, że Christa ma piekielny temperament i Barton wolał nie myśleć, dokąd może ją to zaprowadzić, zwłaszcza przy wychowaniu – czy raczej jego kompletnym braku – jakie Barba zapewniała córce. Słownictwo małej wskazywało, że większą część czasu spędza poza domem. Barba przyznała bez zażenowania, że wyrzuca córkę za drzwi, ilekroć zaczyna drażnić ją jej towarzystwo. Barton przestał mieć jej to za złe, gdy Christa po raz któryś z kolei pokazała mu język i nazwała „dziadkiem-sradkiem".

Pożegnał się, jak mógł najszybciej. Potem pojechał do hotelu, w którym niegdyś pracowała Barba, by z okna jego pokoju popatrzeć w spokoju na Miasto i Górę. Lecz okazało się, że hotel przestał istnieć, ustępując miejsca jakiejś podejrzanej tancbudzie. Zawrócił więc, notując tylko w pamięci, że Góra niemal doszczętnie wyłysiała. Przez dwa miesiące wałęsał się po Mieście szukając znanych zakątków i co krok stwierdzając, że chociaż z pozoru nic się nie zmieniło, zmieniło się wszystko. Może najmniej odmienili się ludzie. Choć nosili teraz inne ubrania niż dwadzieścia i czterdzieści lat temu, zdawali się być ludźmi z czasów jego młodości – może byli tylko nieco smutniejsi i bardziej zaaferowani.

W końcu spotkał miłą dziewczynę, z którą było mu dobrze i z nią opuścił Miasto, by udać się nad morze do pensjonatu KOGA. Czuł, że nic już nie łączy go z rodziną. Nie odezwał się też do nich do końca pobytu i opuścił Ziemię bez pożegnania.

5. W czasie, gdy odbywał swój trzeci lot, przez świat przetoczył się kryzys gospodarczy. Trwał ponad dziesięć lat i sprawił, że Barton po powrocie odniósł wrażenie, iż również na Ziemi nie minęło więcej niż dwa lata. Nawet moda nie uległa większej zmianie – ludzie donaszali stare ubrania. Wciąż było sporo automatów dawnego typu, pogorszyła się komunikacja i obsługa w hotelach. Karty dań w restauracjach miały mniejszą objętość i zjawiły się na nich nazwy potraw, które jadał, będąc jeszcze kadetem.

Na lotnisku oczekiwała go wiadomość od Barby. Donosiła mu, że Alice zmarła przed trzema laty, ona zaś musiała opuścić ich stare mieszkanie i – jako że jest chora – mieszka teraz w miejskim sanitarium. Nie prosiła go o odwiedziny, lecz jedynie o parę żetonów na napoje, ponieważ ciągle usycha z pragnienia, „a tutaj – chrypiała – nawet wody nie dostajemy do woli".

Pojechał do miejskiego sanitarium nie tyle z chęci ujrzenia Barby, ile raczej z potrzeby uspokojenia własnego sumienia. „W końcu to moja córka" – mówił sobie, choć myśl, że ta córka mogłaby być teraz jego matką napawała go lekkim niesmakiem. Dopiero tu dowiedział się, że Barba od lat jest nałogową lekomanką.

– Jej organizm jest całkowicie wycieńczony – mówił lekarz – zażywała wszystko od narkotyków po środki przeczyszczające. Nawet tutaj nie możemy sobie z nią poradzić. Jest bardzo sprytna. Potrafi wyłudzić leki od automatów i kradnie je innym pacjentom.

– Czy nie mógłbym jakoś jej pomóc – Barton mimo woli był poruszony – może zmiana otoczenia...

– Niestety. Zapewniam pana, że to przypadek beznadziejny. Organizm skrajnie wyczerpany. Zbyt późno znalazła się pod kontrolą. Można tylko podtrzymywać ją jakiś czas przy życiu, ale... czy warto? – Lekarz wzruszył niechętnie ramionami. – Kim pan właściwie dla niej jest? – dodał pospiesznie, reflektując się, że być może powiedział za dużo. – Jej zięciem? Wiemy, że ma córkę, ale do tej pory nie odpo-

Posądzenie o to, że mógłby poślubić Christę, sprawiło, że Barton gwałtownie zaprzeczył.

– Jestem jej krewnym – powiedział twardo.

– O ile mi wiadomo, nie istnieje żadna rodzina pani Barton poza jej córką... Chyba, że... – W oczach lekarza pojawiło się nieopisane zdumienie. – I pan naprawdę chce ją zobaczyć?

– Myślę, że powinienem...

– Przyznam, że pierwszy raz stykam się z podobną sytuacją, trudno mi coś radzić. W każdym razie... – zawahał się, jakby niepewny, co ma powiedzieć – jeżeli chce jej pan sprawić przejemność, niech pan da jej to – wcisnął Bartonowi w rękę opakowanie z pigułkami.

– Co to takiego?

– Glukoza. Może jej tylko pomóc.

Barba była już staruszką. Szkielet obciągnięty skórą. Barton nie mógł się dopatrzeć w niej podobieństwa ani do Alice, ani do dawnej Barby. Może tylko do Christy. Ręce jej dygotały, mimo to w ciągu dziesięciu minut, jakie u niej spędził, zdążyła pochłonąć pigułkę po pigułce całe opakowanie glukozy. Niewiele mieli sobie do powiedzenia. Barba o Alice nie chciała mówić. O Chriście powiedziała tylko, że jeśli chce ją odnaleźć, niech przeszuka rynsztoki. Uciekł, jak mógł najszybciej. Dopiero w pneumetrze przypomniał sobie, że nie dał jej żetonów, o które go prosiła. Zastanawiał się, czy wrócić, ale stwierdził, że kieszeń z żetonami była pusta.

Nie zdobył się na spotkanie z Christą. Odnalazł ją wprawdzie, zawędrował nawet pod jej dom, doszedł do drzwi jej mieszkania... po czym zawrócił. Dowiedział się jedynie tego, czego oczekiwał – Christa była najzwyklejszą uliczną prostytutką sprzedającą się za żeton piwa każdemu, kto był dość pijany na to, by mieć na nią ochotę. Mieszkała w najstarszej dzielnicy Miasta w bloku, który byłby już dawno rozebrany, gdyby nie kryzys. Miała trzydzieści lat, ale podejrzewał, że wkrótce jego wnuczka upodobni się do swojej matki. Nie sądził, by rozmowa o Barbie mogła cokolwiek zmienić.

6. Christę zobaczył dopiero w czasie następnego pobytu na Ziemi. Przyszła na lotnisko, by pokazać pradziadka swojej córeczce Doll. Barton przeżył prawdziwy wstrząs. Moda zmieniła się nieprawdopodobnie i miał uczucia, że znalazł się wśród rzeszy przebierańców. W chudej, wysokiej postaci obwieszonej mnóstwem postrzępionych, kolorowych szmatek z trudem przyszło mu rozpoznać Christę. Sądząc po zbliżających się ku sobie brodzie i nosie, była to ta sama Christa. Sądząc po cerze, blasku oczu i starannym makijażu nie mogła to być ta sama Christa. Wiedział, że jego wnuczka ma już z pięćdziesiąt lat, lecz stojąca przed nim kobieta nie wyglądała na więcej niż trzydzieści pięć. Nic się tutaj nie zgadzało. Do tego u boku Christy stała trzynastoletnia dziewczynka, a właściwie już mała kobietka o złocistych lokach i buzi aniołka. Gdy Christa podeszła do niego, rozpoznał sztywne ruchy Barby. Natomiast Doll zamiast podejść podpłynęła, czy też raczej podfrunęła. Zrozumiał wtedy, że Christa nie tyle chciała pokazać córce pradziadka, ile raczej pokazać Doll pradziadkowi.

Christa mieszkała teraz w nowym lokatorium z przestronnymi galeriami, basenem i salą gimnastyczną dostępnymi tylko dla jego mieszkańców. Zajmowała niewielki, lecz luksusowy apartament. Tutaj to – po odtańczeniu przez Doll dwóch tańców charakterystycznych – Christa przedstawiła Bartonowi dzieje swojego sukcesu. Barton sam nie wiedział, co bardziej go zaszokowało – wyniki do jakich doszła, czy cynizm z jakim o tym opowiadała.

Sekretem jej powodzenia była abstynencja. Nie piła nigdy ani łyka. Na resztę składały się powszechnie znane prawa rynku – stosunek podaży do popytu oraz właściwie pojęty handel zamienny. Barton dowiedział się, ile żetonów piwa sprytna kobieta jest w stanie wydusić od jednego klienta za zwykłą przysługę, a ile za przysługi szczególne. Dowiedział się też, że sama wymiana żetonów piwa na inne żetony nie jest tak opłacalna jak zgromadzenie większej ich liczby, następnie opróżnienie całego automatu, co przy nieczynnych automatach w najbliższym sąsiedztwie (nie bez udziału osoby zainteresowanej) daje w efekcie w ciągu wieczora podwójną liczbę żetonów na piwo lub tyle samo żetonów na piwo plus drugie tyle żetonów ekwiwalentnych. Na opróżnienie jednego automatu Christa musiała ciułać zarobek z całego miesiąca, dzięki temu jednak jej zysk miesięczny się podwajał. Barton dowiedział się także, jakie żetony poza żetonami piwnymi są na rynku towarem deficytowym i że przy znajomości aktualnego stanu rynku z wymiany żetonów, można osiągnąć zysk od piętnastu do pięćdziesięciu procent. Ale najbardziej opłacalny jest proceder piwny. O ile prowadzi się go z umiarem i nigdy dwa razy przy tym samym automacie. Jeżeli miało się przy tym, jak Christa, posadę kontrolera automatów, a co za tym idzie nieograniczoną możliwość unieruchamiania ich bez demolowania.

Barton przypomniał sobie, ile to razy nabył piwo u pokątnego sprzedawcy za podwójny żeton i ile razy wymienił żeton mięsny na żeton piwny. Zapytał, czy Doll również wykazuje zdolności w igraniu z automatami. O nie, Doll uczy się tańca, Doll będzie tancerką. Doll wyjdzie za mąż za faceta z KOGA albo w ogóle za kogoś z Centralu. Czy Doll nie powinna uczyć się jakiegoś konkretnego zawodu, choćby choreografii, jeśli tak lubi tańczyć? Po co? Choreograf wcale dużo nie zarabia, a Doll – póki młoda – będzie mogła dorobić sobie drugą albo i trzecią gażę...

Barba? Cóż, zmarła piętnaście lat temu. Może nawet więcej. O ile Christa wie, pochowano ją w tym samym miejscu co babkę. Nie, Christa nie mogła być na pogrzebie matki. Nie, nie zostały żadne pamiątki, matka wszystko wyprzedała. Christa, wyprowadzając się z domu, wzięła bardzo ładny portrecik babki. Miał złotą ramkę i myślała, że może to być coś warte. Okazało się jednak, że pozłota jest sztuczna. Ale nie szkodzi. Teraz portrecik należy do Doll. Za dwadzieścia, trzydzieści lat Doll dostanie za niego dwa, trzy razy więcej niż w tej chwili...

Przez cały czas tej rozmowy Doll siedziała na poręczy jego fotela. Co pewien czas zaglądała mu w twarz przewracając oczami lub szczebiotała: „mój dziaduniek" albo „pradziadunku". Barton nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest w tym dziecku poza przesadną egzaltacją coś nienormalnego i zastanawiał się, czy Christy nie zawiodą związane z córką kalkulacje.

Wyszedł od Christy spocony, choć klimatyzacja działała sprawnie, a gospodyni częstowała go schłodzonym sonilem. Przyszła mu bowiem do głowy myśl, która miała go dotąd stale prześladować, że gdyby nie jego nasienie, nigdy nie narodziłyby się ani Barba, ani Christa, ani Doll...

Zatrzymał się przed budynkiem i chyba po raz pierwszy odczuł przemijanie czasu, gdy patrzył na ruchome chodniki, po których poruszali się swobodnie ludzie przybrani w kolorowe strzępy. A przecież od jego pierwszego lotu minęło dopiero osiemdziesiąt lat. Osiemdziesiąt lat mieści się w granicach pojmowania jednego ludzkiego istnienia. Ale on ma dopiero trzydzieści sześć lat, jedenaście lotów za sobą, a więc drugie tyle przed sobą. Drugie ludzkie istnienie. Czy będzie w stanie mu podołać? Czy Christa jest w równej mierze szokująca dla swoich współczesnych, co i dla niego? Czy może powinien przyjąć jej punkt widzenia za poprawny i mieszczący się w ramach norm moralnych i z takiego punktu wystartować w swoje „drugie życie"?

Wskoczył na chodnik zmierzający w stronę pneumetra, źle odmierzył krok i zaczął tracić równowagę. Jakiś wyrostek zachichotał złośliwie. Ktoś powiedział z pogardą „pijak", ale dostrzegłszy czerwoną plakietkę KOGA na naramienniku wyciągnął pomocną rękę.

Teresa IŻEWSKA

Z wykształcenia mgr inż. architekt, przepracowała dziesięć lat jako nauczyciel akademicki (Politechnika Gdańska). Obecnie jest gospodynią domową (wiejską), lecz ma nadzieję zostać wkrótce chałupniczką. Oczekuje na decyzję w sprawie powieści SF złożonej na początku tego roku w „Almapressie". Opowiadanie „Przekleństwo" jest jej literackim debiutem.

(mp)



Andrzej Brzezicki

7. Barton nie zobaczył już więcej Chrysty. Zmarła nagle jedenaście lat później. Ale przed śmiercią dopięła swego. Wydała Doll za mąż za niejakiego Ewansa z KOGA. Ewans latał na jeszcze dłuższej linii niż Barton, toteż dla Bartona pozostało niewyjaśnioną zagadką, dlaczego się ożenił. Christa z pewnością znała jej rozwiązanie, być może sama je stworzyła.

Doll nie wykazała zainteresowania przyjazdem Bartona. On też obiecywał sobie nie nawiązywać z nią kontaktu. Lecz miał mimo to ochotę zobaczyć ją, porównać oczekiwania matki z rzeczywistością. Poprzez centralinform odnalazł mały lokal nocny w starej części Miasta, gdzie występowała wciąż jako tancerka. Tańczyła nago, bez muzyki i choć miała już trzydzieści trzy lata i oglądano ją tu co wieczór od piętnastu lat, nadal stanowiła główną atrakcję programu i przyciągała najwięcej widzów.

Po obejrzeniu numeru Doll, Barton zupełnie nie wiedział, co myśleć. Jego zadaniem nie był to taniec w dobrym gatunku. Sto lat temu prawdopodobnie nikt w ogóle nie uznałby tego za taniec. Lecz jednocześnie musiał przyznać, że Doll robi wrażenie – wszelkie braki niwelowała jakąś zmysłową żywiołowością przyprawioną jakby szczyptą szaleństwa, które porywało ją, a wraz z nią publiczność, na wyżyny niemalże ekstazy.

– Nie wiem, co w niej jest – skomentował widowisko sąsiad Bartona z widowni – ale z roku na rok staje się coraz lepsza. Pamiętam ją, gdy zaczynała. Myślałem wtedy, że nigdy nie będzie z niej tancerka. Za mało miała szkoły, a za dużo się wdzięczyła. Ale teraz! Ona sama jest szkołą!

Po skończonym występie Doll spłynęła z okrągłej estrady pośrodku sali i przechadzając się między stolikami zbierała wyrazy i gesty zachwytu i podziwu. Barton nie przewidział tego, a ponieważ siedział blisko estrady, został przez nią natychmiast zauważony.

– Och, dziaduniu! – wykrzyknęła i wskoczywszy mu na kolana przytuliła jego głowę do swych nagich piersi. – Jak to ładnie, że przyszedłeś mnie zobaczyć. I jak ci się podoba twoja Doll? – Kokieteryjnie zajrzała mu w twarz, przewracając oczami jak przed dwudziestu laty.

Sąsiad od stolika zarechotał. Skonsternowany Barton poczuł, że jego twarz po raz pierwszy bodaj od stu lat oblewa rumieniec. Z trudem wykrztusił z siebie jakiś komplement. Ku jego uldze Doll ruszyła dalej na obchód sali.

– Niech się pan nie przejmuje. To jej stary numer. Powtarza go z każdym gościem z KOGA. Rzadko który nie skorzysta z okazji. Opowiada wszystkim rzewną historyjkę o zaginionym dziadku, który wyruszył z Ziemi przed wiekami i pięć lat temu minął termin jego powrotu, lecz ona wciąż wierzy i czeka.

Barton wolał nie upewniać się, czy Doll tym razem również grała swoją komedyjkę, czy istotnie rozpoznała w nim pradziadka.

8. Dopiero w dwadzieścia lat później dowiedział się o istnieniu Ewy, córki Doll. Na lotnisku czekał na niego mały kartonik z krótkim pozdrowieniem od „krewnej Ewy Ewans". Nie było na nim nic więcej. Nawet adresu. W centralinformie Barton dowiedział się, że pani Ewa Ewans ma lat trzydzieści i mieszka z córką w dawnym mieszkaniu Doll. Sama Doll od sześciu lat przebywa w lecznicy psychiatrycznej i niewielka jest szansa, by kiedykolwiek ją opuściła. W lecznicy poznał więcej szczegółów: sześć lat temu Doll została zwolniona z pracy z dobrą odprawą – nie dawało się już ukryć jej wieku, straciła figurę. Lecz Doll nie przyjęła do wiadomości wymówienia. Nadal przychodziła do lokalu i siłą wdzierała się na scenę. Gdy ją stamtąd usuwano, zaczynała tańczyć między stolikami, wyrzucana z lokalu dawała występ przed jego wejściem, dochodziło do gorszących scen i awantur. Teraz już wszyscy spostrzegli, że jej taniec nie jest tańcem, lecz wyuzdaniem. Trafiła do psychiatry, potem do lecznicy.

– To szaleństwo musiało tkwić w niej od urodzenia. Ale objawiało się tylko w tańcu, wyzwalało się w tańcu... a może taniec neutralizował szaleństwo... A przyczyna tkwiła w niewielkiej anomalii korowej. Gdyby w porę dostrzeżono wczesne objawy, można by ją usunąć bez śladu. Niestety, anomalia psychiczna została w tym przypadku potraktowana jako przejaw wyjątkowego talentu... – mówił psychik z lecznicy – wszelkie wizyty mężczyzn są niewskazane. Powodują silne ataki choroby. Jednym z objawów schorzenie jest przerost seksualizmu... Tak, córka dowiaduje się często o stan matki, choć prawie jej nie odwiedza... Robimy, co możemy... Do widzenia panu...

Dwadzieścia lat temu miał nadzieję, że jego ród wreszcie wygaśnie. Teraz dowiadywał się, że istnieje nie tylko Ewa, ale jeszcze i jej córka Fran. Barton wciąż obiecywał sobie nie interesować się więcej rodziną, ale i tym razem obietnicy nie dotrzymał...

Ewa Ewans prowadziła małą agencję pośrednictwa pracy dla dziewcząt i była nieprawdopodobnie zajęta i nieuchwytna. Dopiero po tygodniu Barton złapał ją wreszcie przez interkom. Jej widok zaskoczył go. Nie przypominała w niczym ani Doll, ani Christy, ani Barby, ani Alice. Było drobna, krucha i pastelowa – tylko głos miała źle dobrany: bardzo niski, bardzo zimny i bardzo stanowczy.

Było jej przykro, ale jako kobieta interesu nie miała czasu na życie rodzinne, ani towarzyskie. Ani dziś, ani jutro... chyba że pojutrze... jakieś pół godzinki...

Zaproszenie nie brzmiało zachęcająco i z początku Barton nie zamierzał z niego skorzystać. Ale ponieważ nie miał w końcu nic lepszego do roboty...

Ewa stawiła się na spotkanie punktualnie, ale zamiast pół godziny spędziła z Bartonem pół minuty.

– To jedna z moich dziewcząt – przedstawiła swoją towarzyszkę. – Myślę, że będzie ci odpowiadała... Kay, zaopiekuj się panem... Muszę już uciekać, kuzynie – zwróciła się znów do zaskoczonego Bartona. – Proszę, nie czuj się do niczego zobowiązany. Pośrednictwo gratis...

Odeszła, zanim miał czas zastanowić się, co miała na myśli. Popatrzył na Kay i zrezygnował z zastanawiania się nad tym, czy w ogóle nad czymkolwiek. Nie chciał nad niczym się zastanawiać. Chciał tylko dalej patrzeć na Kay i być tylko z Kay. Zapomniał o Ewie Ewans natychmiast, gdy znikła mu z oczu. Zrezygnował z oglądania Miasta i jego Góry. Przestały interesować go wędrówki po ulicach w poszukiwaniu wspomnień. Mając czterdzieści dwa lata zakochał się po raz pierwszy bez pamięci...

Nie obchodziło go, kim jest Kay, co dotychczas robiła ani co będzie robiła po jego odjeździe. Jej związek z Ewą i „agencją pośrednictwa pracy" uznał jedynie za szczęśliwy przypadek. Zabrał Kay na Bezludną Wyspę, na której KOGA wybudował właśnie luksusowy hotel. Nie rozstawał się z nią ani na chwilę. Mimo to Kay zdołała go dwa razy zdradzić. Barton nie przyjął tego do wiadomości. Po prostu nie chciał myśleć o niej jako o bezwolnej istocie, z której ciałem każdy – czy to on, czy też kto inny – może robić, co mu się podoba. Kay była ideałem i luksusem. Kay prawie się nie odzywała, za to często i z byle czego śmiała. Kay lubiła jeść i wygrzewać się nago na słońcu. Kay nigdy się nie nudziła, jeśli miała co jeść i jeśli było słońce, a na Bezludnej Wyspie słońce było codziennie. W rzadkich chwilach przebłysków świadomości Barton błogosławił jeszcze jedną zaletę Kay – była bezpłodna, nie chciała mieć dzieci i zadbała o to. Chroniło go to przed pokusą ponownego założenia rodziny.

W dniu wyjazdu z Bezludnej Wyspy Kay zniknęła o świcie, a wraz z nią cały jej bagaż i wszystkie żetony Bartona. Barton miał pewne podstawy, by poszukiwać jej w jednym z pokoi piętro wyżej, ale nie zrobił tego, ponieważ bardziej odpowiadała mu myśl, że Kay odeszła wcześniej, by uniknąć smutku pożegnania. Nad sprawą żetonów Barton nie zastanawiał się. Obiecywał sobie natomiast, że gdy wróci na Ziemię za dziewiętnaście lat, odnajdzie znowu Kay i jeszcze raz zabierze ją na Bezludną Wyspę. Czuł, że po raz pierwszy czas na Ziemi spędził jak należy, a nie zmarnował go.

9. Przez dwa lata pobytu w przestrzeni obraz Kay tak się zunifikował, że pasował do przynajmniej połowy z tłumu dziewcząt przesiadujących zwykle na dworcu w oczekiwaniu gości. Toteż Barton był pewny, że nie będzie miał trudności z jej odnalezieniem. Ale na lotnisku spotkało go rozczarowanie w postaci Fran Ewans. Rozczarowanie znikło zresztą natychmiast na widok prapraprawnuczki – Fran liczyła sobie dwadzieścia cztery wiosny, miała piękną twarz Barby, ale złagodzoną słodyczą Doll. Poza tym Fran miała już zupełnie własny płomień w oczach, czerwień we włosach i promienny uśmiech, który zaćmiewał słońce.

Ta płomienność Fran oślepiła Bartona. Pomyślał, że oto po ponad stu latach z jego nasienia wykiełkował wreszcie kwiat, o jakim mógł tylko marzyć. Małżeństwo z Alice, życie Barby, Christy i Doll dzięki istnieniu Fran nabrały nagle sensu.

Fran również była zachwycona pradziadkiem. W ogóle łatwo się zachwycała i entuzjazmowała – Bartonowi nigdy nie przyszłoby na myśl, że jest na świecie tyle rzeczy godnych podziwu. Nagle zaczął spoglądać na wszystko nowymi oczami. Wędrował po Mieście w towarzystwie Fran potrząsającej kolczykami wielkimi, mieniącymi się jak bańki mydlane – żadna inna kobieta nie nosiła podobnych kolczyków – i Miasto coraz bardziej mu się podobało. Podobały mu się przedsionki uniwersyteckie, gdzie zaperzeni studenci – Fran znała połowę z nich z imienia – dyskutowali, nadając znanym Bartonowi słowom zupełnie niezrozumiałe znaczenia. Podobały mu się rozmawialnie, gdzie brodaci i łysi intelektualiści przemawiali wszyscy jednocześnie nie słuchając się nawzajem. Fran, która z namiętnością kibica przysłuchiwała się tym „rozmowom", twierdziła, że są szalenie twórcze i Barton wierzył jej, choć nie rozumiał nic z tego, o czym mówiono. Podobały mu się popierane gorąco przez Fran wiece protestacyjne przeciwko połączeniu Univers Centralu i Central Centralu, mimo że nie wiedział do tej pory o powstaniu trzydzieści lat temu obu tych instytucji w wyniku podziału Centralu.

Nie podobało się natomiast Bartonowi przyjęcie, jakie Ewa Ewans, matka Fran, wydawała wraz ze swoją „agencją" w imieniu Antona de Solto, Naczelnego Koordynatora Central Centralu w jego rezydencji usytuowanej na stoku Góry. Przyjęcie to trwało już przeszło trzy tygodnie i najwyraźniej miało na celu dostarczenie rozrywek seksualnych dygnitarzom z Central Centralu i Univers Centralu. Nie podobał się Bartonowi także sam de Solto – przysadkowaty, śniady, modnie nieogolony facet około pięćdziesiątki, poklepujący protekcjonalnie poniżej pasa co ładniejsze dziewczyny, a więc również i Fran. Ale przede wszystkim nie podobało mu się, że Fran pojawiając się na przyjęciu przestawała interesować się nim, a swój zachwyt i entuzjazm okazywała podtatusiałym, łypiącym na nią pożądliwie centrałowcom. Usiłował namówić Fran do wyjazdu na Bezludną Wyspę, ale prapraprawnuczka oświadczyła stanowczo, że nie opuści Miasta w chwili, gdy dzieje się tu tyle ważnych i wspaniałych rzeczy, które kto wie, do czego jeszcze doprowadzą.

– Dla ciebie nie jest istotne – przedkładała – czy Central jest jeden czy podzielony. Ale dla każdego, kto mieszka tutaj na Ziemi, zjednoczenie Centralu to sprawa życia i śmierci.

– Byłem przekonany – zdziwił się Barton – że jesteś przeciwna zjednoczeniu. Tydzień temu, na wiecu protestacyjnym...

– To były tylko pozory – Fran z przebiegłą miną przyłożyła palec do ust nakazując tajemnicę – taka gra... Poczekaj, a jeszcze zobaczysz. Mam swoją tajemniczą broń... – i potrząsnęła głową, aż baloniki jej kolczyków podskoczyły gwałtownie na ramionach.

Barton pojechał więc na Bezludną Wyspę sam, o ile nie liczyć towarzyszącej mu imitacji Kay. Z tego dystansu wiekopomne wydarzenia, które według Fran zachodziły właśnie na Ziemi, straciły bardzo na znaczeniu. Prawdę mówiąc, z doniesień agencyjnych trudno było wnosić, że istotnie coś się dzieje. Czasem ktoś wypowiedział się za lub przeciw unii Central Centralu i Univers Centralu. Czasem doniesiono o włamaniu do magazynu lub zdemolowaniu hali automatów dokonanych pod hasłem: „precz z Centralem!" lub „niech żyje Central!". Zdaniem Bartona incydenty te nie świadczyły o narastaniu poważniejszego kryzysu.

– Za mojej młodości – powiedział do bezmyślnie uśmiechającej się Kay – też zdarzały się takie ekscesy, tylko nikomu nie przychodziło do głowy dorabianie do tego polityki.

– Ale to było tak dawno... – odparła standardowo Kay.

Pod koniec pobytu na Ziemi dotarła do Bartona szokująca wiadomość o zaręczynach de Solta i Fran Ewans. Przez godzinę głowił się, jak mogło do tego dojść. Po godzinie w jego pokoju zjawiło się dwóch funkcjonarkuszy PP z rozkazem tymczasowego zatrzymania i przewiezienia do Miasta. Oszołomionego Bartona zamknięto na dwa tygodnie w pokoju hotelowym i odmawiano wszelkich wyjaśnień. Potem równie niespodziewanie przeproszono go za bezprawne pozbawienie wolności i odstawiono na lotnisko, jako że nadszedł właśnie termin odlotu. Dopiero po opuszczeniu Ziemi Barton dowiedział się, że de Solto postawiony został w stan oskarżenia za próbę opanowania systemów zarządzania Central Centralu i Univers Centralu oraz przejęcia władzy w Mieście. O współudział w planowanym zamachu oskarżone były także między innymi Ewa Ewans i jego córka Fran.

– Podobno matka naganiała córkę do łóżka różnym szychom centralowskim, a ta nagrywała z nimi kompromitujące rozmówki ukrytym w uchu kamerem. W ten sposób de Solto miał w garści wszystkie ważniejsze persony i mógł dyktować warunki – oświecił Bartona pilot wahacza wiozący go na orbitę Plutona – co prawda nie wydaje się to zbyt prawdopodobne...

– Oczywiście, kolczyki! – wykrzyknął Barton.

Pilot nie zrozumiał.

☞

Gry

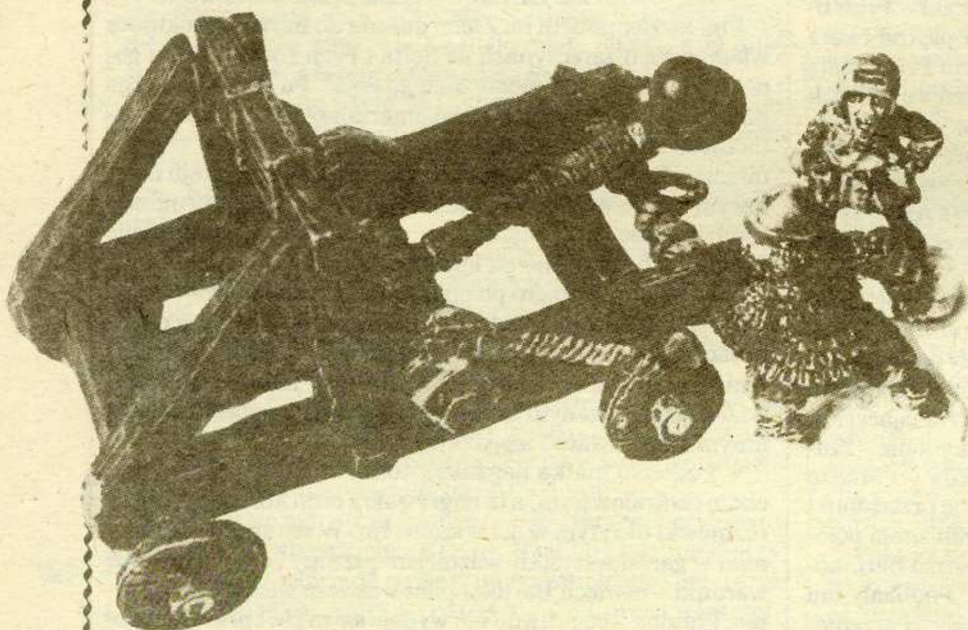
Bohaterowie gier fantasy

Pierwsze figurki przedstawiające bohaterów fantasy firma „Grenadier UK" wprowadziła do sprzedaży w roku 1987. Reakcje rynku przekonały firmę, że warto w ich produkcję inwestować. Na szczęście producent ustrzegł się błędu, którym byłoby obranie drogi z pozoru łatwiejszej i zamiast szybkiego powielania wzorów już zaakceptowanych, mnożenia stereotypowych, pośpiesznie opracowywanych zestawów, postawiono na projekty oryginalne, za każdym razem odmienne od oferowanych poprzednio. Wzbudziło to z początku zastrzeżenie dystrybutorów, nowe zestawy jednak szybko rozwiały ich obawy. Figurki „Grenadiera UK" szybko zdobyły sobie miano najciekawszego, jak dotąd, osiągnięcia w tzw. amerykańskim stylu projektowania. Wymogiem tego stylu jest zachowanie realizmu anatomicznego postaci. Nawet przedstawiając najdziwniejsze twory ludzkiej wyobraźni, zachowują projektanci proporcje, do których przywykło nasze oko i bardzo starannie wypracowują szczegóły. Wystarczy przyjrzeć się twarzom, by przekonać się jak dokładnie są one odtwarzane.

Jednym z współtwórców sukcesu „Grenadiera UK" jest Julie Gurthie, uważana za najlepszą projektantkę tej firmy. Z zawodu jest ona plastykiem, autorką wielu rzeźb i projektów biżuterii, z zamiłowania – bywalczynią fantastycznego świata gier „role-playing". Spora część przedstawianych przez nas dziś figurek jest właśnie jej dziełem. W tej chwili Julie pracuje podobno nad zestawem 25-milimetrowych postaci wzorcowanych na bohaterach słynnego filmu „Gwiezdne wojny". I, oczywiście – nad nowym zestawem bohaterów gier fantasy.

(mz)











sprawie do Sofia. Barton z trudem zdołał ustalić, że niedoszły władca Miasta zakończył życie jako szeregowy pracownik Unicentralu (doszło jednak do zjednoczenia) na odludnej Antarktydzie. W wygnaniu towarzyszyła mu Ewa Ewans. Fran spędziła z nimi tylko pierwszy rok, po czym związała się z pewnym glacjologiem i udała się za nim do Arktyki, gdzie spotkała fascynującego meteorologa. Po meteorologu był malarz werysta, następnie kontroler szybów naftowych na Pacyfiku i przywódca sekty mniemistycznej.

Po zerwaniu z mniemistami Fran ustatkowała się: wyszła za mąż z niejakiego Nerrisa z GALAX-u i urodziła dziecko. Lecz gdy w trzy lata później Nerrisa oddelegowano do sąsiedniego Ramienia Galaktyki, Fran pozostała na Ziemi i stała się zagorzałą miłośniczką sportu, a zwłaszcza cetnobolu. Uczucie to było tak silne, że gdy porzucił ją ostatni cetnobolista z dziesięcioosobowej drużyny „Hydrobild-Sachara", Fran popełniła samobójstwo... Tyle przynajmniej można było wywnioskować z danych dostarczonych Bartonowi przez KOGA-inform. Fran pozostawiła córeczkę Ginę oraz list pożegnalny, w którym prosiła pradziadka o opiekę nad sierotą.

Gina miała siedem lat i w niczym nie przypominała matki. Była tłustą, ryżą blondyneczką. Umieszczono ją w jednym z DSD (Domów Szczęśliwego Dzieciństwa), gdzie Barton odwiedzał ją regularnie raz w miesiącu i zabierał do Miasta. Kwestia ilości kupowanych lodów i słodyczy należała do nielicznych spraw, w których udawało mu się osiągnąć porozumienie z dzieckiem. Poza tymi wyjątkami miał wrażenie, że oboje mówią całkiem odmiennymi językami. Uczucie to pogłębiło się jeszcze bardziej, gdy w dwadzieścia lat później odwiedził dwudziestosiedmioletnią Ginę w jej pokoju na szesnastym piętrze hotelowca wzniesionego na szczycie Góry nad Miastem.

Budynek posiadał jedynie grawitacyjną windę bez platformy i Barton nie odważył się z niej skorzystać. Do grawitacyjnych wind platformowych, a nawet krzesełkowych zdołał przywyknąć, ale wejście do pionowego szybu bez żadnego zabezpieczenia pod stopami, ba, nawet bez poręczy czy jakiegokolwiek uchwytu pozwalającego utrzymywać pozycję pionową przekraczało jego możliwości. Dotarł na szesnaste piętro po schodach awaryjnych – zdyszany, spocony i całkiem zdeprymowany.

Widok pijanej Giny w towarzystwie dwóch równie nietrzeźwych samców nie podziałał kojąco. Złośliwe komentarze, jakich od tej trójki doczekał się jego staromodny mundur KOGA, wyprowadziły go ostatecznie z równowagi. Zwłaszcza że żadna krytyka nie imała się ich strojów, ponieważ w ogóle byli ich pozbawieni. Gina nie chciała przyznać się do urodzonego ponad dwustu laty pradziadka. Barton nie widział potrzeby przyznawania się do Giny. Pokonanie szesnastu pięter schodami w dół nie stanowiło już problemu (winda nawet w tym stanie ducha nie wchodziła w rachubę). W najbliższej agendzie KOGA Barton zastrzegł dalsze udzielanie informacji o swojej osobie komukolwiek z rodziny i upewnił się jeszcze, że Gina nie ma ani męża, ani dziecka.

Czuł się innym człowiekiem, gdy w dwa dni później udawał się na swoją ulubioną Bezludną Wyspę, która wciąż nosiła to miano, choć nie było już na niej nawet skrawka niezabudowanej przestrzeni.

Po roku opuścił Ziemię, nie poświęciwszy Ginie choćby jednej myśli.

11. A w dziewiętnaście lat później poznał Hildę. Było to na lotnisku. Wychodził z kabiny centralkomu, gdzie przez centralinform usiłował znaleźć ślad córki Fran i dowiedział się właśnie, że Gina Nerris od dziewiętnastu lat nie żyje. Spadła z tarasu widokowego hotelowca, w którym mieszkała, w niecały rok po ich ostatnim, niefortunnym spotkaniu. Była kompletnie pijana. Barton doznał kolosalnej ulgi. Ze śmiercią Giny kończyły się wszystkie jego ziemskie kłopoty. Poczuł się nareszcie naprawdę wolny.

Pod drzwiami kabiny stała młodziutka dziewczyna o fiołkowych włosach.

woń uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Jestem Hilda Sachs, skąd my się znamy? – spytała prowokacyjnie.

– Znikąd. Kiedy byłem tu ostatni raz, ciebie nie było na świecie.

Dziewczyna wspięła się na palce i dotknęła naszywki na jego ramieniu.

– KOGA – odcyfrowała – co to takiego?

– Coś jakby GALAX, tylko trochę starszy.

Hilda zrobiła stropioną minkę. Widać było, że się nad czymś głęboko zastanawia. Domyślał się nad czym.

– Ten młodzieniec nie przekroczył jeszcze setki – powiedział wskazując na siedzącego nieopodal siwego staruszka.

– Poczekaj na mnie – zawołała i zniknęła we wnętrzu kabiny.

Rozmawiała chwilę z podobną do siebie dziewczyną, po czym wychyliwszy się, poprosiła go o żeton na drugie połączenie. Podał jej jeden, ale zdecydował, że jeśli zażąda następnego, pójdzie sobie. Trzeciej rozmowy nie było. Hidla wyszła z kabiny i ująwszy go pod łokieć, pociągnęła w stronę hotelu.

W pokoju panował czerwony półmrok. Bywał w takich pokojach nieraz i stwierdził, że niewiele zmieniło się tu przez ostatnich dwieście lat. Hilda zniknęła w łazience, a on powoli zdjął uniform i złożył go starannie, zabiezpieczając kieszeń z żetonami i bonami. Dziewczęta z hotelu na ogół nie kradły, lecz ta była młoda i niedoświadczona; mieliby potem oboje niepotrzebne kłopoty. Nie chciał tego, nie tyle ze względu na siebie, ile na nią. Podobała mu się. Mimo że zamienili ze sobą ledwie parę słów, zdawało mu się, że zna ją od dawna. To dlatego, pomyślał, że poznałem tyle hotelowych dziewczyn, czuję się z nimi jak w rodzinie...

Dopiero później, gdy nalewając sonil do czarek zastanawiał się, czy zaprosić Hildę na Bezludną Wyspę, dostrzegł w wiszącym nad żółtym portreciku coś znajomego. Rozjaśnił światło i z ramek uśmiechnęła się do niego Alice.

– Co to jest? – zapytał gwałtownie.

– Moja prababka. Przynajmniej tak mi powiedziano w depozycie DSD, gdy się od nich wynosiłam... Nie mówiłam ci, że jestem sierotą od urodzenia?

– N-nie – wystękał.

– Moja matka wypadła przez balustradę dachu, gdy miałam trzy miesiące. Nie uważasz, że to romantyczne? Został mi po niej tylko ten obrazek na pamiątkę – Hilda roześmiała się, jakby wszystko co dotychczas powiedziała, było tylko żartem. – Możesz sobie go wziąć, jeśli tak ci się podoba. Na pamiątkę naszego spotkania... Mnie też zostanie pamiątka po tobie, dodała, uśmiechając się filuternie. – Nie zabezpieczyłam się i teraz będę miała malutką córeczkę.

Barton poczuł, że podłoga ustępuje mu spod nóg, że cały hotel dygoce, jakby miotało nim trzęsienie ziemi.

– Dlaczego? Po co ci? – wydusił z siebie.

– Po co? – Hilda zaśmiała się gorzko. – Na jakim świecie ty żyjesz? Jeżeli będę miała dziecko, przydzielą mi mieszkanie, a przede wszystkim będę mogła zarabiać na własny rachunek. Nie wyobrażasz sobie, jak nędzne grosze nam tu płacą. Ledwie parę bonów miesięcznie i jeden żeton telkomu na dzień. Jeżeli nie zaprosisz mnie na kolację, dostanę tu do pokoju wstrętną bryję za ćwierć bona.

Patrzył na nią i widział teraz, jak staje się podobna kolejno do Barby, Christy, Doll, Ewy, Fran i Giny... To Fran miała takie podłużne, roześmiane oczy. To Doll, mówiąc przyciskała palcem podbródek. To Christa zwykła kalkulować, obliczać możliwe zyski.

– Jak urodzę dziecko, dostanę tysiąc bonów na rękę, a dziecko będzie miało rentę z twojego KOGA. KOGA daje teraz lepsze renty niż GALAX. Jak chcesz, możesz sobie zastrzec, żeby dziecko nie nosiło twojego nazwiska. Mój ojciec tego nie zrobił i potem podobno okropnie się pieklił. Czemu tak na mnie patrzysz? Czy nie uważasz, że...

Barton przestał słuchać. Przyszły mu na myśl przeczytane kiedyś słowa: „A przekleństwo będzie ścigać ciebie i twoje potomstwo, aż do siódmego pokolenia".

Prezes Zeus i Danajczak

Romuald Lenech

Roman Hennel

Gromowładny Zeus ze zniecierpliwieniem pozwolił dokończyć przybocznemu sekretarzowi odczytywanie programu narad i kolegiów olimpijskich z udziałem bogów na najbliższy tydzień.

– Dość, u licha, Ganimedesie! Łeb mi puchnie od obowiązków jak opona mego helikoptera! Odkąd zbliża się wiek dwudziesty pierwszy, nie mam chwili spokoju jako przewodniczący niebiańskiego zespołu. Czuję, jak narastają we mnie stresy. Bogowie zaglądają na narady jak z łaski, a cała odpowiedzialność spada na prezesa Zeusa. Merkury lata na sputniku z jednych międzynarodowych targów na drugie. Wulkan wpadł w szał motoryzacyjny i bezustannie grzebie w podwoziu rakiety. Lekkomyślna Wenus wysiaduje po olimpijskich kafejkach, albo uwodzi pilotów ziemskich rakiet, zaglądając im przez wzierniki do kabin. Rządzić się nie chce, jak babcię kocham!

– Niech się prezes uspokoi – zwrócił się Ganimedes do Zeusa. – Ostatecznie nie jest tak źle. Nie zapominajmy, że schyłek dwudziestego wieku przyniósł falę seksu i że dotąd wszyscy bogowie na Olimpie chodzą wreszcie bez skrępowania nago – jak ich Kronos stworzył.

Prezes Zeus na dźwięk miłego sformułowania naukowego rozjaśnił zatroskane oblicze.

– Czy nie miałbyś, Ganimedesie, dla mnie w programie czegoś rozrywkowego?

– Właśnie chciałem przypomnieć, prezesie, że zgodnie z mitologią powinien pan dzisiaj złożyć wizytę na Ziemi niejakiej Danajczak, zwanej urzędowo Danae, i pod postacią złotego deszczu spowodować uzyskanie przez nią urlopu macierzyńskiego.

– Byłbym na śmierć zapomniał! – ucieczył się Zeus.

– Danajczak przysłała kartkę, że reflektuje i że będzie oczekiwać o szóstej po południu w orbisowskim hotelu. Prosi, aby nie zapomnieć o obfitym złotym deszczu z uwagi na znaczne ostatnio podniesienie się wartości tego kruszcu.

Prezes Zeus dosłuchał reszty informacji, ładując już swoje boskie nogi do prezesowskiego helikoptera „Amor".

– Niech się nie obawia – mruknął – spadnę na nią jak piorun laserowy i jak góra złota jednocześnie.

Helikopter popruł strzałą w kierunku Ziemi, biorąc za cel lądowisko na tarasie hotelu.

– Czarno i duszno – zauważył Ganimedes zaniepokojony. – Olbrzymie masy atramentowych chmur walą prosto na nas. Żaden komunikat nie wspominał o niżu. Nic nie rozumiem, najjaśniejszy prezesie.

– Bo nie jesteś wszechwiedzący – zawyrokował Zeus. – Za chwilę zacznie się strefa lasu. Lasu dymiących cygar. Niech pilot ostrożnie manewruje maszyną, abyśmy nie zawadzili. Odkąd zakazałem palenia papierosów na konferencjach olimpijskich, Wulkan przeniósł swój przeklęty nałóg na Ziemię i kazał, poustawiać rzędem dymiące cygara. Nazwał je kominami i twierdzi, że człowiek żyć bez nich nie może, ehm, ehhhm. – Boski Zeus zakrztusił się niebezpiecznie siarkowodorem.

Ganimedes nakazał całej załodze założyć na twarze maski przeciwgazowe, po czym rzucił się do pomocy zdezorientowanemu pilotowi. Okazało się, że trzeba lądować przymusowo gdziekolwiek, byle bezpiecznie. Maszyna zatoczyła łuk nad rozległym polem i wylądowała obok rzeki. Rzeka prezentowała się czarno i toczyła fale przybrane w girlandy tłuszczu i mętnych kożuchów. Prezes stowarzyszenia bogów zerwał z oblicza maskę przeciwgazową i spróbował zaczerpnąć świeżego powietrza. Jego boskie oblicze nabrzmiało krwią, sygnalizując oznaki duszenia się.

– Śmierdzi jak w stajni Augiasza – jęknął, wciągając szybko maskę. Jak śmieliście przywieźć mnie nad Styks, bałwany! – gromił podwładnych. – Jesteście zapewne w zmowie z tym chłystkiem Wulkanem! Chcecie mnie nikczemnie zawlec do otchłani Hadesu i zażądać od mojej żony Hery okupu!

Sekretarz Ganimedes z trudem uspokoił obawy Zeusa, tłumacząc, iż obecnie na Ziemi przekwalifikowano masowo rzeki na koryta ściekowe o fascynującej barwie atramentu zmieszanego ze smołą.

– Gdybyśmy na Olimpie posiadali takie rzeki – dowodził mądrze – można by było zrezygnować z tradycyjnych mąk Tantala i Syzyfa i kazać grzesznikom zażywać kąpieli w nurtach. Byłoby to unowocześnienie zagospodarowania terenów olimpijskich.

– Nie ględź, Ganimedesie, tylko daj coś przekąsić, bo czuję, że zanim trafię do mojej Danajczak w „Orbisie", padnę tutaj z głodu. Przecież potrafisz z byle czego przyrządzić ambrozję i nektar.

I w tym miejscu boski dar wszechwiedzy zawiódł przyćmiony umysł Zeusa. Gromada z Olimpu rzuciła się na oślep w poszukiwaniu jadła w szczere pola, byle dalej od rzeki. Nie znając okolicy, oparła się aż o łączkę ścielącą się w pobliżu uczęszczanej szosy. Tam Ganimedes, słabo zorientowany w botanice, znalazł na nieszczęście roślinę zwaną „szalejem spalinowym" od zdolności wchłaniania przez jej liście woni przejeżdżających samochodów. Nieopatrznie sporządził z niej nektar z ambrozją i podał zgłodniałym...

Odtąd okoliczni ludzie widują od czasu do czasu trójkę dziwacznych postaci ogarniętych szałem, które błądząc po lesie, wybuchają homeryckim śmiechem lub na odmianę rozpaczają wniebogłosy. Jedna z nich plecie od rzeczy o jakiejś Danajczak, która gdzieś tam czeka daremnie i leje złote łzy.

Ktokolwiek by spotkał nieszczęsną gromadkę, proszony jest o odprowadzenie na najbliższy posterunek Milicji Obywatelskiej.

Może wówczas wyjaśni się, dlaczego do tej pory, mimo ważnych obowiązków na Olimpie, nie wraca do stałego miejsca zamieszkania jego naczelna osobistość.

Ilustrowana historia SF

SF nigdy nie była i nadal nie jest terminem jednoznacznym. Pojęcie to powstało w 1929 r. w USA dla oznaczenia produktów literackich określanych wcześniej dosyć rozmaicie: *voyages extraordinaires, scientific romances*, czy też *technische Utopie*. Jego twórca, Hugo Gernsback, miał wprawdzie w miarę jednolitą koncepcję tegoż pojęcia, kiedy w editorialu pierwszego numeru „Amazing Stories" pisał: *By „science fiction" I mean the Jules Verne, H.G. Wells and Edgar Allan Poe type of story – a charming romance intermingled with scientific fact and prophetic vision*, jednakże utwory publikowane później na łamach tego magazynu, daleko odbiegały od cytowanych przez Gernsbacka wzorców, a odpowiadały raczej komercyjnym, chwytliwym rynkowo, kategoriom *fantasy* czy *weird stories*. Dlatego też SF pozostawała często komercyjną kategorią.

Akademickie literaturoznawstwo stosunkowo późno – w USA bezpośrednio po II wojnie światowej, w Europie dopiero w latach pięćdziesiątych – zdjęło anatemę z tego pisarstwa i przyjęło do wiadomości fakt jego istnienia. Po dziś dzień kwestia zintegrowania badań nad literaturą SF z tymi, których przedmiotem jest tradycyjna literatura realistyczna przedstawia się ambiwalentnie. Nic może lepiej nie uzmysławia tego stanu rzeczy, jak właśnie okoliczność, że sygnalizowana tu książka jest pierwszą niemieckojęzyczną próbą opracowania tego gatunku w ujęciu historycznoliterackim, mającą w szerszej, międzynarodowej perspektywie odniesień tylko jeden przypadek precedensowy, a to pracę Jacquesa Sadoul: „Histoire de la science fiction moderne (1911-1975)", Paris 1975. Sam zaś Dieter Wuckel, kierownik katedry Historii Literatury Niemieckiej przy WSP w Lipsku, przyznaje w przedsłowiu, że podczas pisania książki zdarzyło mu się spotkać ze zdumieniem wyrażanym także ze strony osób, które same w swoich przyzwyczajeniach lekturowych nie preferowały literatury wysokiej. Twierdzono bowiem, że *science fiction nie może uchodzić za literaturę i jest tylko przygodową lekturą dorastającej młodzieży* (s.7). Tak więc ambiwalencja cechuje w tym przedmiocie nie tylko akademicką „górę", ale i czytelnicze „doły". Rzadka i zadziwiająca to zgodność gustów i opinii w tych dwu, jakże różnych środowiskach. Wszelako odrębna to już materia, wróćmy zatem do naszej książki.

W rozdziale wstępnym „Science fiction albo fantastyka naukowa – co to właściwie takiego?" autor określa swoje stanowisko badawcze, przyjętą metodę pracy i postawione cele. Wychodząc od wielkości definicyjnych propozycji badawczych, jakże często sprzecznych (z jednej strony usiłuje się wyodrębnić *differentia specifica* tegoż gatunku, by z drugiej twierdzić nihilistycznie, iż *SF jest tym wszystkim, co wydawnictwa pod tą nazwą rzucają na rynek*, M. Pehlke, N. Lingfeld, (s. 11), Wuckel wskazuje na przyczynę konsternacji badaczy upatrując ją w historycznym charakterze fenomenu SF formowanego przez konkretne warunki socjokulturowe. Z uwagi na historyczny wymiar zjawiska rezygnuje z podania własnej definicji SF, pisze nawet, że *podanie powszechnie obowiązującej definicji dla wszystkich tych utworów jest niemożliwe* (s.12). Odrzucając optykę normatywną, Wuckel przyjmuje metodę historyczno-typologicznego opisu SF. Dodatkowym założeniem autora jest wymóg kategorialne *jednoznacznej przynależności utworów do fantastyki* (s. 12). W *synomicznym używaniu pojęć „science fiction" i „fantastyka naukowa"* (s. 12) znajduje on dla tegoż wymogu uzasadnienie.

Stanowisko metodologiczne autora pozostaje pod wpływem polskich i radzieckich tradycji klasyfikacyjnych, sytuujących SF i fantastykę bardzo blisko siebie. Komplikuje to jednak sytuację, bowiem wspomniany zabieg klasyfikacyjny tylko zahacza o SF. Fantastyka jest tutaj terminem dla określenia „wschodniej" alternatywy „zachodniej" SF, a mianowicie fantastyki naukowej: *wissen schaftliche Fantastik*, WF. Pozostaje niejasne, czy WF i SF są koniec końców tym samym, w jakim stosunku pozostają do siebie „fantastyka" i „fantastyka naukowa". Zachodnioniemiecki badacz H. Lück traktuje w swojej pracy. „Fantastik, Science Fiction, Utopie: Das Realismusproblem der utopisch – fantastischen Literatur" (Giessen 1977) fantastykę marginesowo i w zgodzie z niemiecką tradycją badawczą podnosi utopię literacką do rangi kategorii centralnej, co pozwala mu ostro rozgraniczyć WF od SF. St. Lem skłonny jest natomiast w „Fantastyce i futurologii" (1970), jak to czyni za nim Wuckel, uważać je za synonimy. Eric S. Rabkin w wydanej na rok przed pracą Lücka monografii „The Fantastic in Literature" zbliża się do stanowiska Lema podporządkowywując SF fantastyce, skoro definiuje on *fantasy* jako *total opposite to reality*, zaś od świata przedstawionego SF wymaga jedynie, ażeby był *at least somewhat removed from our own* (Princeton, N.J. 1976).

Dieter Wuckel nie wnosi w tę dezorientację pojęciowo-klasyfikacyjną własnych idei porządkujących, więcej nawet: sam przyczynia się do jej zaciemnienia. Gdy bowiem pisze: *Za generalną regułę uchodzić może, że to, co odróżnia SF od pozostałych gatunków fantastycznych, to przydawane jej predykaty „naukowa" lub „science"* (s.13), wyraża się niejasno. Co znaczą te *pozostałe gatunki fantastyczne?* Powyższe stwierdzenie będzie słuszne jedynie wtedy, gdy pod *pozostałe gatunki fantastyczne* podstawimy wyłącznie fantastykę. Otrzymamy wtedy podstawowe rozróżnienie pomiędzy fantastyką a SF: ta pierwsza rodzi bowiem w czytelniku ową todorovską aurę „niezdecydowania" wobec pytania, *czy ewokowane wydarzenia wymagają naturalnego czy też nadnaturalnego wyjaśnienia* (Introduction à la littérature fantastique, Paris 1970), ta druga zaś stwarza *an atmosphere of scientific credibility* (Sam Moskovitz, Explorers of the Infinite: Shapers of Science Fiction, Cleveland 1963). A przy tym wszystkim sama „naukowa" fundacja ewokowanego świata nie wystarcza, aby opowiadanie fantastyczne przekształcić, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w SF.

. Tak wiele miejsca poświęcono tutaj kwestiom czysto warsztatowym, ale nie stało się to bez powodu; rzutują one bowiem bezpośrednio na treść książki. Oto bowiem niczemu innemu, jak pasywności autora wobec wspomnianego pojęciowo-klasyfikacyjnego universum, nadmiernej elastyczności kategorii, które sam stosuje, przypisać należy fakt, że w książce poświęconej literaturze SF omawia traktat Edwarda Bellamy'ego „Looking Backward: 2000-1888", utwór spod znaku literackiej utopii. A że są to dwa różne gatunki literackie, można się przekonać porównując książkę Bellamy'ego z powstałym mniej więcej w tym samym czasie klasycznym utworem SF „Wojna światów" H. G. Wellsa. Pierwszoplanowo u Bellamy'ego wyakcentowany społeczny dydaktyzm obcy jest książce Wellsa; więcej nawet: kiedy Wells każe spotkać swojemu protagoniście owładniętego manią wielkości żołnierza snującego projekty przyszłościowego, lepszego, elitarno-autokratycznego porządku społecznego, parodiuje tę właściwą utopii literackiej tradycję.

Wuckel jednak ignoruje tę oczywistą różnicę w sposób świadomy, skoro narodziny SF umieszcza w epoce Renesansu i swoją odnośną narrację historyczno-literacką rozpoczyna od „Utopii" Morusa, by pod koniec książki pisać o „Walden Two" B.F. Skinnera (swoją drogą to dziwne, że pomija w takim razie „Island" Huxleya, pisze zaś dużo o jego „Brave Nev World" antyutopii przecież, gatunku formalnie pokrewnym literackiej utopii, ale nie będącym nią, a już na pewno nie będącym SF). W niwelowaniu przez autora różnic pomiędzy SF a literacką utopią tkwi zasadniczy mankament jego książki. Wuckel kierował się najwidoczniej przedstawionymi założeniami natury formalno-treściowej, oraz nie wyartykułowanymi przez niego *expressis verbis* – przesłankami natury ideologicznej. „Podłączenie" przez niego charakterystycznego dla utopii literackiej schematu systematycznej konkretyzacji społeczno-politycznych ideałów ludzkości w projekcji alternatywnych ustrojów państwowych i społecznych pod literaturę SF pozwoliło mu z jednej strony dobitnie wyakcentować, choć słuszniej byłoby rzec: przeakcentować afirmatywny charakter SF, z drugiej zaś dokonać na jej rzecz wątpliwej wartości aneksji utworów eksploatujących, bo nie twórczo przekształcających, ów schemat.

Podczas lektury książki trudno oprzeć się wrażeniu, że więcej mówi ona o miejscu i czasie, w którym została napisana, o ideologiczno-światopoglądowym stanowisku autora, aniżeli o samym jej przedmiocie, tj. o literaturze SF, co do kanonu której panuje przecież swego rodzaju *consensus omnium* między zainteresowanymi stronami, tzn. badaczami i czytelnikami. Szkoda. No, ale cóż: *ce la żizń*, jak powiadają Francuzi.

Przy tym wszystkim rynkowy sukces zapewni książce jej bardzo dobra szata graficzna: duża, wygodna przy czytaniu czcionka, kilkaset zdjęć (fotogramów autorów, okładek książek, plakatów, kadrów filmowych), interesująca oprawa. Multum informacji jakie niesie: ok. 500 nazwisk pisarzy, ok. 130 tytułów podstawowej literatury prymarnej i sekundarnej cytowanej przez Dietera Wuckela, tyleż tytułów literatury uzupełniającej z tego zakresu – można było i należało wszakże zorganizować i lepiej, i nieco inaczej aniżeli uczynił to autor.

Marek Zybura

Dieter Wuckel: *Science Fiction. Eine Illustrierte Literaturgeschichte*. Edition Leipzig 1986

Życie zmusiło mnie do częstego przebywania w towarzystwie ludzi, którzy fantastyki nie cierpią i gardzą nią całą duszą. Nierzadko zakrawa to wręcz na obsesję, jako że spora część z nich nie bardzo się orientuje, czym właściwie gardzi. Niechęć skupia się przeważnie na znaku firmowym „SF", kojarzonym mgliście z UFO, Marsjanami, robotami i z uwłaczającym wszelkim regułom sposobom pisania.

Pozwoliłem sobie na przeprowadzenie dyskretnych badań wśród tych antyfanów SF i mam wrażenie, że aby wyjaśnić ich pogardę dla fantastyki nie trzeba wcale sięgać po urazy z okresu płodowego ani kompleksu Edypa. Niemal u każdego z moich rozmówców pojawił się wątek młodzieńczego rozczarowania, spowodowanego nieopatrznym przeczytaniem jakiejś ponurej grafomanii, obrażającej iloraz inteligencji i dobry smak czytelnika. Tego typu dziełka, reklamowane przez niekompetentnych, delikatnie mówiąc, wydawców, jako SF można bez trudu nabyć w każdym antykwariacie, a od czasu do czasu i w księgarni.

Rzecz jest symptomatyczna. W naszej paranoicznej sytuacji nie sposób wejść do księgarni i kupić dobrą książkę fantastyczną, chociaż coś z fantastyki zawsze na ladzie leży. Najlepsze dokonania w gatunku znikają jednak z tej lady (a częściej spod niej) w ciągu kilku godzin, rozchwytywane przez zapaleńców, którym chce się pilnie śledzić zapowiedzi i przynosić paniom sprzedawczyniom bombonierki. Zdobytych z trudem książek strzegą potem zazdrośnie w swoich biblioteczkach. Dla przeciętnego czytelnika, który chciałby zapoznać się z nieznaną mu dotąd konwencją literacką, pozostaje muł, przeciętność i grafomania. Tego nam wydawcy nie skąpią.

Klinicznym tego przykładem jest wyrób literaturopodobny autorstwa pana Edwarda Wiekiery pod tytułem „Marsjanie są wśród nas". Jego wydanie, w dodatku w nakładzie 40 000 egzemplarzy, jest absolutnym skandalem, porównywalnym jedynie z najgorszymi tworami KAW-owskiej serii „z dżdżownicą". Odpowiedzialność za ten skandal spada na Wydawnictwo Dolnośląskie we Wrocławiu. Nigdy w życiu nie słyszałem o tej firmie i mam nadzieję, że nie usłyszę więcej.

Wyrób pana Wiekiery to naiwnie sklecona bzdurka – trochę z Dänikenowskich komiksów, trochę z Mostowicza plus kilka własnych pomysłów autora, zdolnych zwalić z nóg najbardziej tępego łopaciarza. W skrócie: gromada profesorów płynie sobie statkiem od kontynentu do kontynentu w bliżej niesprecyzowanych celach naukowych. (Autor w ogóle nie schodzi poniżej profesora, u niego nawet ubikacje myją docenci z prawdziwymi habilitacjami). Przez cały rozdział profesorowie wygłaszają swoje przemówienia – średnio trzy strony na profesora – w których okazuje się, że nie skończyli nawet porządnego liceum. Potem znikają i do końca powieści nie ma o nich mowy. Na placu pozostaje jeden supermądry i superszlachetny profesor, który do końca książki opowiada drugiemu o tym, jak to w zamierzchłych czasach snuli się po Ziemi Marsjanie i bardzo chcieli nas czegoś nauczyć, budując piramidy, kromlechy i robiąc dziury w płaskowyżu Nasca (nowa metoda pedagogiczna?). W końcu jednak zniechęcili się i po części odfrunęli szukać sobie w kosmosie pojętniejszych uczniów, a po części schowali się przed ludźmi pod dnem oceanu. Na nasze nieszczęście zostawili po sobie tajną organizację „cztery czwórki", do której należy nasz wykładowca. Nie bardzo wiadomo, czym się ona zajmuje. Z nazwy wnoszę, że grą w brydża. Składa się z szesnastu profesorów (po czterech na każdym kontynencie – obawiam się, że pan Wiekiera ma niekompletny atlas świata), wykorzystujących do swoich zadań jakiś pomarsjański superkomputer, niemal dorównujący (jak się okazuje po włączeniu) swymi możliwościami naszemu „Meritum". Podczas krótkiej przerwy w wykładach naszego gaduły bohaterowie odnajdują pod dnem ślady Atlantydy, ale stwierdzają, że za głęboko i płyną radośnie dalej. Są jeszcze jacyś „goryle", którzy podobno śledzą zacnych profesorów, ale potem autor o nich zapomina. Jest też drugi profesor (wymiennie nazywany „młodym naukowcem"), Polak z pochodzenia, który przez dwieście stron słucha tych bredni wykrzykując co chwila: „Wspaniałe! Fascynujące!", a na końcu czuje się dumny ze swego nadwiślańskiego pochodzenia. Nie jestem nacjonalistą, ale poczułem się dotknięty. Aha, jest jeszcze głębokie przesłanie: trzeba czynić dobro, cokolwiek by to miało oznaczać. W pewnym momencie naszemu profesorowi kończy się wreszcie inwencja, a wraz z nią rejs i powieść.

Wszystko to napisane jest najbardziej prymitywnym językiem, jaki można sobie wyobrazić, mającym niewiele wspólnego z polszczyzną. Po kilka razy na stronie profesorowie „ubierają ciepłe swetry" albo „posiadają odpowiedzialność za losy świata". Kształcono mnie na polonistę i wiem, że uczniowi, który tak pisze, nie wolno dać promocji do klasy szóstej.

Grafomani są wśród nas

Wyliczanie wszystkich błędów, bzdur i niezręczności zawartych w tej kuriozalnej powieści mogłoby zająć kilkadziesiąt stron i mijałoby się z celem. „Każdemu wolno kochać" – oznajmił mi jeden z młodych obiecujących, kiedy wytykałem mu błędy stylistyczne. Każdemu wolno pisać, jeśli nie może sobie znaleźć pożyteczniejszego zajęcia. Natomiast nie każdego wolno drukować, w dodatku w dużym nakładzie, adresując jego grafomańskie wypociny głównie do podatnej na demoralizację młodzieży i opatrując je rekomendacją „barwna powieść przygodowo-fantastyczna".

Nie tak dawno moi redakcyjni koledzy sierdzili się na sterty konkursowej grafomanii, i na błagalne listy „ja wiem, rozumiem, nie umiem... no, ale może" (patrz „Fantastyka" nr 10/87). Koledzy – to do autorów, nad którymi się wtedy pastwiliśmy – nie ma się czego wstydzić! 90% pokonkursowego złomu było od twórczości pana Wiekiery o niebo lepsze (pozostałe 10% to utwory w miarę dobre). I co? Czy wydawnictwo próbuje się usprawiedliwić, czy mu wstyd? A skądże znowu! Mata tu, jelenie, „barwną powieść fantastyczną", płaćcie. „Wydawcy" z Wrocławia wiedzą doskonale, że na wygłodzonym polskim rynku wszelki rozbój uchodzi bezkarnie, że kasa i tak jakoś się napełni i nikt im złego słowa nie powie. Mają nawet aż tyle tupetu, żeby swój wyrób ucharakteryzować na kolejną książkę ze znanej już fanom serii Wydawnictwa Literackiego, podszywając się bezczelnie pod cudzy znak firmowy. W cywilizowanych krajach za takie rzeczy idzie się pod sąd. Ano, zobaczymy, może i u nas istnieją jakieś prawa autorskie?

A pan Wiekiera, jak słyszałem, atakuje już następne wydawnictwa nowymi „dziełami". Ręce opadają. Czy zdarzy mu się po raz kolejny zostać ciepło przyjętym przez cynicznych wydrwigroszów, nie wiem, ale kilkuletnie doświadczenie pilnego czytelnika krajowej produkcji SF pozwala mi żywić obawy, że niestety tak.

Fan, jeśli dał się nabrać, rzuci tym bublem do kosza albo wyniesie go do antykwariatu. Nastolatek, któremu nieświadomi rzeczy rodzice kupią go pod choinkę, może mieć zahamowania w rozwoju osobowości i najprawdopodobniej do końca życia będzie pluł na fantastykę, i to z daleka. Nam, w redakcji, pozostaje tylko gryźć ręce w bezsilnej wściekłości. I w poczuciu absolutnej bezkarności wobec cynicznego rozboju, uprawianego bezkarnie na rynku przez ludzi podszywających się pod miano edytorów.

Rafał A. Ziemkiewicz

Edward Wiekiera: *Marsjanie są wśród nas*. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1987. Cena 260 zł.

W przyszłości nie będzie przyszłości

Weź tysiąc sześćset ton żelaza i ściśnij je do rozmiaru jednej stumiliardowej części centymetra, a wtedy żaden atom ni foton stamtąd nie ucieknie, ty zaś staniesz się posiadaczem mikroskopijnej czarnej dziury, która wnet odwzajemni ci się połknięciem ciebie, sprzętów z twojego mieszkania, domu, wrednego szefa, lądów i oceanów, Ziemi całej wreszcie. Kiedy już jako tako zaspokoi swój nienasycony apetyt, na deser zeżre resztki atmosfery wraz ze sztucznymi satelitami i zacznie się czaić na Księżyc.

Aby przyrządzić takie danie trzeba jednakże wyłożyć sto milionów razy więcej siły niż dałoby się uzyskać z tegoż żelaza przy całkowitej jego przemianie na energię i z tego choćby prozaicznego powodu ulepienie go jest przedsięwzięciem nieopłacalnym, nawet w przypadku gdyby zwierzchnik był typem wyjątkowo paskudnym i zasługującym na przeniesienie w inne miejsce.

Mimo takich trudności inwestycyjnych czarne dziury istnieją i mają się dobrze, a powstają w wyniku wyjątkowo rozrzutnej gospodarki energetycznej gwiazd, z których każda zużywa miliony ton swojej masy w sekundzie. Potem taki wypalony słoneczny wrak zapada się, dając początek kolapsowi grawitacyjnemu.

W naszej Galaktyce każdego roku przybywa co najmniej siedmiu kandydatów na kolapsary, a najbliższy z dotychczas odkrytych, to odległa o około sześć tysięcy lat świetlnych gwiazda Cygnus X-1.

John Taylor – od którego zresztą zapożyczyłem tytuł tej recenzji – autor fascynującej książki „Czarne dziury: koniec Wszechświata?" (fragment drukowaliśmy w „Fantastyce" nr 8/83) podaje, że aż 98% materii znajduje się w stanie kolapsu grawitacyjnego, a więc poza możliwością obserwacji! Jeśli ktoś będzie chciał dokładniej poznać, skąd zatem wiadomo o tych fenomenach, powinien sięgnąć po opracowanie Taylora. Można tam zaspokoić swoją ciekawość zjawisk fizycznych odbywających się wewnątrz czarnych dziur „gdzie zatrzymuje się czas i tworzy się nieśmiertelność" i gdzie zaburzenia przestrzeni powodują powstanie korytarza łączącego się z drugim Wszechświatem (po raz pierwszy przewidział istnienie tego korytarza Schwarzschild w 1917 roku jako szczególne rozwiązanie równań ogólnej teorii względności Einsteina).

Żadne ciało w Metagalaktyce nie może uniknąć przeznaczonego mu losu: zapadnięcia się w potworne trzewia czarnej dziury, gdzie zmielone na hiperciężką mąkę stanie się – być może – zalążkiem nowego życia. Taka sama przyszłość czeka naszą Galaktykę, gdyż w jej jądrze drzemie kolapsar sto milionów razy cięższy od Słońca, ale nie ma na razie powodu wpadać w panikę i odwoływać wizytę u dentysty, gdyż pozostało nam jeszcze do tego momentu kilkadziesiąt miliardów lat. W tym czasie zdołamy się gruntownie zestarzeć, pomijając już fakt, że nasze Słońce dawno wygaśnie, a w Mlecznej Drodze powstaną układy planetarne z cywilizacjami, o których obecnie nie ćwierkają jeszcze najstarsze pulsary.

Zbiór tajemnic Wszechświata potocznie nazywa się Bogiem – powiada Autor, a my, ludzie, staramy się uszczknąć co nieco z tego mrowia kosmicznych sekretów i jesteśmy bardzo dumni kiedy – przy pomocy matematyki – zajrzymy poza nieprzenikniony horyzont zdarzeń czarnej dziury skąd nie ma powrotu.

A mimo to wścibscy uczeni już kombinują jakby tu ścisnąć materię do gęstości białego karła, by pudełko zapałek wypełnione zagęszczoną wodą ważyło dwadzieścia ton. Oj, niebezpieczne to zabawy, panowie, bo a nuż uda się wam znaleźć tani sposób upichcenia malutkiej czarnej dziurki na naszej i tak już umęczonej do granic wytrzymałości planecie...

Ryszard Głowacki

John Taylor: *Czarne dziury: koniec Wszechświata?* Tłum. M. Kalinowski i J. Piesiak. Wydanie II. PIW, Warszawa 1987. Cena 480 zł.

Prostak Zbigniew
Autor SF
(ur. 1930)

Urodził się 21 listopada 1930 r. w Przemyślu. Marynarz we flocie rybackiej i na liniach oceanicznych. Z zawodu – technik drogowo-mostowy, pracował również jako lakiernik samochodowy.

Debiutował w 1976 r. na łamach „Młodego Technika" opowiadaniem „Ręka" (przedruk w antologii „Wołanie na Mlecznej Drodze", Nasza Księgarnia, Warszawa 1976), które otrzymało II nagrodę na Międzynarodowym Konkursie w Sofii. Opublikował około 30 opowiadań na łamach „Nowego Wyrazu", „Przeglądu Technicznego", „Politechnika", „Profili", „Merkuriusza", i „Fantastyki". Swoje teksty zamieszczał w antologiach „Kroki w nieznane" (t. 6, Iskry, Warszawa 1976), „Gość z głębin" (Czytelnik, Warszawa 1979), „Wehikuł wyobraźni", (Wiedza Powszechna, Poznań 1978), „Spotkanie w przestworzach" (KAW, Warszawa 1982). W 1979 r. ukazał się jego zbiór opowiadań „Kontakt" (KAW, Warszawa) nawiązujący do klasycznych motywów SF (zawartość: Ręka, Chronoeksperyment, Mag, Fałszywy sputnik, Boja, Pijany glob, Nieznane, Ostatnia pieśń, On, Spotkanie z prorokiem, Spotkanie, Kontakt, Żądło), a w 1984 r. dwie powieści: „Planeta zielonych widm" (KAW, Warszawa) opisująca spotkanie z inną cywilizacją oraz „Spłacony dług" (KAW, Warszawa) relacjonujący historię pułkownika, który próbował zawładnąć Ziemią, wykorzystując instrumentalny dorobek Kosmitów.

Powieści Zbigniewa Prostaka dotyczą klasycznych tematów SF, operują sprawdzonymi chwytami formalnymi polskiej fantastyki lat sześćdziesiątych. Tylko niektóre opowiadania z tomu „Kontakt" ukazują reakcję człowieka wobec niewytłumaczalnych zjawisk przyrody i pozostawiają możliwość otwartych interpretacji.

Zbigniew Prostak

Kontakt

Nie mam już sił. Jestem w mocy obłędu. Chociaż nie! Nie mam racji. To jeszcze nie obłęd. Ale niewiele mi brakuje. Stojąc tuż na krawędzi widzę całą głębię, otchłań nieszczęścia, a jednocześnie całym swoim jestestwem czuję twardość opoki, na której trwam. Tam, w głębi czai się zło. Zło zrodzone w męce. Otchłań. Balansuję na krawędzi dobra i zła. Oczyma wyobraźni dostrzegam ostre skały i mrok zalegający szczeliny. Kto potrafi odróżnić przepaść duszy i rozum od majaków lub rzeczywistych, geologicznych formacji? Czy potrafimy my, od urodzenia naznaczeni stygmatem śmierci, pojąć wieczność? Przecież wiecznością jest wszechświat, ciągłość bytu, wieczny ruch. Gdzie znajdą wspólny mianownik te, jakże pozorne sprzeczności. Co preferować? Dusze? Tkanki mózgowe? Mięśnie? Gdzie szukać prawdy? W czym? W magii religijnych obrzędów czy w bolesnym realiźmie rzeczywistości? W narodzinach czy w śmierci? Gdzie i w czym kryje się nasza niemoc, moja niemoc? Jestem – więc żyję, a może żyję – więc jestem?

Kwadratura koła? Skąd u mnie te pseudofilozoficzne rozważania. Nie wiem. A może jednak wiem? Tak! Wiem z całą pewnością. W moim umyśle nawarstwia się dziwaczny twór. Podwójna świadomość. W tej wierzchniej, codziennej warstwie pokutuje pewność własnej nicości. Kilka czy kilkanaście lat spędzonych w szkole, okruchy wiadomości, wiedza w większości na nic nie przydatna. Zespół odruchów. Za to z drugiej, nie tej mojej, jakaż głębia.

Ingerencja obcej, wyższej siły, czy schizofrenia? Rozdwojenie jaźni czy kontakt z inną cywilizacją? Dlaczego wszyscy są absolutnie pewni, że kontakt z Nimi można nawiązać jedynie na drodze fizycznych zetknięć? Czy dlatego, że sami będąc na etapie zwierzęcych doznań walki o byt w najokrutniejszym tego słowa znaczeniu, nie jesteśmy w stanie pojąć myśli jednocześnie chlubiąc się nią. Czy dopiero nasze statki kosmiczne, już w chwili startu wyobcowane z dnia dzisiejszego, będą w stanie dać nam odpowiedź na zasadnicze pytanie? Co to jest życie? Mknące przez bezkres galaktycznej pustki martwe okruchy ludzkiej myśli i geniuszu niczego nie dowiodą poza słabością i bezsiłą swoich twórców.

Ewolucja nie jest martwą siłą. Jej szczytową formą jest bez wątpienia myśl. Potężna i samoistna! Nie skuta w materialne okowy, lecz wolna. Promieniująca potęgą pól grawitacyjnych, przebiegająca krzywiznami przestrzeni w wirach galaktycznych dysków. Dziwny to rodzaj świadomości. Zanika świat barw i dźwięków. Nie ma już szarzyzny dnia dzisiejszego. Drobne i bez znaczenia są sprawy ludzkie w skali Kosmosu, więc dlaczego? Skąd ta chęć nawiązania kontaktu z kimś tak mało się liczącym jak ludzkość?

Tak! Wiem! Wiem i zrobię to! Powtórzę ludziom. Ale to boli! Przez całe stulecia uważaliśmy się za istoty wybrane. Za władców wszystkiego co żyje. Nie wiedzieliśmy nic, bo wiedzieć nie mogliśmy, że istniejecie Wy.

Ucisk w skroniach i jednocześnie wrażenie dziwnej lekkości. Jestem olbrzymem. Ogarniam sobą przestrzeń. Jestem przestrzenią. Widzę rodzące się gwiazdy i ciemne umarłe bryły. Jakże słabe i nieistotne wydają się gigantyczne protuberancje słońc w porównaniu z myślą. Są już i barwy. Wydumane, stworzone wyobraźnią. Jestem stwórcą. Stworzyłem barwy. Słyszę dźwięki. Tysiące, miliony głosów. A przestrzeń jest ciszą. Wyniosłe tony kosmicznych symfonii to ja!

Szaleństwo czy geniusz? Ułuda czy kontakt? Pode mną rozkołysana płaszczyzna pełna tęczowych skrzeń, feeria świateł… jakieś zwiewne kształty, obłe wzgórza blasku… blanki nie istniejących wieżyc i dzwony. Cichutkie, urokliwe banieczki z porcelany, radosne dźwięki sygnaturki, jęk spiżu. Pełna harmonia barw, dźwięku, czasu, trwania. Ruch… przemijanie… nicość. Wieki jak sekundy. Je-

ilustacja Krzysztof Niesielny

stem coraz niżej, wiem coraz więcej. Roje gwiazd wokół mnie. Jeszcze nie czas. Jeszcze myśl spętana prymitywnym systemem przekazów impulsów.

Wysokie wzgórza o łagodnych, tarasowatych stokach. Liliowe półcienie między strzelistymi budowlami... Finezyjne łuki arkad... Kaskady migotliwego srebra... Myśl zaklęta w kamień... Piękno. Ciemny fiolet nieba inkrustowany białymi kłaczkami chmur. Jestem tu. Widzę! Czuję! Tłumy motylich istot... pląs, dźwięki... I myśl! Wszechpotężna. Wszechobecna... Niezniszczalna.

I znów uczucie pędu. Nie chcę! Zostawcie mnie! Chcę pląsać wraz z nimi. Chcę brodzić w srebrzystych strumieniach, umykać w mrok liliowych wnętrz przed palącymi promieniami niebieskiego słońca. Pęd! Coraz prędzej. Czerń międzyplanetarnych przestrzeni. Mróz kosmicznej pustki. Przestrzeń i czas... Czas i przestrzeń.

Ponuro wyje wicher w załomach muru. Wściekle łomoczą fale o kamienne molo. Ołowiane niebo nisko zwiesza się nad blankami fortec. Ciężko. Coś złowrogiego czai się w krajobrazie... krąży po równinie. Po co? Po co ja tu jestem? Ja to znam! Przeżyłem to tysiącem istnień przodków. Nawarstwiałem w pamięci milionem grobów... oceanem cierpienia. Obudzić się! Obudzić!

Powoli wirują kręgi galaktyk. Zakrzywione strefami zgęszczeń trwają spiralne ramiona. Krocie gwiazd, miliardy istnień. Oto ona! Dumna, rozdęta blaskiem, sięgająca w mrok mackami wybuchów, strojna w plamy, niespokojna wrzeniem. Wokół, jak ćmy zwabione zwodniczym światłem ulicznej latarni, krąży rój planet. Martwe, kosmiczne grudki obrosłe pleśnią tropikalnych dżungli, to znów skute pancerzem lodowatych zacieków. Pławiące się w oceanach metanowych atmosfer lub w cętkach meteorytowej ospy. Wyspy piękna i brzydoty.

Poprzerzynana jarami, ciemnozielona płaszczyzna. Klocki domostw, kominy. Wszędzie kominy. Ponure, plujące dymem w błękitne niebo. Zwycięskie w walce ze Słońcem, niepokonane. Drżą okoliczne wzgórza od tętnienia maszyn. Szare liście drzew, szare życie... zginęły mi barwy, pozostał tylko dźwięk. Głęboki, smutny jęk pękającej sprężyny. Rytmiczny łoskot walących w bruk podkutych butów, krótki, urywany werbel egzekucyjnych plutonów. Łopot flag. Czerwień i czerń. Czerń i czerwień. Coraz ciężej przebijać się przez mroczny gąszcz zestalonej pustki. Płuca łakną oddechu, serce światła. Nadzieja uleciała parabolicznym szlakiem komet, by nigdy już nie powrócić ku nam. Teraz już wiem, że świat, który znam, to tylko jeden ze światów. Jedna z miliarda możliwości wydumanych przez wszechcierpliwą naturę. To coś, co trwać może wieki lub zczeznąć w jednym błysku nuklearnego wybuchu, pląsać beztrosko w ożywczych strugach słonecznego wichru lub odejść w niebyt w szaleństwie Nowej. Tylko myśl jest niezniszczalna... Nie mam już sił... nie mam już sił.

Zbigniew Prostak, „Kontakt", (w:) Z. Prostak, ,,Kontakt", KAW, Warszawa 1979, ss. 158-161

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

1981 (ciąg dalszy)

1607. SAINT-EXUPÉRY Antoine de: *Mały Książe.* Tłum. [z franc.] Jan Szwykowski. [Wyd. XI]. Warszawa. Inst. Wyd. Pax 8° ss. 81, nlb. 3. 30 000 egz. – AF/CJF.
1608. SCHNABEL Ernst: *Ja i królowie. Pomysły, zdarzenia, konkluzje z życia inżyniera D.* Tłum. [z niem.] Stefan Lichański. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 285, nlb. 3. 30 000 egz. – Współczesna Proza Światowa.
1609. SROKOWSKI Stanisław: *Walka kogutów.* Katowice. Wyd. „Śląsk". 16° ss. 125, nlb. 3. 7 000 egz. – 7 opow. w tym pierwsze 3 fantast.
1610. SUPERVILLE Jules: *Człowiek z pampy.* Tłum. [z franc.] i posłowie Joanna Petry-Mroczkowska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 102, nlb. 2. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1611. TOLKIEN J[ohn] R[oland] R[euel]: *WŁADCA PIERŚCIENI.* T. I–III. Tłum. [z ang.] Maria Skibniewska. Wiersze tłum. Włodzimierz Lewik. Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 8° T.I.: *Wyprawa* ss. 548, nlb. 3, mapa, T. II: *Dwie wieże.* ss. 452, nlb. 3; T. III: *Powrót Króla.*ss. 527, nlb. 1, mapa. 40 000 egz.
1612. TRUCHANOWSKI Kazimierz: *Zatrute studnie.* Wyd. II Warszawa. Czytelnik. 32° ss. 739, nlb. 5. 20 000 egz. – Seria Głowy Wawelskie.

Horror (W):

1613. BIERCE Ambrose: *Czy to się mogło zdarzyć?*Tłum. [z ang.] Krystyna Korwin–Mikke. Posłowie Jan Prokop. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 119, nlb. 4. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1614. ENCHOO Sanyuutei: *Dziwna historia o upiorach z latarnią w kształcie piwonii.* Tłum. [z jap.], koment. i posłowie Zdzisław Rosołowski. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 200, nlb. nlb. 3. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1615. FULGA Laurentiu: *Dziwna panna Ruth. Podwójna zbrodnia siostry Diany.* Tłum. [z rum.] Zbigniew Szuperski. Posłowie Ireneusz Kania. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 117, nlb. 3. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1616. GRABIŃSKI Stefan: *Niesamowite opowieści.* Wyd. II skr. Z. I–II. Warszawa. Iskry. 8° Z. I ss. 48, nlb. 4; Z. II ss. 50, nlb. 2. 100 000 egz.
1617. *OPOWIEŚCI z dreszczykiem.* Tłum. z ang. Wyd. II [właśc. I w tym wyborze.] Zesz I-III. Warszawa. Iskry. 8° Z. I ss. 30, nlb. 2; Z. II ss. 29, nlb. 3; Z. III ss. 30, nlb. 2. 100 000 egz. – Każdy zeszyt na k. tyt. ma wykaz opowiadań, wchodzących w jego skład, z nazwiskiem autorów i tłumaczy.
QUIROGA J.: *Biała...*– zob. AF.
1618. ULMAN Anatol: *Obcesyjne opowiadania bez motywacji.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 239, nlb. 3. 20 000 egz.

Krytyka, biografie, film (R):

1619. BERGANDER Hanna: *Literatura fantastyczno-naukowa i fantastyczna polska i obca – poradnik bibliograficzny.* Wrocław. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Tadeusza Mikulskiego we Wrocławiu. —° ss nlb.2.43.nlb.l. 320 egz.
✻1620. CHODŹKO Ryszard: *Pejzaże świadomości. Powieściopisarstwo Kazimierza Truchanowskiego.* Białystok. 1980 [antydat.: 1981]. Sekcja Wydawnicza Filii Uniwersytetu Warszawskiego. 8° ss.208,nlb. 2. 280 egz. – Rozprawy Uniwerstytetu Warszawskiego.
1621. KARAŚ Justyna:*Proza Michała Bułhakowa – z zagadnień poetyki.* Wrocław. Ossolineum. 8° ss.101,nlb.1. 1000 egz. – Polska Akademia Nauk. Komitet Słowianoznawstwa.
1622. SKWARA Janusz: *Kino szoku przyszłości.* Warszawa. Młodz. Ag. Wyd. 16° ss.212,nlb. 4. 15 000 egz.
✻1623. WAWRZYNIAK Danuta: *Literatura fantastyczno-naukowa (1954-1979), bibliografia.* Kalisz. Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. A.Asnyka w Kaliszu. 8° ss.47. 400 egz. – Brak roku wyd.

„Zagadki nauki" (MS):

ALFA... – zob. ASF.
✻1624. *ASTROBIOMETRIA.* Praca zbiorowa. Cz.I: *Teorii astrologii.* Poznań 1980 [antydat.:1981]. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss.78,bibliogr. 2 000 egz. – Informacja: radiestezja, geotronika, biotronika, psychotronika. Pomocnicze Materiały Szkoleniowe, z.3.
1625. BALANDIN Rudolf: *Rytm ziemskich żywiołów.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss.222,nlb. 2. 15 000 egz. – Omega.
1626. von DITFURTH Hoimar: *Duch nie spadł z nieba.* Tłum.[z niem.] Anna Danuta Tauszyńska. Przedm. Maciej Iłowiecki. [Wyd. II]. Warszawa. Państwo. Inst. Wyd. 16° ss.430,nlb.3,tabl.18,wykr. 50 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.
1627. von DITFURTH Hoimar: *Dzieci wszechświata.* Tłum. [z niem] Anna Danuta Tauszyńska. Przedm. Maciej Iłowiecki. Wyd. III. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss.373, nlb. 3, tab.10. 50 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.
1628. von DITFURTH Hoimar: *Na początku był wodór.* Tłum. [z niem.] Anna Danuta Tauszyńska. Przedm. Maciej Iłowiecki. Wyd.II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss.444,nlb.4,tab.8. 60 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.
1629. ILCZUK Zdzisław: *Na tropach życia pozaziemskiego.* Warszawa. Iskry. 16° ss.197,nlb.3,tabl.8. 20 000 egz. – Raporty z granic poznania.
JURKIEWICZ J.: *Zarys...* – zob. 1982. [antydat.]
1630. KLONOWSKI Włodzimierz, KLONOWSKA Maria Teresa: *Tajemnice biofizyki.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss.275,nlb.3. 20 000 egz. – Niektóre rozdziały dotyczą biofizycznych „zagadek nauki".
1631. MARKS Andrzej: *W objęciach kosmosu.* Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 16° ss.284,nlb.4., bibliogr. 20 000 egz.
MASAFRET H.:*Ku zdrowej...* – zob. 1982. [antydat.].
1632. NIEKRASZ Lech: *Trójkąt Bermudzki.* Wyd. II popr. i uzup. Warszawa. Młodz. Ag. Wyd. 8° ss.193,nlb.3. 50 000 egz.
1633. PACZYŃSKI Bohdan, MUCHOTRZEB Bożena: *Granice Wszechświata.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss.103,nlb.l. 20 000 egz.
1634. TORREY E[rving] Fuller: *Czarownicy i psychiatrzy.* Tłum. [z ang.] Hanna Bartoszewicz. Wstęp Ignacy Wald. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss.286,nlb.2. 30 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.
1635. WOŁCZEK Olgierd: *Kosmiczne szlaki życia.* Warszawa. Iskry. 16° ss.207,nlb.3. 20 000 egz. – Raporty z granic poznania.
1636. ZAJDLER Ludwik – *Atlantyda.* Wyd. IV uzup. Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° ss. 328,nlb.1,tabl.8,mapy, wykr. 30 000 egz.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**



Fot. Wojciech Skarżyński

Podświadomość jako encyklopedia

z Maciejem Kuczyńskim rozmawia Paweł Ziemkiewicz

Paweł Ziemkiewicz:– *Jest Pan znany czytelnikom z wielu książek podróżniczych i przygodowych. Miłośnicy fantastyki mieli okazję poznać także pańską twórczość science fiction. Jednak w ostatnich dwóch numerach „Fantastyki" opublikowany został artykuł, który traktuje o zupełnie nowej problematyce – powiązał Pan biologię z etnologią. Skąd u Pana tak nowe zainteresowania?*

Maciej Kuczyński: – Z wielu wypraw do Ameryki Środkowej i Południowej. Minęło już dziesięć lat, odkąd po raz pierwszy zauważyłem, że symbole występujące na ceramice, malowidłach naskalnych i w kodeksach indiańskich mogą być wyobrażeniami struktur biologicznych. Moje obserwacje ciągle się powtarzały i rozszerzały, dostarczając materiału do książki pt. „Czciciele węża", na której opiera się artykuł w „Fantastyce".

– *Pański artykuł został bardzo bogato zilustrowany. Przypuszczam, że w książce jest jeszcze więcej materiałów ilustracyjnych, a wiemy, że na naszym rynku jest bardzo trudno o tego typu materiały. Skąd Pan zdobył tak bogaty zestaw ikonograficzny?*

– Jest w tym pewien rodzaj magii otaczającej każdą manię kolekcjonerską. Dopóki nie zaczniemy zbierać na przykład podstawek pod piwo, nie zauważamy ich różnorodności i w jak wielu miejscach możemy je spotkać. Tak samo było w moim przypadku. W pewnym momencie ilustracje zaczęły same do mnie spływać – od znajomych, z albumów i oczywiście kupowane za granicą.

Zresztą w tym przypadku dawny materiał ilustracyjny jest podstawowym dowodem, skoro nie mamy dowodów bezpośrednich. Wprawdzie w mojej pracy opierałem się głównie na kulturze Mezoameryki, ale ta sama symbolika występuje praktycznie we wszystkich kulturach świata, pierwsze wyobrażenia Upierzonego Węża pochodzą już z paleolitu Europy...

– *Wiele bardzo logicznych teorii upadło w momencie zmian poglądów w nauce. Czy nie obawia się Pan próby czasu? Że w momencie zmiany współczesnych poglądów biologii na życie, cała hipoteza może lec w gruzach?*

– Nie, raczej nie obawiam się tego. Na pewno jeszcze nie jeden raz zmienią się poglądy na funkcjonowanie komórki, jak i jej podstawowych struktur organizacyjnych. Ale raczej na pewno nikt nie będzie kwestionował znaczenia podziałów komórkowych dla odnawiania i rozwoju życia, a co za tym idzie, replikacji DNA dla podziałów komórkowych i kształtowania się potomnych komórek; nikt też już nie będzie podważał istoty dziedziczenia.

Wydaje mi się, co warto podkreślić, że w żadnym razie nie podważam i nie kwestionuję wyników badań archeologicznych. Moja koncepcja nie jest sprzeczna z nauką – dodaje do niej tylko kolejną, nową warstwę znaczeniową; archeolog może w nią od razu nie uwierzyć, ale być może dopatrzy się w niej nowego znaczenia, które wzbogaci archeologiczną wymowę znalezisk.

– *W swojej hipotezie mówi Pan, że starożytne ludy posiadały wiedzę, jaką nasza kultura zdobyła w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Do poznania podstawowych struktur biologicznych niezbędne są aparaty takie jak chociażby mikroskop elektronowy, nie mówiąc już o zastosowaniu izotopów czy bardzo wyrafinowanych technik komputerowych. Jak Pan myśli, skąd starożytni mogli posiąść taką znajomość Natury?*

SF na świecie

Co ciekawego w „Quarber Merkur"

Pod takim tytułem rozpoczynamy krótkie przeglądy czasopisma cieszącego się w Europie Zachodniej, a zwłaszcza na jej obszarze niemieckojęzycznym, dużym wzięciem, mimo że robione jest środkami bardzo prostymi, wręcz prymitywnymi. Poszczególne numery odbija się na cyklostylu z maszynopisu i rozprowadza do odbiorców. Honorariów się nie płaci. A mimo to „Quarber Merkur", redagowany zgrabnie i rzeczowo przez doktora Franza Rottensteinera (nasz korespondent na Zachodzie) liczy się w swych opiniach, krytykach i ocenach na rynku fantastyki europejskiej. Prozy ani wierszy nie publikuje w ogóle. Wychodzi kilka numerów w ciągu roku, zależnie od popytu i napływu materiałów. W zeszłym roku ukazały się na przykład dwa numery, więc o nich króciutko i kolejno opowiemy. Szczególnie ciekawe materiały będziemy przedrukowywać w całości lub we fragmentach. W dziale recenzji nasz Czytelnik może zapoznać się z pozycjami, które chwyciły na Zachodzie i zostały przetłumaczone na obce języki, albo też z opiniami o niektórych rzeczach ukazujących się dotychczas jedynie w języku autorów.

Na zasadzie wzajemności redaktor czasopisma zobowiązał się do zamieszczania lub odnotowywania w „Quarber Merkur" najciekawszych pozycji naszego miesięcznika.

AH

PS. Pozycje w „QM" najciekawsze drukujemy grubszą czcionką.

Numer 67

Franz Rottensteiner – *Wstęp.* Informacja o podwyższeniu ceny „QM" z 4 DM na 5 DM oraz inne sprawy związane z kolportowaniem czasopisma.

Alois Eder – *Narodziny fantastyki z ducha krytyki.* Rozważania na temat wpływu Kubina na twórczość Kafki. Autor przytacza przykłady elementów surrealistycznej logiki marzeń u Kafki, inspirowanych kontaktami z Kubinem. Liczne fragmenty korespondencji. Wiele szczegółów mogących zainteresować wyłącznie koneserów, całość napisana językiem dosyć hermetycznym.

Ludwig Dickmann – *Henry James jako autor opowieści o upiorach i dreszczowców. (Na przykładzie opowiadań „The Beast in the Jungle", „The Jolly Corner" i „The Turn of the Screw").* Rozgraniczenie pomiędzy opowieściami o upiorach i dreszczowcami. Autor omawia stosunek H. Jamesa do wspomnianej literatury: pisał książki z tej dziedziny, co wiąże się z jego przeżyciami z dzieciństwa. Dickmann określa Jamesa jako ucznia Hawthorne'a. Następnie omawia konstrukcję książek H. Jamesa, cechy pisarstwa wspólne z E. A. Poem. Omówienie wybranych utworów Jamesa.

Kenneth W. Faig, Jr. – *Pisma biograficzne na temat H.P. Lovecrafta.* Faig omawia poszczególne próby napisania biografii Lovecrafta, np. Townleya Scotta (1910-1968), Augusta Derletha (publikującego na temat Lovecrafta od 1939 do 1971), Franka Belknapa Longa (1975). Dużą zasługę w przybliżeniu czytelnikom postaci Lovecrafta ma wyd. „Arkham House", ale również „Doubleday" (1975 – biografia napisana przez Sprague de Campa).

Stanisław Bereś – *Apokryfy Stanisława Lema.* **Zdaniem autora jedną z najwyraźniejszych obsesji Lema jest świat falsyfikatów. Opisywane sytuacje i zjawiska wyposaża nie tylko w elementy prawdopodobieństwa, ale również w ramach jednej fikcji tworzy drugą, a potem następne, na zasadzie kolejnych szufladek. Ta skłonność Lema widoczna jest już w jego pierwszych utworach. Do świata falsyfikatów należą również zawarte w utworach Lema apokryfy, np. sprawozdania z podróży. Bereś zastanawia się, jak dalece Lem był prekursorem tego typu literatury. Podział jego apokryfów na trzy grupy. (Artykuł jest tłumaczeniem z „Odry" nr 6 (1986, s. 37-48).**

Sakyo Komatsu – *Japońska science fiction.* **Dzieje powojennej japońskiej SF: komiksy (Tezuka Osamu i Yokoi Fukujiro), czasopisma, magazyny. Omówienie działalności poszczególnych wydawców i twórców, z podziałem na**

– Musimy pamiętać, że nieraz już okazało się, iż głęboka wiedza starożytnych ludów była zdobywana w sposób intuicyjny, bez skomplikowanych aparatów i współczesnej metodologii. Były i ciągle się pojawiają głosy, że jest to wiedza pochodzenia pozaziemskiego – na przykład kosmici jako nauczyciele. Dla mnie są to teorie nie oparte na żadnych udowodnionych faktach; badałem u źródła, w różnych stronach świata, tzw. dowody pobytu kosmitów na Ziemi i sądzę, że wszystkie te tropy można wytłumaczyć opierając się na zdobyczach ziemskiej kultury. Nawet ikonograficzne przedstawienia „Marsjan", statków kosmicznych itp. można wytłumaczyć na gruncie przedstawień struktur biologicznych.

Początkowo sam uważałem, że dawni kapłani nie mogli wiedzieć o podstawowych strukturach biologicznych takich jak DNA, chromosomy czy komórki. Miałem wątpliwości dopóki nie zetknąłem się z grupą Indian Meksykańskich Huichol'i. Jest to grupa, która raz w roku urządza żniwa kaktusów zawierających peyotl, środek halucynogenny. Zażywają go przez cały rok, przez co żyją jak gdyby w innym świecie i wymiarze. Twierdzą, że są w stałym kontakcie ze swoimi bogami, którzy im ukazują wiele rzeczy. A my do tej pory nie wiemy, czym jest podświadomość. Być może w trakcie takich seansów narkotycznych różne informacje zapisane w podświadomości mogą być przenoszone do świadomości i wizualizowane przez zmysły. Indianie ci na twarzach mieli wymalowane schematy komórek, ich podziałów oraz podwójnej spirali – zaczerpnęli je ze swego wnętrza podczas seansów narkotycznych.

Takie transy znane są i u innych ludów; większość z nich traktuje informacje zdobyte tą drogą jako objawione – nie muszą ich w pełni rozumieć.

Należy podkreślić, że nie możemy tu mówić o głębokiej wiedzy biologicznej z pełnym zrozumieniem mechanizmów działania żywych komórek. Są to raczej wyrywkowe ujęcia filmowe: podwójna spirala DNA, replikacja DNA, podział komórki – same fundamentalne etapy, pełniące kluczową rolę w funkcjonowaniu istot żywych, ale bez pełnego zrozumienia ich działania.

Mamy współczesny przykład świadczący o możliwości poznania pozanaukowego. Na Międzynarodowym Sympozjum Psychotronicznym w Warszawie w 1987 r. gościła Bułgarka, która drogą koncentracji na danym przedmiocie, poczyna go widzieć w mikrowymiarze. Potrafi opisać siatkę krystaliczną, a nawet pojedyncze atomy – może narysować ich układ przestrzenny. Nie ma żadnego wykształcenia w tym kierunku, ale naukowcy zgadzają się z jej rysunkami i opisami.

– Mówiliśmy do tej pory o poznaniu samej struktury biologicznej, a czy mógłby Pan powiedzieć coś jeszcze o poglądach starożytnych na naturę życia?

– W artykule ograniczyłem się tylko do najściślejszych, jak gdyby wypreparowanych podobieństw biologicznych, jest to oczywiście tylko część dawnej wiedzy na ten temat. W kulturach Mezoameryki wszystkie struktury biologiczne (ludzi, zwierząt i roślin) są animowane przez „niewidzialnego sobowtóra" nazywanego w Meksyku „nahual", a rysowanego w postaci „czarnego duszka", którego ma w sobie każda żywa istota. Nie należy go mylić z chrześcijańskim pojęciem duszy, lepiej pasuje tutaj pojęcie ciała astralnego. Istnienie takiego „astralu" jest już udowodnione – chociażby zdolność do przeniesienia świadomości poza ciało; można opuścić własne ciało i oglądać je z zewnątrz, można też poruszać się niezależnie od ciała, które pozostaje nieruchome. Mogą w tym pomóc szamani i czarownicy, ale pojawiły się już elektroniczne aparaty pomagające w osiągnięciu tego stanu.

Dodajmy, że dawne kultury odrzucały istnienie przypadku w przyrodzie, według nich wszystko co się wydarzyło było objęte jakimś planem, którego nie jesteśmy w stanie ogarnąć naszym rozumem. W kulturach tych istnieje „praprzyczyna", która kieruje wydarzeniami, a realizuje je między innymi poprzez „niewidzialne sobowtóry". Ja osobiście też nie wierzę w czysty przypadek w przyrodzie.

– A czy starożytni starali się wytłumaczyć skąd się wzięło życie na Ziemi?

– Tak. Uważali, że życie nie powstało na Ziemi, tylko na nią przywędrowało. Ikonograficzne przedstawienia statków kosmicznych można przyjąć raczej za symbol przybycia życia na Ziemię z Kosmosu, niż jako dowód pobytu innych cywilizacji. Oczywiście nie możemy wykluczyć, że Ziemię kiedyś odwiedzili Obcy, ale przypisywanie tym przybyszom ziemskich zdobyczy cywilizacyjnych uważam za przesadę. Zresztą tematem powstania życia na Ziemi zajmuję się w następnej książce zatytułowanej „Życie spadło z nieba"; na jej ukazanie się trzeba będzie jeszcze trochę poczekać.

– Bardzo dziękuję za rozmowę. ■

SF na świecie

okresy: lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte i siedemdziesiąte.
Recenzje: Rolf Krohn – *Begegnung im Nebel* (Das Neue Berlin 1986), Marianne Gruber – *Zwischenstation* (Wiedeń 1986), Reinmar Cunis – *Wenn der Krebsbaum blüht* (Heyne Vlg 1987), Orson Scott Card – *Ender's Game* (Tor N. York 1986), Norbert Stöbe – *Spielzeit* (Heyne Vlg 1986), Peter Cersowsky – *Literatura fantastyczna w pierwszym ćwierćwieczu XX w* (Wilhelm Fink Vlg 1983), Bernhard Grimminger – *Der Zeitmann* (Heyne Vlg 1987), Istvan Nemere – *A Triton-gyilkossagok* (Budapeszt 1977), Uwe Anton i Thomas Ziegler – *Erdstadt* (Heyne Vlg 1985), Bruce Sterling – *Schismatrix* (Penguin 1986), Clive Barker – *Books of Blood* (Sphere Books 1984), Friedrich Scholz – *Nach dem Ende* (Heyne Vlg 1986), Arthur Dobb – *Heller Wahnsinn* (Burg Vlg 1987), Brian Aldiss i Sam Lundvall – *The World Penguin Omnibus of SF* (Penguin 1986), Vladimir Paral – *Der Krieg mit dem Multitier* (Vlg Volk u. Welt), Greg Bear – *Eon* (Tor Books 1986), Uschi Zietsch – *Sternwolke und Eiszauber* (Heyne Vlg 1986).

Numer 68
Kazuko Yamada – *1986-SF dziś (Ballard, Lem i naukowe myślenie).* **1. Aktualna sytuacja SF. Obecność we wszystkich środkach przekazu i dziedzinach kultury. Rozwój sytuacji na świecie. Dwa wielkie nazwiska w SF: Ballard i Lem! 2. Dlaczego science fiction? – Autorka opierając się na twierdzeniu Lema, że większa część SF nie ma wiele wspólnego z opowieściami o podłożu naukowym, analizuje pojęcia takie, jak nauka, technologia. 3. i 4. W dalszym ciągu autorka przeciwstawia amerykańską SF Lemowi, po czym omawia elementy epistemologii w twórczości Lema, jak również sylwetkę Lema jako filozofa. Jej zdaniem teksty filozoficzne Lema zasługują na większą uwagę.**
Sabine Sassmann – *Rozwój i poszukiwanie tożsamości Tytusa w trylogii Mervyna Peake'a „Gormenghast"*. Biografia Peake'a, geneza powstania trylogii, szczegółowa recenzja trylogii. Całość jest częścią pracy magisterskiej.
Stanisław Lem – *O AIDS, literaturze, krytykach i innych sprawach.* **Rozważania na temat możliwości istnienia innych cywilizacji, problemu pasożytów, wirusów, AIDS. Lem przytacza różne ciekawostki na temat wymierania w przeszłości całych gatunków zwierząt; na przykładzie wybranych książek omawia swój stosunek do życia i literatury, do różnych przejawów zjawisk kulturalnych i obyczajowych, do pornografii i okrucieństwa we współczesnej literaturze.**
F. Rottensteiner – *Wywiad z Jonathanem Carrollem.* Autor „The Land of Laughs", „Voice of our Shadow", „Bones of the Moon" mówi o pracy nad swoimi książkami, o stosunku do czytelników i krytyków, o własnej ocenie literatury SF, o swoich sympatiach i antypatiach wśród innych pisarzy.
Recenzje: Werner Bergengruen – *Das Geseth des Atum (Suhrkamp 1987), Angela i Karlheinz Steinmüller* – *Pulaster* (Vlg Neues Leben 1986), Frederik Pohl – *The Merchant's War* (St. Martin's Press 1986), Margaret Atwood – *The Handmaid's Tale,* Alfred Leman – *Schwarze Blumen auf Barnard Drei* (Neues Leben 1986), Wolfgang Kasack – *Science Fiction in Ost-Europa* (Vlg Arno Spitz 84), Gregory Benford – *Artifact* (Tor Books 1986), Carl Amery – *Die Wallfahrer,* Christian Mähr – *Magister Dorn* (Heyne Vlg 1987), Greg Bear – *Äon* (Heyne Vlg 1987), Franz Zumbach – *E.A. Poe. Eine Biographie* (Winkler Vlg 1986), Daniel Walther – *Kanonenboot „Panik"* (Moewig SF 1986), Larry Niven i Jerry Pournelle – *Saturn minus sechs* (Winderlich Vlg), H. Pukallus i A. Brandhorst – *Der Attentäter* (Ullstein), G. Benford i D. Brin – *Heart of the Comet* (Bantam Spectra), P. Schimdt – *Das Prinzip von Hell und Dunkel* (Heyne Vlg 86), A. Doremieux – *Symbiose Phase Eins* (Heyne), D. Brin – *The Postman* (Bantam Spectra), B. Kreimeier – *Seterra 1,* Andre Ruellan – *Memo (Heyne), K.S. Robinson* – *The Memory of Whiteness* (Tor Books), Th. Ziegler – *Nur keine Angst vor der Zukunft,* W. Gibson – *Neuromancer, Count Zero* (Ace Books), Ph. Dick – *In Milton Lumky Territory* (Paladin 1987).

Opracował **Mieczysław Dutkiewicz**

W dniach 2-5 września 1987 r. odbyła się w Baligrodzie zorganizowana przez Zakład Estetyki Wydziału Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Międzywydziałowy Zakład Nauk Społecznych Politechniki Rzeszowskiej sesja naukowa poświęcona miejscu science fiction w kulturze współczesnej. Próbowali to miejsce określić odmiennie niż dotychczas nie wyłącznie krytycy literaccy, lecz przede wszystkim przedstawiciele świata nauki – biologowie, ekologowie, fizycy, psychologowie, matematycy, historycy sztuki, politolodzy... Przedstawialiśmy już w „Fantastyce" wygłoszone na sesji dwa referaty: prof. Marii Gołaszewskiej „Imaginacja w antroposferze" (nr 8/87) i Adama Hollanka „A jednak romantyzm" (nr 2/88). Dziś odtwarzamy w bardzo ogólnych zarysach skrócony o ok. 30% zapis trzydniowych dyskusji.

Organizatorzy zapowiadają wydanie publikacji książkowej sumującej dorobek sesji.

Baligród – 1987

FANTASTYKA POD LUPĄ

Maciej Parowski

Dzień pierwszy – Inspiracje naukowe SF

Czy SF żywi się nauką, czy SF może na naukę wpływać? – oto węzłowe pytania, którym prowadzący dyskusję doc. **Antoni Smuszkiewicz** otworzył roboczą część spotkania.

Leszek Gajos przedstawił rodowód i problemy futurologii. Futurologia jest odmianą filozofii, dąży do realizacji zasady Comte'a, że wiedzieć, to znaczy móc przewidywać. Jest to rzeczywiście pogląd po części filozoficzny, w skrajnych przejawach płynie z wizji świata w pełni przewidywalnego, co nie jest słuszne. Stałym błędem futurologii, popełniał go już Platon, wydaje się założenie, że współczesność to coś wyjątkowego. Z kolei dzisiejsza interdyscyplinarność futurologii może prowadzić ją na manowce eklektyzmu. (...) A jednak futurologia jest dziedziną ważną, manifestuje się w niej aktywny i refleksyjny stosunek człowieka do przyszłości.

Jan Mikiewicz, matematyk, rozbudował temat, odróżniając prognozowanie (metodę naukową) od futurologii, będącej według niego rodzajem alchemii. Z punktu widzenia nauk ścisłych prognozowanie jest koniecznością, choć nie wszystko da się wyprognozować. Istnieją składowe przyszłości deterministyczne i losowe. Te pierwsze można częściowo badać przy pomocy teorii systemów. (...) Autorzy prognoz konstruują wizje przyszłości, później tzw. scenariusze i następnie dedukują scenariusze najbardziej możliwe. Wizje przyszłości niezbędne przy konstruowaniu scenariuszy można czerpać także ze science fiction, którą autorzy prognoz oczywiście czytają.

Krzysztof Grzywnowicz, biolog, częściowo się temu sprzeciwił. Na terenie SF mamy raczej do czynienia z ekstrapolacjami tendencji i możliwości nauki współczesnej pisarzom niż z wizjami wyprzedzającymi. Na przykład sześcioksiąg Franka Herberta „Diuna" dość wiernie wciela w pisarską wizję wyniki prac ekologów. Ale na przykład autorzy polscy, Zimniak, Hollanek, także Lem, wykorzystują strywializowaną ekologię do budowy do skrajności doprowadzonych horrorów katastroficznych, obciążonych w dodatku swoistym mistycyzmem. SF rozwarstwiła się na czystą fantastykę i science fiction popularyzacyjną, będącą w odwrocie. Rzadko zdarza się dziś tak piękna ilustracja hipotezy fizycznej, jak w „Kursie na zderzenie" Barringtona J. Bayleya. Pisarze biorą dziś od naukowców najczęściej jeden element i wygrywają na nim fantastyczne melodie, lekceważąc resztę. Tak postąpili autorzy filmów „Obcy – ósmy pasażer Nostromo" i „Obcy – decydujące starcie", zakładając, że na odległej planecie mogą żyć drapieżnicy, podczas gdy nie ma na niej roślinożerców, którymi drapieżnicy mogliby się żywić. Z punktu widzenia biologii jest to śmieszne.

Nie kwestionując tych twierdzeń, **Grzegorz Nowak,** biolog, zwrócił uwagę, że (...) dużo ludzi czyta science fiction i w tej sytuacji fantastyka staje się dobrym lub złym, ale jednak łącznikiem między światem naukowców a społeczeństwem. (...)

Jako pierwsza zabrała głos w dyskusji profesor **Maria Gołaszewska,** zauważając, że technika nie wystąpiła w ogóle w rozważaniach referentów. Tymczasem techniczne myślenie w fantastyce i wpływy fantastyki na technikę mogą być znaczne. (...) Kultura, sztuka, także fantastyka może wprowadzać rozluźnienie wyobraźni niezbędne technikom. Nie chodzi tu o efekty w rodzaju często przywoływanego, niesłusznie zresztą, twierdzenia, że łódź podwodną podpowiedział technikom Verne swoim „Nautilusem". Rzecz w skomplikowanych, freudowskich wręcz zależnościach między tendencjami świata ducha, techniki i świadomością zbiorową a kreacjami science fiction. Niestety bardzo nieliczni spośród techników mają świadomość takich oddziaływań, na co pośrednim dowodem ich nieobecność na konferencji. Stąd są owe wpływy mniejsze u nas niż gdzie indziej. Nie pielęgnuje się w Polsce takich połączeń.

Dyskusję bardzo ożywił swymi tezami psycholog z Poznania, **Tadeusz Zysk,** który spojrzał na problem oddziaływania SF na czytelników, zwłaszcza młodych z psychiatrycznego punktu widzenia. Dostrzegł on w tej literaturze przejaw działalności patologicznej, oddzielającej wyobrażenie od działania i przez to m.in. sprzyjającej frustracji. Jako przejaw takiej chorej i zaburzeniowo oddziałującej kreacji fantastycznej przytoczył T. Zysk dzieło, życie i smutny, samobójczy koniec twórcy postaci Conana – Roberta Ervina Howarda. Fantastyka raczej zaspokaja potrzeby psychiczne niż prognozuje. Czy to jest sytuacja rozwojowa – T. Zysk pozwolił sobie w to wątpić.

Padający na salę cień psychiatrycznej kliniki spróbował rozproszyć, replikując T. Zyskowi, **Maciej Parowski.** Kreując herosów, budując sytuacje bez wyjścia, z których bohaterowie wychodzą jednak obronną ręką, fantastyka dostarcza być może swym odbiorcom podobnego seansu psychoterapeutycznego, jaki Bruno Bettelheim widział w baśniach. Równie nierzeczywiści jak Conan byli Wołodyjowski i Podbipięta, jednak nie stawiano Sienkiewiczowi zarzutów, że frustruje czytelników. (...) Rzecz w tym, czy science fiction jako dziedzina artystyczna winna ekstrapolować naukę, czy artykułować ludzką podświadomość. Jeśli to drugie, zarzuty nienaukowości tracą moc, a celniejsze będzie rozpatrywanie fantastyki w porządku szczerości ujawnień, osiągnięć wyobraźni i według kryteriów artystycznych. W przypadku filmów o Obcym autorzy mniej myśleli o wiarygodności biologicznej, a bardziej o bezbłędnych z punktu widzenia konstrukcji dzieła technikach oddziaływania emocjonalnego. Z kolei techniki te zakorzeniają się jakoś w prawidłowościach ludzkiego odbioru, które są faktem rozpoznawalnym także naukowo. Czy można je więc jednoznacznie potępić?

Obronę fantastyki przed próbami mierzenia jej osiągnięć z zastosowaniem naukowych kryteriów wygłosił również **Rafał A. Ziemkiewicz,** przywołując dowcip Adama Wiśniewskiego-Snerga, że *tyle jest w fantastyce naukowej nauki, ile sportu w „Sportach"*. Science fiction inspiruje się regułami rynku i sama sobą (rozwijanie pomysłów, polemiki pomysłów są w SF regułą). Większości czytelników i autorów science fiction nauka jest niedostępna. Nie jest to może obraz wesoły, ale za to prawdziwy. SF stworzyła sobie własne urojone reguły nauki (pseudonauki), a prawdziwe obustronne inspiracje między nią a nauką występuje coraz rzadziej.

Romana Kolażowa upominała się o dobre imię fantastyki polskiej jako jednak prognozującej. Jej zdaniem, wbrew temu co twierdzi K. Grzywnowicz, w utworach takich jak „Koszmar" Krzysztofa Borunia problematyka ekologiczna pojawiła się na początku lat sześćdziesiątych, zanim dostrzegli ją i stworzyli w ogóle swoją dziedzinę specjaliści od ochrony środowiska.

Przyszłość będą kształtować elementy, których nie znamy – na przykład stan emocji, stan ducha. Zwrócił na to uwagę **Jan Plata-Przechlewski.** W przewidywaniu tych elementów pisarze nie są bez szans. Kiedy mówimy o telewizji, jako wynalazku, który zmienił model życia; o komputerach, które sprzężone z telewizorami wpędzają młodzież w choroby – musimy przyznać, że pisarze tacy jak Wells, często trafiali mówiąc o zmianach, jakie wynalazki mogą spowodować. Inni, jak Verne, przeceniający pozytywny wpływ techniki na nasze życie, pod tym względem prognozowali gorzej.

Podsumowujący dyskusję **A. Smuszkiewicz** nawiązał do aforyzmu Snerga o „Sportach" i twierdzeń R.A. Ziemkiewicza o rynku dyktującym swe prawa fantastyce. To nie jest konieczność. Kryminał na przykład może być marny, ale nie musi. „Edyp" też realizuje strukturę kryminału. Wiele dzieł zbudowano na schemacie popularnym, a mimo to były

wielkimi, bowiem chodziło w nich o coś więcej niż o wypełnienie schematu. SF może funkcjonować jako konwencja, ale nawet wtedy może nieść wiele ważnych spraw, które dotrą do czytelnika. Jeśli zaś chodzi o związki z nauką, to SF wzięła z nauki metodę traktowania świata i nauki, rozumianej jako zjawiska możliwego, prawdopodobnego. Poza tym, nauka dała fantastyce wystrój świata przedstawionego. Żuławski rysował na przykład mapę Księżyca do swojej powieści z podobnych powodów, dla których autorzy powieści historycznych dokładnie studiują historię. Związki nauki z fantastyką osłabły, ale fantastyka nie musi być rynkową tandetą. Taki proces staczania się ma, co prawda dziś miejsce, ale może dać się jeszcze odwrócić.

Dzień drugi – Filozoficzne pytania SF

Profesor **Maria Gołaszewska,** nawiązując do swego referatu „Imaginacja w antroposferze", zwróciła uwagę, że SF jest faktem trudnym do zdefiniowania, choć odbieranym powszechnie. Niesie i wywołuje pewne przeżycia, krzewi wartości (artystyczne, moralne, filozoficzne), ukazuje perspektywy rozwoju człowieka. Jest to swoista gra, jaką sztuka uprawia z prawdopodobieństwem. I jak to ukazali dyskutanci – także z nieprawdopodobieństwem. W przypadku SF mamy do czynienia z zamiarem artystycznym, z jego realizacją. Skąd biorą się fantastyczne pomysły? Jakie przeżycia fantastyka wywołuje?...

Radosław Kot wrócił do utopii. Utopie klasyczne, mówiące o doskonałym miejscu mało przypominają utopie dzisiejsze (dystopie, antyutopie), zajmujące się ostrzeganiem przed możliwymi wersjami nieprzyjemnych dla człowieka światów. Polskie dzisiejsze antyutopie mają chyba mniejszą elastyczność i barwność w sensie kreacji różnych systemów wartości, niż te które pisał Huxley, Orwell, Hogan; niż antyutopie pisarzy radzieckich. Nasi autorzy nie budują na przykład takich kompletnych monografii obcych światów, jakie robił Herbert czy Tolkien. Poetyckie utwory Bradbury'ego nie dając nam oczywiście wrażenia spójności, są pod względem artystycznym bardziej interesujące niż utwory polskich pisarzy.

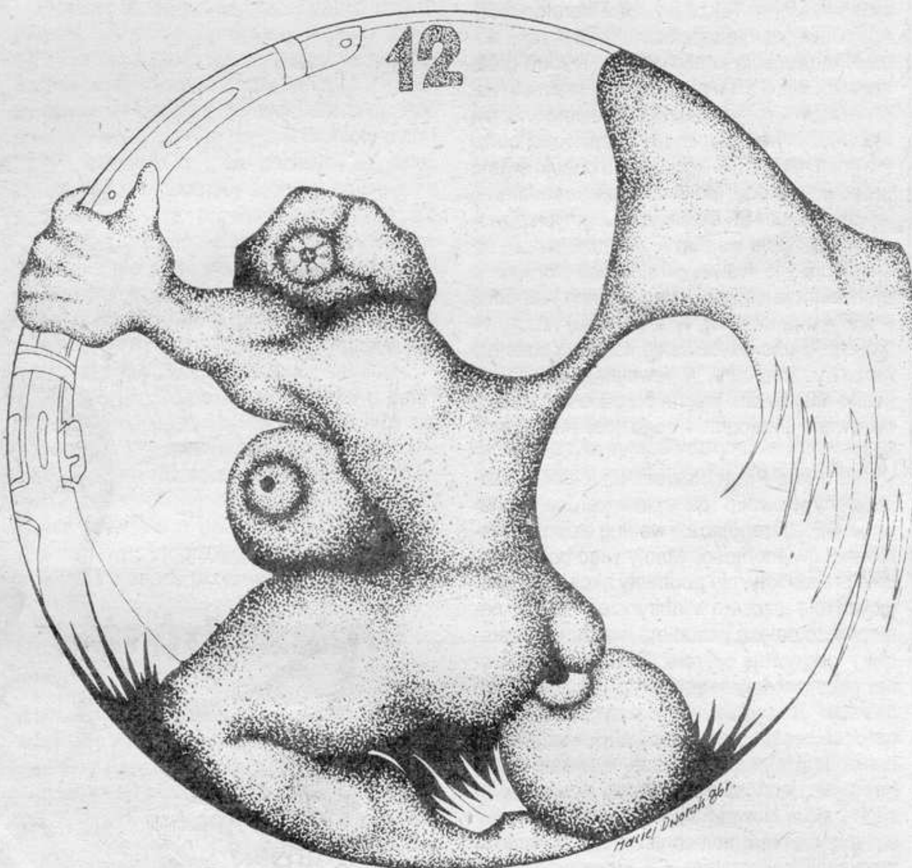
O związkach fantastyki z najnowszą psychologią mówił **Tadeusz Zysk.** Fantastyka zaspokaja potrzeby psychiczne twórców, oddziałuje na psychikę odbiorców, kreując ich wyobrażenie o rzeczywistości, przekazując normy moralne. Tak rozumiana SF jest dogodnym źródłem do interpretacji freudowskich, jungowskich, adlerowskich, choć analizowanie SF jako marzenia sennego, jako bezwiednych ujawnień psychologicznych – mimo że słuszne – wydaje się nudne. Znacznie ciekawsze rezultaty mogą dać psychologiczne metody badania zastosowane wobec takich gigantów science fiction jak Dick. W dziele tego pisarza spotykamy się z rozwijaną także w nauce teorią psychologii transpersonalnej. W powieściach Dicka pojawia się problem zakwestionowanej rzeczywistości i świadomości; spotykamy u niego różne stany umysłu, związane z tym kreacje różnych rzeczywistości, co można uzyskiwać także za pomocą środków psychodelicznych. Dick stosował takie środki. W jego dziele występuje człowiek, który wątpi w prawdziwość swej rzeczywistości. W myśleniu potocznym taki człowiek jest chory, w rozumieniu psychologii transpersonalnej chory jest ten, kto nie wątpi. Zjawiają się więc u Dicka problemy psychologiczne wyższego stopnia – spełnienie ról, związanych z naciskiem otoczenia; próba zanegowania takich ról, czy wreszcie problem odmiennych, wyższych stanów świadomości. Osiągamy je na krótko, ale wbrew pozorom, stany takie dostępne są dużej liczbie osób. Dick kładzie nacisk na problem poznania i doświadczenia szczytowego, osiąganego przez jego bohaterów na przykład podczas rozmowy z chińską księgą wróżb I-Ching.

Poproszony o szczegóły, T. Zysk zreferował pokrótce przemiany w psychologii, które nasiliły się w latach sześćdziesiątych pod sztandarami Junga. Była to kontra przeciw klasycznej psychoanalizie i bunt wobec scjentyzmu. Psychologowie transpersonalni przeciwstawili się starej tezie, wziętej jeszcze od Pawłowa, że *świadomość to optymalny stan pobudzenia.* Według nich jest przeciwnie, codzienność więzi umysł. Uwalnianie umysłu z tych więzi może się dokonywać za pośrednictwem medytacji, doznań mistycznych, można spotykać takie stany u osób dotkniętych comą, w stanie zatruć alkoholowych, po narkotykach czy środkach psychodelicznych. Mamy w tych stanach do czynienia niekoniecznie z chorobą, może się w ich trakcie dokonywać przeobrażenie jednostki, redefinicja życia i jego celów. Postacie Dicka podczas takich stanów rozwiązują najtrudniejsze problemy, dochodzą do pozytywnych rozstrzygnięć. Ta psychologiczna nowość ma w pewnym sensie charakter ponownego odkrycia, zapoznanych kiedyś rejonów – na przykład orientalnej kultury amerykańskiej, doświadczeń religijnych, magicznych.

Leszek Gajos poprosił, by pod tym kątem psychologicznym spojrzeć na niektórych przynajmniej pisarzy fantastycznych. Jak osobowość pisarza wpływa na jego twórczość. Lem wykręcił się kiedyś od odpowiedzi na podobne pytanie, mówiąc, że *po prostu nie wie, co miał na myśli.*

T. Zysk nazwał to zaproszeniem do psychologicznego biografizmu. Rzeczywiście, stwierdził, notujemy renesans takiego nastawienia. W tym sensie można na przykład mówić o Słowackim jako o niedojrzałym, znerwicowanym młodzieńcu. Dicka też można rozszyfrować, ale zadziwiające jest to, że Dick zdołał zwerbalizować swoje doświadczenie, a inni kończą w psychiatrycznej klinice. Każdego trzeba badać inaczej. Wspomniany Howard zdaje się ilustrować kliniczny przypadek nerwicy – był silnie związany z matką, kiedy umarła, popełnił samobójstwo. Zapewne dlatego kreował bardzo mocnego, niezależnego bohatera. W jego przypadku mamy do czynienia z dużą rozbieżnością między „ja" wyobrażonym a realnym. W przypadku Lema natomiast napotykamy klasyczny, chamski (tak się T. Zysk wyraził) mechanizm sublimacji. Lem zacierał to, co prawda, w swoim dziele, ale bardzo wyraźnie uwidoczniło się to w jego wywiadach.

Na zakończenie tej części dyskusji **Antoni Smuszkiewicz** nawiązał do porównania utopii (wczorajszych – radosnych i dzisiejszych – ponurych) jakiego wcześniej dokonał R. Kot. Otóż takie mamy utopie, jakie mamy czasy. Kiedy człowiekowi robiło się źle, już w baśniach reagował na to wizerunkiem dobrego, sprawiedliwego króla. Kiedy uroszczenia materializmu zaczęły się chwiać, zmienił się kształt fantastyki. Nie hierarchizujmy dzieł ani gatunków, zastanówmy się nad wartościami, nad treściami, które niosą. Science fiction była i jest pod tym względem interesującą odmianą literatury.



Dzień trzeci – Estetyka science fiction

Rozważania nad estetyką SF rozpoczął **Antoni Smuszkiewicz,** próbując określić miejsce SF w sztuce współczesnej. Według niego science fiction ma zdecydowanie literacki rodowód; dopiero z czasem, częściowo pod naciskiem zaborczych miłośników zaczęła przekraczać granice i próbuje zagarniać dla siebie inne dziedziny. Według A. Smuszkiewicza często bywają owe zawłaszczenia bezpodstawne, choć są na pewno ciekawe socjologicznie. (...)

Science fiction jest według A. Smuszkiewicza jednym z fenomenów współczesnej kultury masowej. Przyszłość, kosmos, maszyna, zagadka, nieznane – funkcjonują jako tematy plakatów i scenariuszy gier; ożywają w postaci zabawek czy filmów, próbuje nawiązać do

tych zjawisk muzyka... Czy to zawsze jest science fiction? Jedynym kryterium oceny zawartości SF w poszczególnych dziełach wydaje się według krytyka kategoria świata przedstawionego. Cechą science fiction jest bowiem dbałość o pozory, o wyjaśnianie prawdopodobne w ramach skonstruowanego świata – zaskakują owe fantastyczne światy dziwnością, ale muszą być przekonywające. Zaś układem odniesienia dla nich nie jest świat rzeczywisty, lecz model światów w utworach realistycznych. Tak rozumiana SF materializuje się oczywiście nie tylko w literaturze – spotykamy ją w kinie, w plastyce... Wbrew twierdzeniom zawartym w referacie Franciszka Chmielowskiego, aczasowość malarstwa nie wyklucza jego przynależności do SF, bowiem nieruchome malarstwo może uruchamiać wyobraźnię odbiorcy, sugerować proces tam, gdzie właściwie procesu nie przedstawiono. Także przecież literatura obfituje w miejsca niedopełnione, wypełniane dopiero w procesie konkretyzacji. Trudno natomiast mówić o SF w muzyce. Muzyka nie kreuje obrazów – nie ma muzyki SF, dlatego, że nie ma „muzyki realistycznej". Wątpliwości budzi też pojęcie liryki SF – poezja nie buduje świata przedstawionego, posługuje się metaforami, jej oblicze jako SF się zaciera. Z innych powodów nie istnieje według A. Smuszkiewicza architektura SF. Nawet skrajne nowatorstwo w architekturze stanowi zupełnie inną kategorię – nie jest fantastyką, lecz staje się rzeczywistością. Samo nastawienie na przyszłość nie może być kryterium. W pewnym sensie każde dzieło nastawione jest na przyszłość. Kategoria świata przedstawionego jest najważniejsza.

Jan Plata-Przechlewski uzupełnił przedstawiony w swoim referacie wizerunek bohaterów SF, szeregując ich według stopnia uzyskiwanej świadomości. Mamy więc bohaterów jako przedmioty, nie podmioty akcji, odgrywających rolę „szczura w labiryncie". Stopień następny, to daleko posunięta typizacja bohaterów – odgrywają oni role zawodowe (np. fizyka, cybernetyka, astronauty), nie znamy ich nazwisk. Z kolei w nurcie przygodowym SF bohater często jest typem odpowiadającym konstrukcji fabularnej. Zainteresowanie bohaterem jako jednostką samoistną, jej wnętrzem, zjawia się w Nowej Fali. Rozszerzenie się SF o inspirację nauk nietechnicznych, odejście od fascynacji rekwizytem SF doprowadza do konstrukcji bohatera, którego zachowanie jest badane w wymyślonych konstrukcjach społecznych.

Stanisław Rogala stwierdził, że współczesna SF coraz rzadziej sięga po odmianę utopii. Mamy trochę utopii w fantasy, ale na pewno nie można mówić o jej świetności. Dzisiaj młodzi bohaterowie i autorzy wolą się buntować. S. Rogala się im nie dziwi, ale stawia tezę, że literatura taka, będąca swoistym krytycznym zwierciadłem epoki, przeżywa kryzys. Jej możliwości są chyba na wyczerpaniu.

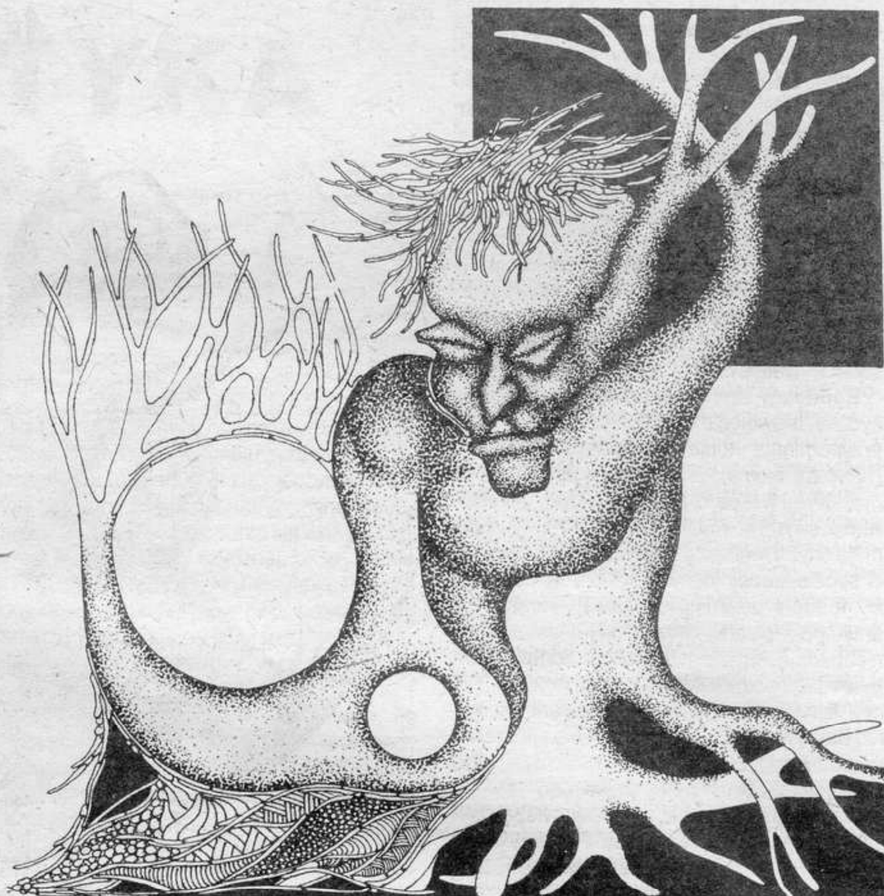
Jerzy Szyłak przypomniał i częściowo rozbudował tezy swego referatu o fantastyce komiksowej. Dla komiksu, będącego rodzajem piekła kultury masowej, kategorią główną jest kategoria bohatera. Bohatera w wysokim stopniu umownego, górującego nad czasem i przestrzenią, nieustannie działającego i określającego swym działaniem prawa fantastycznej rzeczywistości. Ta rzeczywistość w komiksie jest areną walki toczonej z pominięciem reguł prawdopodobieństwa, torem przeszkód, labiryntem. Wcześniej czy później bohater spotyka w tym labiryncie przeciwnika. Jest nim Zło uosobione w postaci szalonych naukowców, ekscentrycznych milionerów, przybyszów z kosmosu, potworów mitycznych bądź wyciągniętych z podświadomości... Celem komiksu jest zbudowanie widowiska (podobnie jak w przypadku kina, co stwierdzała w miażdżącym kino SF referacie i w swej książce Agnieszka Ćwikiel). Ale należy komiks (i kino) zaakceptować jako przekaz odmienny od innych, którego treścią jest specyficzna gra toczona w myśl szczególnych reguł. Ta gra konwencją może nieść nowe wartości. Dlatego komiksu, podobnie jak fantastycznego kina, nie wolno a priori wartościować negatywnie. W przeciwieństwie do twierdzeń A. Ćwikiel dotyczących kina, J. Szyłak uważa, że w wyniku tej gry rodzą się nowe pytania i nowe wyzwania układające się w logiczny system.

Tomasz Szponder opisał światy przedstawione w powieściach Janusza A. Zajdla, będących rodzajem rozbudowanych aluzji politycznych. W podobny sposób wypowiadał się o światach przedstawionych w nowej polskiej SF, **Maciej Parowski.** Dają nam polskie utwory ostatniego okresu wizerunki światów potrzaskanych, sparszywiałych, totalitarnych – bohaterowie rzucani w takie nieprzyjazne jednostce rzeczywistości starają się przeniknąć ich prawa i na przeróżne sposoby dojrzewają do buntu. Ta próba wyśpiewania generacyjnego doświadczenia w formie SF staje się donosem, skargą, zwierzeniem; traktowanie zjawiska jako zmierzchającej „literatury zamiast" byłoby zapewne uzasadnione, gdyby nie fakt, że w najcelniejszych wykonaniach (właśnie w powieściach J.A. Zajdla, Marka Oramusa, Edmunda Wnuk-Lipińskiego i w młodej noweli) uzyskują te utwory rangę komunikatu satysfakcjonującego intelektualnie i artystycznie.

Do nurtu najnowszych polskich antyutopii (dystopii) zgłosił poważne zastrzeżenia **Radosław Kot.** Występuje w tych książkach i opowiadaniach jeden tylko sposób wartościowania, władza jest zawsze zła, społeczeństwo tylko uciśnione, zmanipulowane. Nie zjawia się natomiast pojęcie manipulacji jako sterowania, tzn. prowadzenia społeczeństwa ku czemu dobremu.(...)

Profesor **Tadeusz Gołaszewski** zaatakował nurt fantastyki politycznej, (czy jak inni wolą – socjologicznej) z innego powodu. Posługując się kostiumem SF, nie sięgając do nauki, nie operując właściwie fantastyczną wyobraźnią, autorzy nurtu przyjęli rzeczywistość i sportretowali ją w tzw. fantastyce. Te utwory powstały tylko dlatego, że pisanie literatury realistycznej było u schyłku lat siedemdziesiątych niemożliwe. Ale to nie znaczy, że należą one do SF. Przeciwnie.

Zaprotestował **M. Parowski,** twierdząc, że przy powstawaniu politycznej SF doświadczenie rzeczywistości odegrało rolę impulsu. Później autorzy zanurzeni w powieściowych światach kierowali się podczas pisania innymi regułami. Trzebienie science fiction z elementów rzeczywistości nie ma sensu; odwołania do realiów znajdziemy już u Swifta. Gdyby jako kryterium SF przyjąć brak związków z rzeczywistością, jedynymi fantastycznymi książkami w Polsce lat siedemdziesiątych byłyby powieści Czesława Chruszczewskiego.



Maciej Dworak

Na inne ograniczenie polskich utworów socjologicznych, powstających w latach siedemdziesiątych, zwrócił uwagę **Tadeusz Zysk.** Otóż mamy w nich do czynienia z czarnym schematyzmem, o czym pisze w referacie Anna Markuszewska analizująca m.in. nowelę Andrzeja Drzewińskiego „Ocalenie". W przeciwieństwie do wizji świata i człowieka zarysowanych w owej noweli prawdziwe kataklizmy spadające na ziemię dają dowody altruizmu i zachowań prospołecznych wielkiej liczby osób. Pouczający jest pod tym względem syndrom Czarnobyla. Rzeczywistość, jak się okazuje, bywa bardziej pocieszająca od polskiej socjologicznej SF.

Także w opinii **Andrzeja J. Nowaka** treści publicystyczne biorą w nurcie górę nad artystycznymi. **J. Plata-Przechlewski** zaproponował, żeby przyjrzeć się odbiorowi nurtu w czasie, niezależnie od jego motywacji. Jeśli niektóre z tych książek będą wznawiane, jeśli będą czytane, jeśli zostaną przetłumaczone –

Diabeł to upadły anioł

Na świecie jest wystarczająco dużo zła, żeby ludzie się nienawidzili, ale za mało, by się kochali – mówi diabeł, bohater filmu Alana Parkera „Angel Heart".

O tym, że świat jest zły i dlaczego tak się dzieje, można opowiadać na wiele różnych sposobów. Filmy poważne tym tylko różnią się w traktowaniu tego tematu od lekkich, że w tych drugich wygrać musi dobro. Najczystszym symbolem zła panującego na świecie jest diabeł, a sposobem oddania się mu – zaprzedanie duszy. Brytyjski reżyser Alan Parker potraktował pomysł dosłownie i pokazał w swym najnowszym filmie szatana zjawiającego się na Ziemi, żeby odebrać słusznie należną mu duszę, która usiłuje wykpić się od wcześniej podjętych zobowiązań.

Pojawia się ostatnio coraz więcej filmów dotykających bezpośrednio problematyki piekła i nieba. Niektóre jak „Made in Heaven" czy opisywane przeze mnie niedawno „Czarownice z Eastwick" wykorzystują formę lekką, chociaż w przypadku tego drugiego reżyser George Miller starał się pokazać, że obcowanie z diabłem jest zabawne tylko do czasu. Inne, jak właśnie „Angel Heart" czy ostatni film Johna Schlesingera „The Belivers", łączą cechy okultystycznego thrillera z filmem sensacyjnym.

„Angel Heart" to obraz mroczny i niepokojący. Bardzo nowoczesny – wbrew pewnym atrybutom wywodzącym się jakby wprost ze średniowiecza. Przedziwna jest ta mieszanka, stanowiąca tło akcji: religii katolickiej z jej wiarą w anielskość i diabelskość oraz wierzeń, obrzędów różnych sekt wywodzących się z Afryki. Aż roi się od wyznawców czarnej magii, kultu diabła czy voodoo. Pełno jest także krwi. Już pierwsza scena sygnalizuje kolorystykę całości: brudny zaułek, w którym polujący na kota pies natyka się na leżącego wśród śmieci trupa. Szarość zabarwiona tylko czerwoną plamą krwi.

Scenariusz filmu został oparty na powieści „Falling Angel" Williama Hjortsberga (tego samego, który stworzył scenariusz „Legendy" Ridleya Scotta). W rolach głównych występuje para świetnych aktorów: Robert De Niro jako Louis Cyphre, brodaty, dystyngowany i złowieszczy (gra cudzoziemca o trudnym do wymówienia nazwisku: prawidłowo powiedziane brzmi ono Lu-cyfer), i Mickey Rourke jako Harry Angel, młody prywatny detektyw, który dostaje zlecenie odszukania Johnny'ego Favorite'a, niegdyś znanego piosenkarza Big Bandu, mającego do spłacenia Cyphre'owi niesprecyzowany dług. Nazwiska bohaterów od samego początku umiejscawiają ich w intrydze. *Angel* po angielsku znaczy „anioł", *favourite* – „ulubieniec, faworyt". Reżyser stosuje to pozorne ułatwienie, żeby w pewnym momencie widza oszukać i skomplikować akcję.

Harry Angel rusza do pracy mając do dyspozycji informację, że Favorite powinien znajdować się w szpitalu dla weteranów wojennych (akcja filmu rozgrywa się w 1955 roku) – jako zupełny wrak człowieka. Dowiaduje się jednak od doktora Fowlera, że były piosenkarz, choć cierpiący na okresową amnezję, wyleczył się z ran i zniknął. Po spotkaniu z Angelem Fowler zostaje zamordowany...

To tylko pierwsza z licznych zbrodni, które znaczyć będą drogę detektywa. Dlaczego tak wiele zła wokół tego, który ma symbolizować dobro? Parker konstruuje swój film jak precyzyjny kryminał po to, żeby rozwiązanie zagadki było dla widza zaskoczeniem, a jednak zgadzało się ze wszystkimi podanymi wcześniej faktami (tak właśnie jak to powinno być w dobrym kryminale). Jedynym, którego nie udało się oszukać jest diabeł.

Film jest bardzo brutalny, jednak, o dziwo, to nie sceny morderstw czy obrzędów sekt voodoo spowodowały, że zarówno za oceanem, jak i w zachodniej Europie pozwolono go oglądać widowni powyżej 18 lat, lecz krótka scena, kiedy Harry Angel przeżywa z Epithany Proudfoot gwałtowny akt miłosny przy akompaniamencie walącego o dach deszczu, który wdziera się przez liczne szpary do pokoju, przemienia w krew i zalewa ich splecione ciała.

Za zdjęcia, niezwykle ważny element budowania nastroju filmu, odpowiedzialny był Michael Seresin. Jemu to zawdzięczamy fascynującą grę cieni, potęgującą uczucie zagrożenia oraz ogromną staranność w pokazywaniu szczegółów tak, że zyskują one na znaczeniu. Przykładem może być długie zatrzymanie kamery na dłoni Louisa Cyphre'a opartej na metalowej rączce laski. Roberta De Niro cechuje wewnętrzna intensywność, wielkie skupienie, które od początku pokierowało tego aktora w stronę ról postaci opętanych jakąś ideą. Od „Taksówkarza" przez „Łowcę Jeleni" i „Dawno temu w Ameryce" po „Misję", De Niro pokazuje ludzi wypełnionych emocjami, które wyraża, co zabrzmi paradoksalnie, pozornie niemą twarzą. Rok temu wszedł na ekrany kin zachodnich film Briana De Palmy „Nietykalni". De Niro zagrał tam bardzo istotną, choć w sumie niewielką rolę Al Capone'a. W trzech zaledwie scenach pokazał drogę słynnego gangstera ze szczytów na sam dół. Jego twarz potrafi w ułamku sekundy zmienić wyraz z pobłażliwego rozbawienia we wściekłość. Taki też jest kreowany przez niego diabeł. To nie złoszczący się na nieposłuszne kobiety Daryl Van Horne zagrany przez Nicholsona w „Czarownicach z Eastwick", lecz siejący zło, groźny przeciwnik, który nigdy nie opuszcza zdobytego terytorium.

Film Alana Parkera tą samą duszną atmosferą zła przypomina „Rosemary's Baby" Romana Polańskiego. W obu filmach centralną, choć rzadko ukazującą się postacią, jest diabeł, wokół którego kręcą się nieważni, skazani na zagładę ludzie. Przerażająca to wizja. Jeżeli była wina, będzie i kara. Brak w tej opowieści wybaczenia, miłosierdzia. Brak też charakterystycznej dla współczesnej twórczości filmowej (podobnie jak i dawniej w literaturze ludowej) wiary w zwycięstwo człowieka. Baśnie i legendy przyzwyczaiły nas, że diabeł bywał przechytrzany przez ludzi. Parker reprezentuje inne, znacznie surowsze spojrzenie na to zagadnienie. Uważa się, że problem AIDS spowodował powrót do dawnej, mniej tolerancyjnej moralności. Film „Angel Heart" jest w pewien sposób odbiciem tych nowych tendencji.

Harry'ego Angela, jak już wspomniałam, kreuje znakomicie pasujący do tej roli, robiący bardzo szybko karierę irlandzki aktor Mickey Rourke. Jego bohaterowie są postaciami wewnętrznie rozdartymi, niezdolnymi pokierować swoim losem. Takim był w „9 i 1/2 tygodnia", gdzie nie potrafił wybrać między pozą a uczuciem, a także w „Ćmie barowej", uwikłany między talentem a całkowitą abnegacją. Rourke należy do tych aktorów, którzy tworzą we współczesnym kinie nowy typ bohatera. Grając role miłosne nie jest amantem, w filmie akcji nie udaje herosa. Wciela się w przeciętnego człowieka, wplątanego w pułapkę zastawioną przez życie. W „Angel Heart" Rourke występuje, jak zwykle, w nieco pomiętej marynarce, zawsze z jednodniowym zarostem na twarzy, tym razem rozdarty przez walczące o niego, czy może w nim, siły zła i dobra.

„Angel Heart" jest filmem niepokojącym, który pozostaje w pamięci jak cierń. Zawiera konkretne przesłanie moralne i prezentuje dobre aktorstwo. Mimo typowej konstrukcji filmu kryminalnego nie zapamiętuje się go tylko jako kolejnego obrazu z tej szufladki.

Dobro nie tryumfuje nad złem, bo dobra po prostu nie ma. Ale zło zostaje ukarane.

Dorota Malinowska

SERCE ANIOŁA (Angel Heart). Reżyseria: Alan Parker. Scenariusz: Alan Parker na podstawie powieści Williama Hjortsberga „Falling Angel". Zdjęcia: Michael Seresin, Michael Roberts, Michael Levine. Efekty specjalne: J.C. Brotherhood. Obsada: Mickey Rourke, Robert De Niro, Lisa Bonet, Charlotte Rampling, Stocker Fonteline, Brownie McGhee, Michael Higgins. USA, 1987.

Murphy stroskany

Znany polskiej publiczności z takich filmów jak „Nieoczekiwana zmiana miejsc" i „Gliniarz z Bevery Hill", aktor Eddie Murphy odniósł kolejny sukces w drugiej części „Gliniarza..." Niestety, w Polsce film ten jak na razie mogą oglądać tylko szczęśliwi posiadacze magnetowidów i grono ich znajomych.

Za to na ekrany polskich kin wszedł inny obraz z tym świetnym komikiem w roli głównej. Jednak publiczność, jeżeli liczy i tym razem na dobrą zabawę – zawiedzie się. W „Złotym dziecku" Murphy wciela się w bohatera romantycznego, a w roli tej brak jest miejsca na komizm, atutową kartę jego aktorstwa.

Chandler Jarret – tak nazywa się kolejne ekranowe wcielenie Murphy'ego – jest detektywem, specjalistą od odnajdywania zaginionych dzieci. Ze względu na swoje zdolności, a także jak możemy się domyślać, czystość serca, zostaje wybrany, żeby odszukać i uratować porwane „złote dziecko".

Reżyser pokazał typowy pojedynek dobra ze złem w stylu amerykańskim. Z jednej strony samotny bohater i pomagająca mu dziewczyna, z drugiej banda złych osobników, którzy choć w przewadze liczebnej, nie mają żadnych szans na wygranie tej walki. Film opowiada nam, że raz na tysiąc lat rodzi się złote dziecko, którego celem jest pomóc ludzkości. W dwudziestym wieku jego zadaniem jest zachować za Ziemi współczucie.

Niestety, film jest po prostu dość nudny. Nie wykorzystano niewątpliwego talentu komediowego Murphy'ego. Chwyty, które mają przyciągnąć publiczność także nie są pierwszej świeżości. Jedynym plusem ciągle jeszcze modnej chińszczyzny jest kilka ujęć Tybetu i barwnych ulic Katmadu. Inne atrakcje to walki karate i postać bohatera – dziecka dysponującego nadnaturalnymi własnościami. Do tego trochę mistycyzmu przyprawionego jakąś niejasną filozofią.

W całym filmie jest chyba tylko jedna naprawdę świetna scena – spotkanie złego Sardo Numspy z Jarretem. Zrealizowana w konwencji snu, a jednocześnie spektaklu z publicznością, która żywo reaguje na pojedynek przeciwników. Scena jakby z innego, dobrego filmu, po której czujemy jeszcze większy zawód.

D.M.

ZŁOTE DZIECKO (The Golden Child). Reżyseria: Michael Ritchie. Scenariusz: Dennis Feldman. Zdjęcia: Donald E. Thorin. Obsada: Eddie Murphy, Charles Dance, Charlotte Lewis. USA, 1986.

problem doraźnych, politycznych inspiracji może przestać być ważny, a zacznie się nadrzędne istnienie dzieła.

Zakończył sprawę **J. Szyłak**, pytając przewrotnie, czy szukanie publicystyki nie sprowadza się czasem do bezwiednego zubożania książek. Twórca ma prawo włożyć myśl w dzieło sztuki, rzeczą krytyka jest badać grę intelektu jaką prowadzi, a nie redukować całego dzieła do tej jednej myśli.

Po wyczerpaniu tematu polityki **S. Rogala** przypomniał, że fantastyka może się udać w ciekawsze rejony. Przed nami problematyka zmiany filozofii w XXI wieku, swoista rewolucja antykopernikańska, zwrot ku Ziemi, odwrót od fascynacji techniką i technologią, antropologiczne poszukiwanie Boga. Przed nami ponowne określenie miejsca człowieka w rzeczywistości.

W nieco inne, choć równie egzotyczne krainy, zaprowadził dyskutantów gość z Kanady, **Guy Bouchard,** referatem o feministycznych utopiach w science fiction. Kobiety uprawiające literaturę SF buntują się przeciw zajmowaniu niższych miejsc w społeczeństwie i chcą temu położyć kres dla swego dobra, ale także dla dobra społeczeństwa. Nie może być szczęśliwe społeczeństwo, jeśli są w nim lepsi i gorsi. Podkreślił gość potencjalną rewolucyjność fantastyki feministycznej, zachęcającej do przemiany umysłów i dającej nam konkretną (nie abstrakcyjną) lekcję równości w społeczeństwie biseksualnym. (...) W wystąpieniu opowiadającego się zdecydowanie po stronie kobiet, G. Boucharda, sympatyczne było, iż przyznał, że pisarki feministyczne podążają często do swego ideału przez literackie wizje społeczeństw ciemiężycielskich, w których istotami słabszymi, zdominowanymi przez silne kobiety są masochistyczni mężczyźni. Równość nie jest rzeczą prostą.

Dyskutanci zaczęli od pytania, które zresztą postawili sami sobie – czy i w Polsce spotykamy się z tak rozumianą fantastyką feministyczną? Było trochę tłumaczeń, u Lema w „Masce” występuje istota dwuznaczna płciowo – zauważył **S. Rogala.** Profesor **T. Gołaszewski** przypomniał o fantastycznym filmie „Seksmisja”, w którym walka płci ujęta jest w formie komediowej. **G. Bouchard** stwierdził, że tak mówią o sprawie mężczyźni; kobiety wolą tonację serio.

T. Zysk zauważył, że mężczyźni mają inne cechy psychiczne niż kobiety, są nawet pewne różnice w półkulach mózgowych. Gość z Kanady nie podtrzymał tego tematu, stwierdził natomiast, że pod wpływem kobiecych utopii zachodzą w science fiction poważne zmiany, nie można dziś pisać jak przedtem, seksizm stał się niemodny.

Profesor **M. Gołaszewska** spytała o różnice między równością „konkretną” a „abstrakcyjną”. Sprawozdawca nie ma pewności czy dokładnie wszystko zrozumiał, ale gość z Kanady stwierdził bodajże, że feministki chcą móc spełniać nie tylko role męskie (kobiety astronautki, szefowie itp.), ale chciałyby iść dalej, przełamać przy pomocy techniki biologiczne ograniczenia. Na przykład mężczyzna nie może dziś urodzić dziecka. W procesie wychowania nie powinno się determinować ról płciowych, odgrywanych potem w społeczeństwie przez człowieka dorosłego. Usunięcia wymaga seksualizm, którym naznaczona jest współczesna kulturalna nadbudowa.

Profesor **T. Gołaszewski** zapytał o cele? Czy istnieją książki, w których zjawiłaby się odpowiedź na pytanie – po co usuwać te różnice??? Ludzie różnią się nie tylko płcią, zniesienie jednej różnicy niczego nie wyjaśni. Czy utopia mówiąca o powszechnym zrównaniu jest na pewno utopią radosną?

Gość z Kanady przyznał, że tradycyjny feminizm polegał na dążeniu do zatarcia tych różnic. Nowy model zakłada rozwinięcie i uzupełnienie się różnic, porozumiewanie się płci na odpowiednio ustalonych zasadach. Owe zasady to m.in. uwypuklenie autonomii jednostki i rezygnacja z odgrywania ról ograniczających tę autonomię, usunięcie seksualizmu. **G. Bouchard** przyznał, że uczestnicząc w konferencji z tłumaczem, nie zrozumiał wszystkiego o czym mówiono, ale jest usatysfakcjonowany. To samo mogliby powtórzyć gościowi pozostali uczestnicy, przy czym problemu niezrozumienia tematyki feministycznej, nie dałoby się odnieść wyłącznie do kwestii językowych. Feminizm w SF (i każdy inny) będzie miał u nas ciężką drogę.

Po uporaniu się z problematyką tak egzotyczną można było przystąpić do zamknięcia konferencji. Dokonał tego profesor **T. Gołaszewski.** Przypomniał pokrótce przebieg obrad – swobodnego, rozpisanego na wiele głosów, wikłającego się w różne konteksty dyskursu. Wynika z tego panoramicznego, wieloaspektowego oglądu swoisty imperializm SF. Jest to zjawisko nie tylko literackie, lecz także fakt społeczny. Jest SF szkołą myślenia, próbującego łączyć konwencje naukowego i artystycznego wybiegania w przyszłość. Na wiele zjawisk kulturowych i społecznych można patrzeć w kategoriach SF. Możemy tu mieć do czynienia z czystą fantazją, z badaniem, prognozowaniem, z wstępowaniem i ustępowaniem literackich konwencji, z przekazem publicystycznym. Taka science fiction jaką fragmentarycznie obejrzeliśmy podczas konferencji, powiedział profesor, wydaje się zjawiskiem na tyle sympatycznym, że uprawnione będzie hasło następujące – róbmy to dalej.

Maciej Parowski

wśród fanów

IV Zjazd PSMF

Dla PSMF nastał czas dużych przeobrażeń. Stwierdzenie to, wygłoszone na otwarcie IV Walnego Zjazdu Członków Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki (4 czerwca br., Warszawa), stanowi również jego podsumowanie. Po siedmiu latach istnienia, Stowarzyszenie wyrasta z wieku dziecięcego. Dopomóc mu w tym mają podjęte przez Zjazd decyzje i przyjęty program zmian. Najkrócej scharakteryzować je można jako odejście od *organizacji ruchu klubowego,* na rzecz *organizacji członków indywidualnych.* Działalność Stowarzyszenia ma być adresowana do fanów bezpośrednio, z pominięciem Klubów, a gdy zajdzie konieczność – również i Oddziałów. Czytelne muszą się stać relacje: składka członkowska – świadczenie PSMF, posiadanie legitymacji członkowskiej – uprawnienia, przywileje i obowiązki. Struktura organizacyjna PSMF musi być jak najprostsza. Zadania Rady Głównej PSMF sprowadzą się głównie do udzielania pomocy i koordynacji wszelkich inicjatyw członków. Stowarzyszenia. Funkcję Rady Głównej i Oddziałów, winna określać ich nazwa – rada, nie zarząd.

Zjazd miał przebieg dosyć burzliwy. Zaproponowany przez ustępującą Radę Główną program przebudowy PSMF, spotkał się z ostrym atakiem ze strony działaczy klubowych, a nawet Rad Oddziałów. Okazało się, że dotychczasowa pomoc Rady Głównej nie była znowu tak symboliczna, ba – była niezbędna. Teraz trzeba będzie liczyć głównie na siebie, i to gdy obowiązków na własnym terenie przybędzie, gdyż działalność centrali skierowana będzie bezpośrednio do każdego członka (również środki finansowe). Siedmioletnie doświadczenie działaczy rezygnujących z dalszej pracy we władzach Stowarzyszenia, zwyciężyło. Przyjęty przez Zjazd program wsparty przygotowanym przez „dinozaurów” zapleczem wydawniczo-finansowym, realizować będzie nowa Rada Główna z nowym prezesem dr. Sławomirem Pikułą. Dotychczasowy prezes, Andrzej Szatkowski, pełniący tę funkcję od początku powstania Stowarzyszenia, skoncentrował swą działalność na nowej inicjatywie jaką jest

Klub Książki Fantastycznej

Wychodząc naprzeciw ogólnemu zapotrzebowaniu fanów na wydawnictwa niskonakładowe, wartościowe literacko i atrakcyjne edytorsko, PSMF wraz z Oficyną Wydawniczą „Forum” utworzyły Klub Książki Fantastycznej. Obejmuje on 5 cykli: A – książki autorskie, B – antologie, C – komiksy, D – gry, E – kasety magnetofonowe.

Działalność Klubu jest adresowana do prawdziwych miłośników gatunku, do tych, których interesują najciekawsze i najwartościowsze dokonania czołowych twórców światowej fantastyki, różne nurty (od fantasy i horroru, po hard SF) i formy (gry, komiksy, muzyka elektroniczna i słuchowiska). Klub zwracać będzie baczną uwagę na jakość, zarówno literacką (dobre przekłady), jak i edytorską (w planach twarde oprawy książek z barwnymi obwolutami).

Warunkiem członkowstwa w Klubie jest dokonanie wpłaty abonamentowej na minimum jeden z cyklu publikacji klubowych, na konto PSMF. V Oddz. PKO W-wa nr 1557-99280-132. Na cykle A, B i E wpłata wynosi po 2 tys. zł za cykl, a C i D – po 1000 zł. Na blankiecie wpłaty należy koniecznie podać oznaczenie literowe cykli, na które dokonuje się wpłaty, oraz cel: KKF – abonament.

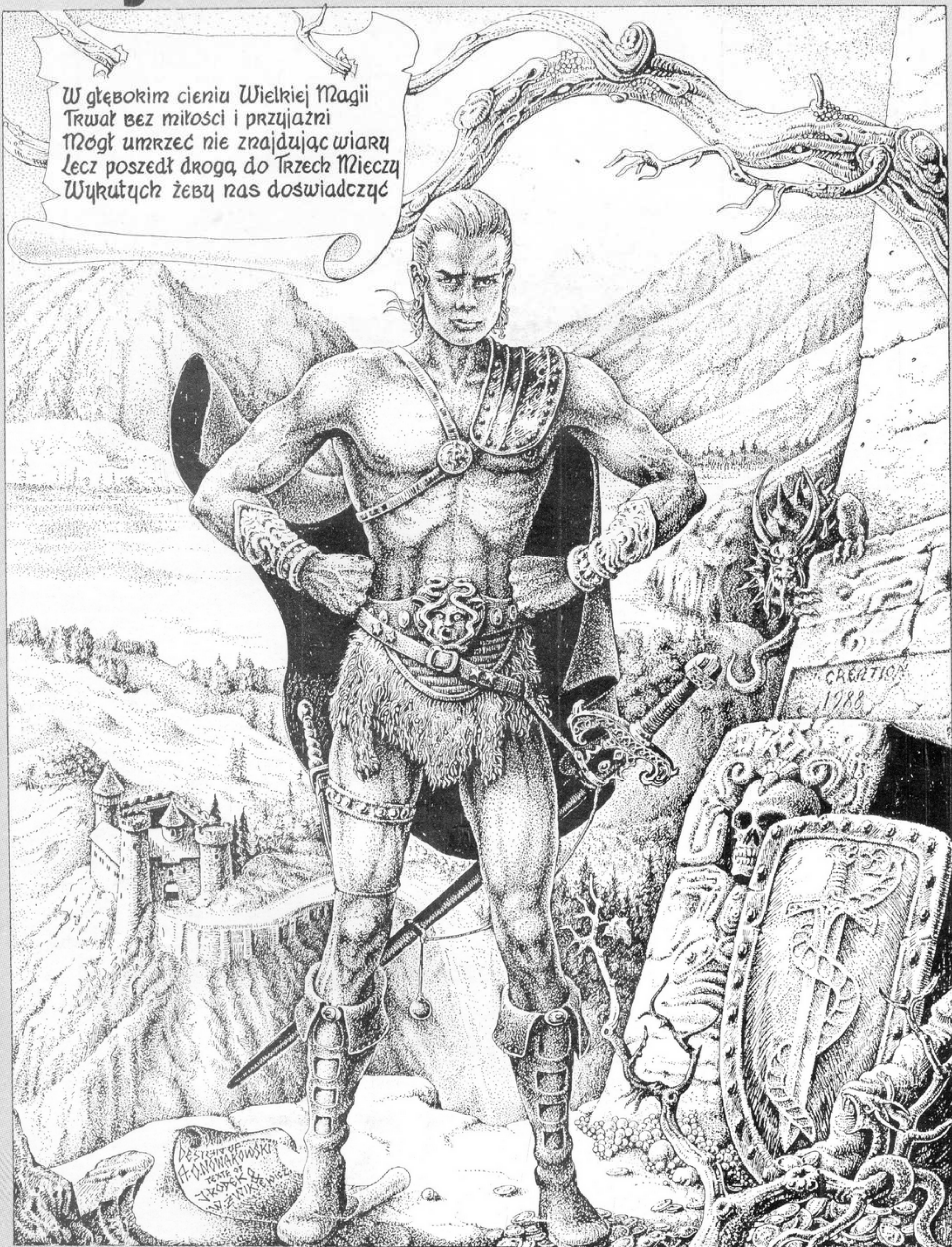
Zebrane wpłaty utworzą fundusz umożliwiający rozwinięcie własnej działalności wydawniczej. Publikacje klubowe otrzymają wyłącznie członkowie Klubu, którzy zobowiązani są do ich wykupienia. Nie wykupienie dwóch kolejnych pozycji cyklu spowoduje skreślenie z listy członków KKF w danym cyklu bez zwrotu wpłaty abonamentowej. Przy wystąpieniu z Klubu z trzymiesięcznym wypowiedzeniem, były członek KKF otrzymuje zwrot wpłaty abonamentowej z potrąceniem 20% oraz kosztów zwrotnego przelewu pocztowego.

UWAGA: Klub może przyjąć ograniczoną liczbę członków, a o przyjęciu zadecyduje kolejność zgłoszeń. Osoby, które nie zostaną do Klubu przyjęte, otrzymają zwrot wpłaty z potrąceniem kosztów zwrotnego przekazu pocztowego.

Muzyka SF

Klub Miłośników Muzyki Elektronicznej i Medytacyjnej przy Ośrodku Kultury Ochoty w Warszawie organizuje w dniach 10 i 11 grudnia 1988 r. „Bliskie spotkania z muzyką science fiction” połączone z konkursem na najlepszego wykonawcę. Warunkiem udziału w konkursie jest użycie co najmniej jednego syntezatora, samplera lub innego instrumentu elektronicznego. Zainteresowanych (solistów, zespoły instrumentalne lub instrumentalno-wokalne) prosimy o przysyłanie w terminie do dnia 30 października 1988 r. kaset i taśm z proponowaną muzyką (minimum 15 min.) pod adresem: Ośrodek Kultury Ochoty, 02-094 Warszawa, ul. Grójecka 75, z dopiskiem „MUZYKA SCIENCE FICTION”. Nagrodą dla najlepszego wykonawcy (ew. najlepszych wykonawców) będzie m.in. możliwość dokonania nagrań dla radia lub firmy fonograficznej (np. na kasetach magnetofonowych w ramach Klubu Książki Fantastycznej PSMF).

JUŻ NIEDŁUGO!



NOWY KOMIKS!

TRZY MIECZE Część I LARKIS – PIERWSZA ŚMIERĆ

rys. Andrzej O. Nowakowski, scenariusz: Jacek Rodek i Wiktor Żwikiewicz

fantastyka



MARZENA KAWALEROWICZ